

**MAX ALLAN COLLINS**

# **NA LINII OGNIA**

**Powieść na podstawie scenariusza Jeffa Maguire'a**



*Dla Jima Hoffmanna,  
który od dawna potrafi „zabijać wzrokiem”*

*Jeżeli ktoś chce przehandlować swoje życie za moje, nic na to nie  
mogę poradzić.*

**PREZYDENT JOHN F. KENNEDY**

## 1.

Sen zawsze był taki sam. Gorący, lecz piękny dzień w Dallas. Sunie przed siebie, jadąc na stopniu samochodu obstawy. Zdenerwowany - tylu ludzi w Teksasie nienawidziło prezydenta - i oto On, niemal na wyciągnięcie ręki, uśmiecha się, macha do tłumu, śliczna żona również macha, promienieje...

Prezydent i Pierwsza Dama. Ale są czarno - biali. Tak jak on.

Przesuwa się jak na taśmie filmowej, jak na starej kronice filmowej, w którą go wmontowano, wykonywał swoje zadanie, obserwował tłum, wypatrywał wrogich lub obojętnych twarzy, nad słuchiwał podejrzanych dźwięków, a potem nagle usłyszał podejrzany dźwięk, ale to była tylko petarda.

Naprawdę?

Jadąc na stopniu, odwrócił się straszliwie powoli i spojrzał w stronę limuzyny, gdzie prezydent osunął się bezwładnie... czy został zraniony?

Chryste, prezydent został zraniony!

Wstrząśnięty, sparaliżowany zgrozą agent Tajnej Służby Frank Horrigan patrzył z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami, jak głowa prezydenta eksploduje w koszmarnej chmurze krwi, mózgu i kości, ale ta krwawa chmura nie była czarno - biała, tylko kolorowa, jaskrawa, przeraźliwie czerwona...

Jak już tyle razy od trzydziestu lat, Frank Horrigan usiadł wyprostowany w łóżku, z rozszerzonymi oczami, spocony, zdyszany, przestraszony.

Zawstydzony.

Słyszał, że wielu ludzi miewa czarno - białe sny, ale on śnił na czarno - biało tylko ten jeden sen - zawsze przerywany okropną eksplozją koloru. Dawniej ten sen męczył go prawie każdej nocy. Teraz pojawiał się rzadziej. Raz na kilka miesięcy. Ale może łatwiej było go znieść, kiedy przychodził często.

Włączył nocną lampkę, która oślepiła go jak zwykle, niczym flesze reporterów tłoczących się wokół prezydentów, których chronił. Na stoliku obok łóżka stały dwie fotografie, jedna niemal równie stara jak wspomnienie wyzwalające ten powracający sen, z którego właśnie się przebudził.

Jakby szukając pocieszenia w tym geście, dotknął zniszczonej drewnianej ramki fotografii, powiększonej odbitki zdjęcia, które zrobił na pikniku w parku stanowym. Na zdjęciu radośnie uśmiechała się jego piękna ciemnowłosa żona i równie śliczna ciemnowłosa córka, która miała wtedy pięć lat. Druga fotografia pokazywała córkę

już jako dorosłą kobietę, wciąż śliczną, chociaż trochę puciołowatą, z mężem Haroldem. A ja ciągle bawię się w policjantów i złodziei, pomyślał.

Ale tylko to mu zostało. To i gra na fortepianie, a tym drugim nie zarobi na życie. Oczywiście to pierwsze może go zabić, ale chyba nie będzie tak źle?

Wiedział, że teraz nie zaśnie, przynajmniej nie od razu, więc wstał, tylko w przepoconych spodniach od piżamy. Jego opalone ciało wyglądało jednocześnie młodo i staro, szczupłe i muskularne, ale poznaczone bliznami, niektórymi od kul.

Ale nie od kul w Dallas. Tamtego dnia nie trafiła go kula. Gdyby trafiła, może wciąż warto byłoby chronić ten kraj, który ochraniał od tylu lat. Oczywiście wówczas nie dożyłby tego.

Ale miał to w nosie.

Wszedł do swojego małego saloniku. W kawalerce na ulicy K panował męski nieporządek - ale nawet po ciemku Horrigan łatwo odnajdywał drogę wśród stosów płyt kompaktowych, nut i muzycznych magazynów, żeby dotrzeć do wieży stereo Onkyo, jedynej własności, jaką sobie cenił. Wrzucił do kompaktu album Milesa Davisa „Kind of Blue” i pozwolił, żeby obmywały go fale nastroju.

Uspokajały.

Westchnął, wciąż próbując otrząsnąć się ze snu. Podszedł do małego barku i nalał sobie na palec czy dwa irlandzkiej whisky Jamesona. Usiadł na sofie pod oknem, gdzie wrześnieowy wiatr wydymał lekkie zasłony, falujące jak leniwe duchy. Wyrzwał na ulicę, mokrą po deszczu, odbijającą światła latarni.

Frank Horrigan był kiedyś przystojny. Wciąż prezentował się nieźle, mimo zmarszczek na twarzy, ale nie przywiązywał wagi do własnego wyglądu. Minione lata naznaczyły piętnem zniszczenia maskę o wąskich oczach i wysokich kościach policzkowych, nieprzeniknioną maskę, której pęknięcia zdradzały ukryty smutek. Miał coraz mniej włosów i coraz mniej cierpliwości.

Wcześniej, jak co wieczór, wpadł do baru na tej samej ulicy, gdzie pozwalali mu siedzieć w kącie i brzdąkać na pianinie. Oczywiście nie dostawał za to ani grosza. Nie był dość dobry, żeby zarabiać graniem, ale za darmo zawsze miał zajęcie.

Teraz, we własnym mieszkaniu, pociągał whisky, delektując się dymnym rozgrzewającym smakiem. Kiedy skończył, nie pozwolił sobie na drugą porcję. Tyle samo wypił w barze i na tym poprzestał. Nawet po tylu latach wciąż jeszcze słyszał głos swojej byłej żony, wypowiadający złowieszcze słowa: „Problem z alkoholem”.

No więc już nie miał problemu. Ten, kto stale przebywa na linii ognia, stanowczo

nie powinien pić.

Kiedy wrócił do łóżka, bluesowa muzyka Milesa Davisa nadal sączyła się z saloniku. Ciepło whisky i trąbka Milesa wystarczyły, żeby go uspokoić.

Zasnął i spał twardo. Sen nie powrócił.

Nie tej nocy.

Mitchell Leary - Mitch dla przyjaciół, z których niewielu pozostało przy życiu - miał zwodniczo łagodny uśmiech, ale łysa głowa, wystające kości policzkowe i mały podbródek sprawiały, że wyglądał jak trupia czaszka z wyszczerzonymi zębami.

Właśnie teraz szczyrzył zęby w ten sposób, kiedy przylepiał skoczem kolejną fotografię prezydenta Stanów Zjednoczonych do ściany obwieszanej zdjęciami obecnego przywódcy narodu, w małej jak cela więzienna sypialni swojego mieszkania, w podniszczonym budynku stojącym w podupadłej dzielnicy Waszyngtonu, D.C.

Niektóre zdjęcia zostały wycięte z gazet i czasopism prezydent macha ręką, wychodząc razem z Pierwszą Damą z prezydenckiego samolotu Air Force One. Pozostałe były powiększeniami osiem na dziesięć zdjęć, które Leary zrobił osobiście w tłumie przy takich okazjach, jak Inauguracja albo wystąpienia prezydenta podczas kampanii wyborczej w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Przecież do wyborów pozostały tylko dwa miesiące.

Co stanowiło dla Leary'ego ostateczny termin.

Uśmiechnął się szerzej na myśl o tym słowie - ostateczny. Uwielbiał ironię, która nadawała smak życiu.

Oprócz zdjęć Leary przykleił również taśmą do ściany albo przypiął pinezkami własnoręcznie nabazgrane notatki, dotyczące nawyków i zwyczajów prezydenta, oparte na wywiadach udzielonych prasie. Ale człowiek, który obecnie był prezydentem, zajmował tylko część wystawy Leary'ego. Fotografie wycięte z książek i czasopism - miałby spore kłopoty, gdyby jakaś biblioteka publiczna wpadła na jego trop! - wzbogacały sypialnianą panoramę o historyczny kontekst.

Obok zdjęć obecnej głowy państwa wisiały podobizny poprzednich prezydentów: Abrahama Lincolna, Jamesa A. Garfielda, Williama McKinleya oraz Johna F. Kennedy'ego.

Istniała jednak pewna różnica - tamte zdjęcia przedstawiały chwilę morderstwa. Na archaicznej, zdobionej ornamentem ilustracji Lincoln osuwał się z fotela w łoży teatru Forda, za nim widniała ręka zuchwałego zabójcy z dymiącym pistoletem.

Równie stara ilustracja pokazywała Jamesa A. Garfielda, któremu rewolwerowiec strzela w plecy. Na innej William McKinley zataczał się do tyłu, kiedy obłąkany morderca naciskał spust rewolweru. I wreszcie, rażąco nowoczesna wśród tych staroci, fotografia Johna Kennedy'ego spoczywającego bezwładnie na siedzeniu limuzyny, z samochodu obstawy biegnie do niego agent, inni agenci stoją na stopniach samochodu jak skamieniali.

Nie wszystkie mordercze sceny przedstawiały prezydentów, byli tam również inni sławni przywódcy polityczni: oszołomiony, ciężko ranny Anton Cermak, burmistrz Chicago, wyprowadzany na zjeździe w Miami zamiast niedoszłej ofiary, prezydenta - elekta Franklina Delano Roosevelta; Robert Kennedy leżący na plecach w kuchni hotelu „Ambasador”, z pustym spojrzeniem trupa; Martin Luther King, Jr., na podłodze hotelowego balkonu w Memphis.

Inne twarze, niektóre uśmiechnięte, patrzyły na Leary'ego ze ściany: rumiany, przystojny, wąsaty John Wilkes Booth; brodaty, podobny do kaznodziei Charles J. Guiteau, słynny „rozczarowany kandydat”, który zastrzelił prezydenta Garfielda; jasnowłosy, wołooki anarchista Leon Czolgosz, który zabił McKinleya; Giuseppe Zangara, Sycylijszyk z dziką fryzurą i dzikim spojrzeniem, zabójca Cermaka; bliźniak Zangary, Arab o martwych oczach, Sirhan Sirhan; zwykły, pospolity wieśniak, James Earl Ray...

I oczywiście ponury, nadąsany, nie ogolony Lee Harvey Oswald obok takich pomniejszych sław, jak Arthur Bremer, który zaatakował George'a Wallace'a, oraz niedoszły zabójca Reagana, blady, kluchowaty John Hinkley. Może ten ostatni nie zasługiwał na swoje honorowe miejsce, pomyślał Leary marszcząc brwi.

Z rozmysłem pominął tego ordynarnego rzeźnika Jacka Ruby'ego. Wykluczone, żeby morderca Johna Lennona zawisnął kiedyś w tej galerii. Ten skurwysyn! Zabił jednego z Beatlesów! Beatlesa! Leary chętnie posadziłby drania na elektrycznym krześle.

Nucąc „With a Little Help from My Friends”, dokonał ostatecznego retuszu ekspozycji. Wrócił do zdjęcia obecnego prezydenta, które zrobił osobiście - prezydent uśmiecha się, macha do tłumu. Zręcznym, niemal malarskim pociągnięciem czerwonego flamastra kustosz niewielkiego muzeum obrysował serce prezydenta.

Leary ponownie wyszczerzył zęby. Doskonały efekt, pomyślał. Czerwony rysunek wyglądał jak integralna część fotografii, jak wydrukowany. Niewątpliwie kiedyś ta fotografia zostanie wydrukowana w książce, uzupełniona o rysunek jego autorstwa.

Skrzyżowane nitki teleskopowego celownika.

## 2.

Horrigan, oparty o ścianę budynku w murzyńskiej dzielnicy handlowej, ignorując okazjonalne niezyczliwe spojrzenia przechodniów, postukiwał nogą, ale nie w rytmie czyjegoś kombajnu czy własnej wewnętrznej muzyki. Jego nowy partner się spóźniał. Zadanie, które ich czekało dziś rano, wymagało punktualności podobnie jak ludzie, z którymi mieli do czynienia.

Kolejny raz spojrział na zegarek, kiedy miedzianobrazowy dżip cherokee wyjechał zza rogu z piskiem opon.

Horrigan szybko wskoczył do środka, a jego partner natychmiast zaczął się usprawiedliwiać.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedział Al D'Andrea. Młody ciemnowłosy agent - naprawdę młody, jeszcze przed trzydziestką - był poważny, banalnie przystojny, w stylu yuppie, którego Horrigan miał już powyżej uszu. Podobnie jak Horrigan, D'Andrea ubrany był swobodnie, lecz kosztownie - koszulka polo od Ralphi Laurena i lniana sportowa marynarka. Część kamuflażu. Bardzo w stylu „Policjantów z Miami”.

- Jedź już - zażądał Frank.

D'Andrea ruszył. Nie odezwał się, dopóki nie podjechali do stoczni, sąsiadującej z basenem dla jachtów na zatoce Chesapeake.

- Słuchaj, Ricky się denerwował - powiedział wreszcie D'Andrea skomlącym tonem.

- Ricky? Kto to jest Ricky, kurwa? D'Andrea zamrugał.

- Ricky to mój dzieciak. Ma dopiero sześć lat. To jego pierwszy dzień w nowej szkole.

- Och.

- Mówiłem mu, że musi jakoś wytrzymać. Niełatwo być nowym, wiesz. - Potrząsnął głową, patrząc na drogę. Biedny maluch miał porządnego stracha.

Horrigan nie odpowiedział.

- A moja żona musiała być wcześniej w pracy, no i...

- Słuchaj, Al - przerwał mu Horrigan z hamowanym zniecierpliwieniem. - Pracujesz ze mną, więc przyjeżdżaj na czas. W naszym interesie spóźnienie to śmierć. Łapiesz?

D'Andrea przytaknął ponuro, prowadząc samochód.

- Łapię.



Horrigan wyciągnął z kieszeni sportowej marynarki małego czarnego colta kaliber 38 i podał D'Andrei, który wepchnął go nerwowo do kieszeni własnej marynarki. Przed nimi błyszczał basen portowy, owal czystego błękitu zaśmiecony zabawkami bogatych ludzi - jachtami wszelkich rozmiarów.

Podjechali do samotnego mola, gdzie dokowała tylko jedna łódź, wielka, wspaniała czerwona żagłówka z białym ożaglowaniem, idealna na morskie wycieczki. Horrigan podejrzewał jednak, że kapitana tego jachtu nie ma na liście czarterowej.

Dwaj tajni agenci weszli na chybotliwy pomost. Chłodna jesienna bryza wydymała ich lniane marynarki. Obok podskakującej łodzi czekali trzej mężczyźni. Przywódca ciemny, przystojny, wyelegantowany yuppie, pełen uśmiechów, również w pastelowym stroju od Ralphi Laurena zawołał: - Frank! Miło cię widzieć!

To był Paul Mendoza. Po jego bokach stali dwaj inni cwaniacy w kosztownych garniturach: silnoręki nazwiskiem Jimmy Hendrickson, wielki blondyn w typie futbolowego obrońcy wywalonego z uczelni przed dziesięciu laty, oraz Raul, żylasty młody Hiszpan z wąsikami cienkimi jak kreska.

- Jak ci leci, przyjacielu? - zagadnął Mendoza wyciągając do Horrigan rękę, której ten nie przyjął. - Nieźle.

- Trochę się spóźniłeś. Już zaczynaliśmy się martwić.

- Nie znasz kawału o Milesie Davisie?

- O kim? - zapytał Mendoza, marszcząc brwi.

- O wielkim trębaczku jazzowym. To świetny kawał. Ale jeśli się spieszysz...

Mendoza objął Horrigan ramieniem.

- Przyjaciele zawsze mają czas dla przyjaciół. Proszę bardzo. Opowiedz swój kawał. Horrigan uśmiechnął się. Skrzyżował ramiona.

- No, skoro sobie życzysz. Wiesz, Miles Davis miał wielki koncert w mieście. Jechał na występ ze swoim menażerem i kazał kierowcy limuzyny zatrzymać się obok drogerii. Miles wysiadł i po pięciu minutach wrócił z papierosami. Kierowca pojechał dalej, ale Miles kazał mu stanąć obok sklepu z alkoholem. Miles wysiadł i po pięciu minutach wrócił z butelką burbona. Jechali dalej i Miles znowu kazał się zatrzymać obok kiosku z gazetami. Wysiadł, przejrzał czasopisma, po pięciu minutach wrócił z ostatnim numerem „Downbeat”. Menażer mówi do niego: „Miles! Spóźnisz się na koncert!” A Miles odpowiada: „Hej, człowieku, ja nie mogę spóźnić się na koncert - koncert to ja”.

Horrigan uśmiechnął się z własnego dowcipu, podczas gdy tamci patrzyli na niego

w milczeniu. Jedynym dźwiękiem był lekki łopot żagla na wietrze.

Potem Mendoza ryknął śmiechem, a pozostali - włącznie z trochę zaniepokojonym D'Andrea - uśmiechnęli się uprzejmie.

- Ale z ciebie numer, Frank! - powiedział Mendoza. Ale numer.

Horrigan wzruszył ramionami.

- W każdym razie przepraszamy za spóźnienie. Cholerne korki.

- Takie jest życie, przyjacielu. Cholerne życie! - Mendoza odwrócił się do D'Andrei.

- Al... pójdziesz z Jimmym i Raulem, dobrze? Chcę pogadać w cztery oczy z Frankiem.

- Jasne - odparł D'Andrea.

Hendrickson zrobił ruch, jakby chciał go obszukać. D'Andrea uśmiechnął się z zażenowaniem i ostrożnie wyjął za lufę colta z kieszeni marynarki, jako dowód dobrej woli.

Mendoza zmierzył go spojrzeniem.

- Umawialiśmy się, żadnej broni. Przecież jesteśmy przyjaciółmi, no nie?

D'Andrea przełknął ślinę i powiedział: To Frank. To jego broń. Jego pomysł. Dzieciak z sercem na dłoni, pomyślał ironicznie Frank.

- Wchodźcie na pokład. - powiedział Mendoza, poganiając ich niedbałym gestem.

Weszli na łódź po wąskim trapie - najpierw Raul, potem D'Andrea, na końcu Hendrickson - a Mendoza popatrzył na Horriganę z rozczarowaną miną.

- Broń, Frank? Nie ufasz mi?

- Waszyngton to twarde miasto. Trzeba uważać, żeby nie dać się wyrolować.

Mendoza uśmiechnął się kątem ust.

- Ciebie też mam obszukać, Frank?

- Jestem nie uzbrojony. Ale nie krępuj się. Mendoza popatrzył na niego z namysłem.

- Nie ufasz mi? - zapytał Horrigan z lekką drwiną.

- Ale z ciebie numer, Frank. Naprawdę.

- Więc gdzie twoja trefna forsa, Paul? Nie zamierzam tracić całego dnia, nawet jeśli się spóźniłem.

Mendoza zaprowadził go na łódź. Stał na mostku i podał nowiutki studolarowy banknot Horriganowi, który wyciągnął z kieszeni jubilerską lupę, żeby sprawdzić jakość fałszerstwa.

- Benjamin Franklin nigdy nie wyglądał lepiej - ocenił.

Wyjął lupę z oka, wsunął do kieszeni, następnie zbadał fakturę banknotu,

pocierając go między kciukiem a palcem wskazującym obu dłoni.

- Paul - powiedział z szerokim uśmiechem - myślę, że zrobimy interes.

Mendoza wyjął banknot z rąk Horriganana i spojrzał na swojego „przyjaciela” smutnym wzrokiem.

- To dobra nowina. Ale jest jeden kłopot, Frank.

- Jaki kłopot, Paul? Falszerz cmoknął cicho.

- Najgorszy.

Kiwnął na agenta zgiętym palcem i sprowadził go na dół, do luksusowych apartamentów pod pokładem. Przeszli przez salon z pluszowym dywanem, nadmiernie wyściełanymi sofami i lustrzanym barem.

- Twój przyjaciel Al... ciągle wypytuje o mojego artystę malarza.

Było to przyjęte określenie fałszerza najwyższej klasy, fachowca, który potrafił podrobić matryce.

- Al jest młody - stwierdził obojętnie Horrigan. Ciekawy. Uczy się życia.

Mendoza zatrzymał się i podniósł palec.

- Za bardzo ciekawy. Za szybko się uczy.

- Paul, poręczyli za niego... Mendoza wciągnął nosem powietrze.

- Wiesz, co mój nos mi mówi? Coś tu śmierdzi. Coś tu śmierdzi jak cholerna Tajna Służba.

- Na pewno się mylisz, chłopie...

Przyjazna mina Mendoza zniknęła, zastąpiona groźnym grymasem, który budził lęk nawet w twardych, zahartowanych agentach podobnych do Horriganana.

- Nie. Kazałem mojemu chłopakowi Hendricksonowi śledzić twojego przyjaciela. Mieszka w Virginia, ten twój przyjaciel.

- Dużo ludzi mieszka w...

- Sąsiedzi go lubią. Mówią, że pracuje dla rządu.

- Nie chrzań - mruknął Horrigan.

- Nie chrzanię - zgodził się Mendoza i otworzył drzwi do kuchni, gdzie siedział D'Andrea przywiązany sznurem do krzesła, zakneblowany kolorową apaszką, z wybałuszonymi oczami pełnymi przerażenia. Hendrickson stał obok z rewolwerem D'Andrei w ręku. Raul pilnował tyłów, stojąc obok mrużącej lodówki. Nucił coś pod nosem i popijał z kartonu mleko, dodając cienki biały wąsik do swojego czarnego.

Mendoza wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Przybrał skonsternowaną minę.

- Jak mam rozwiązać ten kłopot, Frank?

- Obciążyć go.

- Co?

- Inaczej ciało zostanie wyrzucone na brzeg. Albo napęcznieje i wypłynie na powierzchnię, gdzie je zobaczą rybacy.

Mendoza uśmiechnął się na te słowa, a Raul z wąsikiem od mleka ryknął śmiechem. D'Andrea chyba się wahał, czy zemdleć, czy po prostu umrzeć.

- Ale z ciebie numer - stwierdził Mendoza. Sięgnął do kieszeni i podał Horriganowi mały automatyczny pistolet z kolbą wykładaną masą perłową.

Horrigan nie wziął broni, tylko na nią popatrzył.

- To prezent, Paul? Z jakiej okazji? Mendoza potrząsnął głową.

- Z żadnej okazji, Frank. To raczej... zobowiązanie.

- Och.

- Chcę, żebyś ty go kropnął, Frank. - Mendoza wycelował palcem w powietrze i zacisnął dłoń, jakby strzelał. - Frank Horrigan wciąż patrzył na pistolet z niewzruszoną twarzą. Natomiast D'Andrea pocił się i wytrzeszczał oczy ze strachu. Chłopak był niedoświadczony, w przeciwieństwie do Horrigan.

- Widzisz - powiedział Mendoza, kładąc przyjazną dłoń na ramieniu agenta - boję się, że jesteś z nim. Że jesteś jego przyjacielem, a nie moim.

- Jestem przyjacielem wszystkich. Jestem biznesmenem.

Mendoza ponownie wzruszył ramionami.

- Jak go rozwalisz, to zrobimy interes.

Horrigan westchnął. Spojrzał na D'Andreę, mokrego od potu, drżącego ze strachu.

- Zwykle nie robię takich rzeczy - oświadczył. - Jestem zwykłym biznesmenem, ale...

Wyciągnął rękę i niechętnie wziął broń od Mendoza. Zważył w dłoni mały automat. Lekki. Agent powściągnął uśmiech.

Hendrickson wymierzył trzydziestkęósemkę D'Andrei w Horrigan; pod sportową marynarką miał kaburę zawieszoną na ramieniu. Raul opierał się o kontuar, uśmiechając się wyczekująco pod wąsem z mleka. Raul miał rewolwer za paskiem.

Horrigan podszedł do związanego D'Andrei, który przerażonymi oczami wypatrywał jakiegoś sygnału na twarzy agenta - daremnie, ponieważ Horrigan nie zamierzał ryzykować.

Przyłożył lufę do skroni swojego partnera. D'Andrea próbował połknąć knebel, rozpaczliwie wciągając powietrze. Mocno zacisnął powieki, łzy spływały mu po

policzkach...

Horrigan nacisnął spust: - Klik!

Nie było kuli - ale Horrigan o tym wiedział. Oczywiście biedny D'Andrea na pewno nie wytrzymał i złał się w spodnie ze strachu. Lepszy od niego nie wytrzymywali.

- Brawo! - zawołał Mendoza, wyjął mały pistolet z ręki Horriganana i poklepał go po plecach. - Brawo. Przepraszam, ale musiałem się upewnić, przyjacielu.

Kiwnął na Hendricksona, który podszedł do D'Andrei. Potem fałszerz objął Horriganana ramieniem i powiedział: - Lubisz omlety, Frank? Ja lubię. I znam najlepsze miejsce... Robią tam omlety z serem i chili, mówię ci, bomba...

Mendoza ruszył do wyjścia, ale Horrigan zwlekał.

Hendrickson, z rewolwerem zatkniętym za pasek, naciągał plastikową torbę na głowę D'Andrei. Raul, popijając mleko z kartonu, przyglądał się temu niemal ze znużeniem.

- Nie można zrobić omletu bez rozbijania jajek, Frank powiedział Mendoza z lekkim smutkiem. - Chodź, przyjacielu.

Pod plastikową torbą, zaparowaną przyspieszonym oddechem, twarz D'Andrei zsiniała, oczy wyszły z orbit. Daremnie szarpał się w więzach. Wielki jasnowłosy bandzior mocno przytrzymał torbę na karku D'Andrei, skręciwszy plastik w garści.

- Może chcę popatrzeć - powiedział Horrigan.

- Naprawdę? - Mendoza zatrzymał się w drzwiach kuchni, zainteresowany i rozbawiony.

- O mało sam nie zginąłem przez tego faceta - wyjaśnił Horrigan. Podszedł bliżej i pochylił się z uśmiechem, jakby napawając się widokiem umęczonego D'Andrei. No i jak umiera gnojek z Tajnej Służby?

Hendrickson odpowiedział uśmiechem nachylonemu Horriganowi, fachowiec dumny ze swojej roboty. Głupi palant.

Jednym płynnym, swobodnym ruchem Horrigan wyjął rewolwer zza paska wielkiego blondyna i strzelił mu w żołądek.

Huk strzału rozległ się echem w małym pomieszczeniu. Horrigan odwrócił się w stronę Raula, który wolną ręką sięgał po broń. W drugiej ręce trzymał karton mleka, który dostał kulę i bluznął mlekiem jak krwią; ale Raul również dostał kulę i bluznął krwią.

I upadł.

Horrigan usłyszał z tyłu następne „klik”, odwrócił się i uśmiechnął na widok

Mendozy, który próbował wystrzelić z małego automatycznego pistoletu o rękojeści wykładanej masą perłową.

- Zapomniałeś, przyjacielu? - zapytał Horrigan.

Mendoza przełknął z trudem. Wydawał się bardzo zdenerwowany. Skulił się pod przepełnionym nienawiścią wzrokiem Horrigan.

- Nie ma kul, Paul - powiedział Horrigan. Podszedł do D'Andrei i zerwał mu z głowy plastikową torbę, która od śmierci Hendricksona przestała być szczelna, ale D'Andrea i tak wydawał się wdzięczny za łyk prawdziwego powietrza. Nawet jeśli było to powietrze przesiąknięte kordytem w ciasnej kabinie.

Mendoza instynktownie poderwał ręce do góry.

- Nie rób tego, człowieku... nie rób tego!

Horrigan zbliżał się do niego, a Mendoza cofał się, dopóki nie wpadł na kontuar. Martwe ciała jego goryli leżały bezwładnie na podłodze kuchni; krew mieszała się z mlekiem, tworząc białe - czerwone marmurkowe deseń.

Horrigan uśmiechnął się i przystawił lufę do skroni Mendoza. Mendoza zamknął oczy, jego usta poruszyły się w modlitwie.

- Koncert to ja, ty skurwysynu - powiedział Horrigan. Na spodniach Mendoza z przodu pojawiła się mokra plama.

- Aha, jeszcze jedno - dodał Horrigan. - Jesteś aresztowany, gnoju.

### 3.

Późnym popołudniem Horrigan i jego nowy partner, wciąż przepelniony ulgą, ale ledwie żywy ze zmęczenia Al D'Andrea, siedzieli w ulubionym barze Horrigan. Dokładnie biorąc, Horrigan jak zwykle siedział przy pianinie. Tym razem grał ciężką jazzową wersję „La Mer” albo „Na morzu”, jak to nazywał Bobby Darin, w hołdzie dla niedawnych żeglarskich przeżyć. D'Andrea przyciągnął sobie stół do pianina.

Twierdzisz - mówił D'Andrea - że odgadłeś po wadze broni, że nie była nabita?

- Właśnie, pusty magazynek - potwierdził Horrigan i odegrał kilka skocznych akordów.

- Kurwa, przecież nabój mógł być w lufie! Horrigan sięgnął po szklaneczkę whisky Jamesona i pociągnął łyk, nie odrywając lewej ręki od klawiatury.

- Nie pomyślałem o tym.

D'Andrea wytrzeszczył na niego oczy, jak wtedy, kiedy siedział związany i zakneblowany na krześle. Horrigan uśmiechnął się do niego niewinnie i znowu zaczął grać prawą ręką. D'Andrea wychylił duszkiem swojego drinka, przewracając oczami wciąż rozszerzonymi ze strachu i potrząsając głową.

- Załatwiłeś tych facetów w taki sposób... - D'Andrea zadygotał. - Na zimno, człowieku.

- Nie znałem innego sposobu.

- Ty... ty już zabijałeś ludzi, Frank?

Horrigan kiwnął głową, przechodząc na improwizowany jazz - blues, który trochę przypominał „Stormy Monjay”, a trochę nie.

D'Andrea nachylił się do niego, jakby zamawiał utwór na życzenie.

- Czy to... czy to cię nie rusza?

- Co?

- Jezu! Zabijanie ludzi.

- Staram się zachować dystans - odparł Horrigan. D'Andrea wyprostował się i zagapił na swojego drinka.

Wpatrywał się w szklaneczkę, jakby szukał tam odpowiedzi, których nie mógł uzyskać od swojego partnera. Potem nagle powiedział cicho: - Nie wiem, czy się do tego nadaję.

- Czemu?

- Człowieku... mało się nie zesrałem ze strachu.

- Al... każdy sra ze strachu, kiedy ma zasraną plastikową torbę naciągniętą na zasraną głowę.

D'Andrea roześmiał się z tego steku przekleństw.

- Zasrana piątka.

Horrigan obdarzył partnera nikłym uśmiechem i dalej grał bluesa, naciskając basy lewą ręką.

D'Andrea w roztargnieniu spoglądał na telewizor, umieszczony wysoko nad barem. Na ekranie prezydent przemawiał w Różanym Ogrodzie. Agenci - wszyscy dobrze znani Horriganowi - otaczali wielkiego człowieka.

- Może - rozmyślał na głos D'Andrea, zahipnotyzowany widokiem na ekranie - może gdybym pracował w ochronie... No bo komu potrzebne to całe gówno z kamuflażem?

Horrigan chrząknął.

- Podoba ci się wystawianie na strzał, Al? Kiedy własnym ciałem próbujesz zatrzymać kulę przeznaczoną dla faceta, którego ochraniasz?

D'Andrea znowu wpatrywał się w szklaneczkę.

- Może brakuje mi... brakuje mi odwagi do takiej pracy.

Horrigan przestał grać. Popatrzył twardo na swojego partnera, przygważdżając go wzrokiem.

- Jesteś dobrym człowiekiem. Będiesz dobrym agentem.

D'Andrea uśmiechnął się z przymusem.

- Dlaczego tak mówisz? Przecież wypaplałem, że dałeś mi broń, wtedy na tej cholerniej łódce.

- Dobrze zrobiłeś, że to powiedziałeś. Wyszło doskonale.

- No, nie wiem. Chyba wpadłem w panikę.

- Zaufaj mi. Dasz sobie radę. Doskonale dasz sobie radę.

- Skąd wiesz? - zapytał D'Andrea tonem bliskim irytacji. - Jeszcze nigdy tak długo ze sobą nie rozmawialiśmy!

Horrigan wzruszył ramionami i znowu zaczął grać, wracając do bluesa.

- Znam się na ludziach. Za to mi płacą.

D'Andrea uśmiechnął się, bo to zabrzmiało trochę afektowanie. Dopił drinka - swojego jedyne go drinka, ponieważ prowadził - i słuchał gry Horrigan. Po chwili starszy agent spojrział na zegarek.

- Chcesz coś zjeść? - zaproponował.



- Co? - uśmiechnął się D'Andrea. - Nie mów mi, że znasz wspaniałą restaurację z omletami!

- Myślałem raczej o czymś włoskim. Na cześć mojego nowego partnera.

D'Andrea zeskoczył ze stołka.

- Nie, dziękuję. Muszę zrobić parę rzeczy.

- Na przykład?

- Wrócić do domu, ucałować żonę i uściskać dzieciaka.

- Całkiem niezły plan.

D'Andrea wyciągnął rękę.

- Dzięki, partnerze... za uratowanie życia.

- Hej... ale ze mnie numer, jak mówił Mendoza. Podali sobie ręce; ten gest zawierał w sobie ciepło, które wzruszyło Horrigan, chociaż nie przyznałby się do tego za mniej niż komplet kompaktów Milesa Davisa.

- Ale z ciebie numer - powtórzył D'Andrea. - Słyszałem o tym, odkąd przyjechałem do miasta. Chłopaki ostrzegali mnie przed tobą.

- Ostrzegali przed czym? D'Andrea uśmiechnął się krzywo.

- Ostrzegali, że cholerny Horrigan jest upierdliwy jak wrzód na dupie.

- Ładnie to określili. I dokładnie. - Horrigan poklepał młodszego agenta po ramieniu. - Do zobaczenia w biurze.

D'Andrea szeroko otworzył oczy.

- O kurwa! - Pogrzebał w kieszeni sportowej marynarki i wyciągnął kartkę papieru.

- Cholera, całkiem zapomniałem! Kiedy zgłosiliśmy się do biura, po tej rozróbie na przystani, Monroe miał dla nas zadanie!

- Zadanie? Gdzie ja wtedy byłem, do cholery?

- Zdawałeś raport. To nie jest prawdziwe zadanie, Frank... tylko jeszcze jeden świr, którego mamy sprawdzić. Chyba może poczekać do jutra.

- Lepiej to zrobić dzisiaj.

- Pewnie masz rację... Cholera jasna. Zaczekaj chwilę, zadzwonię do domu...

Horrigan wyjął kartkę z ręki swojego partnera.

- Wracaj do domu.

- A co z tym świrem?

- Ja to załatwię.

- Powinienem pójść z tobą...

- Ucałuj żonę. Uściskaj dzieciaka. Zmykaj. Oczy D'Andrei wreszcie uwolniły się od

strachu.

- Dzięki, partnerze - powiedział.

Po wyjściu młodszego agenta Horrigan dokończył drinka i spojrzał na adres.

- Ładna dzielnica - stwierdził ironicznie.

Gospodyni, prowadząca Horriganem ciemnym korytarzem zaniedbanego bloku mieszkalnego, mówiła z obcym akcentem, ale agent nie potrafił go rozpoznać. Może litewski? W każdym razie kobieta była tłusta i równie pospolita co włochata brodawka na jej policzku - niezbyt atrakcyjne towarzystwo na wieczór.

- Ja nie jestem wścibska, proszę pana - mówiła, człapiąc przed Horriganem. - Nie wtykam nosa w cudze sprawy. Ale włączył się alarm pożarowy.

- Postąpiła pani słusznie - powiedział Horrigan swoim najlepszym monotonnym głosem Jacka Webba.

- Usłyszałam wycie, więc się przestraszyłam. Ale najbardziej się przestraszyłam, jak zobaczyłam, co jest w środku...

Zatrzymała się pod drzwiami z numerem 314 i zastukała. Horriganowi ciążyły powieki. To był długi dzień i zapowiadała się bezsensownie długa noc.

Tłusta gospodyni wciąż paplała: - Dymiło się, bo zostawił włączony piecyk z resztkami jedzenia.

Zapukała jeszcze raz. Nadal brak odpowiedzi.

- Czy mam otworzyć drzwi, proszę pana?

- Nie mogę tego żądać od pani - powiedział Horrigan. Nie mam nakazu. Z drugiej strony pani jest gospodynią. Jeśli pani chce tam wejść w moim towarzystwie, decyzja należy do pani.

Z zapalem kiwnęła głową.

- Właśnie tego chcę! Dokładnie o to mi chodzi. I otworzyła drzwi uniwersalnym kluczem. Przeprowadziła go przez mały, ciemny przedpokój - tandetnie urządzonej kuchni, gdzie smugi kopcju plamiły spękany tynk na ścianach, a zapach spalonych resztek jedzenia wisiał w powietrzu jak brudna zasłona, natrętny i przenikliwy. Na końcu korytarza nacisnęła przełącznik światła i odstąpiła na bok, wskazując otwarte drzwi. Oczy miała wielkie i okrągłe jak przestraszona uczennica.

Horrigan wszedł do małej jak cela sypialni z ponurymi tapetami, obłazącymi ze ścian i tak wyblakłymi, że nie dało się rozróżnić deseni. Jedna ze ścian była udekorowana fotografiami i ilustracjami wyciętymi z czasopism oraz błyszczącymi

odbitkami osiem na dziesięć. Przed wielu laty siostra Horrigan dekorowała w ten sposób ściany swojej sypialni plakatami Fabiana, Frankiego Avalona i Bobby'ego Rydella.

Lecz budowniczy tej świątyni nie interesował się idolami nastolatków.

Ten człowiek modlił się przed ołtarzem Lee Harveya Oswalda i Sirhana Sirhana. Ten człowiek sypiał na wąskim łóżku, podobnym do więziennej pryczy, skąd mógł wpatrywać się miłośnie w podobizny zamordowanych prezydentów. Ten człowiek spisał, wyraźnym i wyraźnie nerwowym charakterem pisma, szczegóły dotyczące zwyczajów obecnego prezydenta.

Ten człowiek dorysował czerwonym kolorem na fotografii tarczę teleskopowego celownika na piersi prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Trzydzieści jeden lat mieszkam w tym kraju - mówiła gospodyni. - Kocham ten kraj... nasze Stany Zjednoczone. Byłam w Białym Domu pięć, sześć razy. Ja sama, osobiście! Tylko w Stanach Zjednoczonych każdy może pójść z wizytą do domu prezydenta...

Na zniszczonej, odrapanej komodzie stał rząd książek, wszystkie o jednakowej tematyce: zabójcy i zabójstwa, tomy opisujące konspirację JFK.

- Więc kiedy to zobaczyłam... te rzeczy o zabijaniu... zadzwoniłam na policję - ciągnęła gospodyni. - Oni mówią, proszę zadzwonić do Tajnej Służby. Zadzwoniłam, ale nikt nie przyszedł przez dwa dni!

Horrigan, nie dotykając niczego, ukląkł obok stosu kaset wideo: wszystkie dotyczyły zabójstwa Kennedy'ego.

- Proszę pani - powiedział - prezydent otrzymuje ponad tysiąc czterysta śmiertelnych gróźb rocznie. Każdą musimy sprawdzić. To zabiera czas.

- No, cieszę się, że w końcu pan przyszedł. Lepiej późno niż wcale - stwierdziła.

Nie miał siły opowiadać po raz kolejny anegdoty o Milesie Davisie, żeby jej wyjaśnić, że koncert to on.

- Mówiła pani, że lokator nazywa się McCrawley?

- Joseph McCrawley - potwierdziła, gwałtownie kiwając głową. - Z Colorado Denver!

Na małej szafce znajdowały się dwa interesujące przedmioty. Jednym był smukły, futurystyczny model samochodu z plastyku, spoczywający na stercie hobbystycznych magazynów dla kolekcjonerów modeli samochodów.

Drugim przedmiotem była kartka papieru z odręcznym napisem:

MOGĄ MNIE ZAGAZOWAĆ, ALE JESTEM SŁAWNY. W JEDEN DZIEŃ OSIĄGNAŁEM TO, NA CO ROBERT KENNEDY POŚWIECIŁ CAŁE ŻYCIE.

Horrigan rozpoznał cytaty, ale nawet gdyby miał wątpliwości, łatwo mógł odgadnąć nazwisko autora - Sirhan Sirhan.

Przyjrzał się dokładniej fotografiom na ścianie. Na widok Roberta Kennedy'ego, leżącego na podłodze w kałuży krwi, ścisnęło go w gardle. Bobby. Kłótniwy mały drań. Nawet teraz, po tylu latach, Horrigan wciąż za nim tęsknił...

Przeniósł spojrzenie na drugie zdjęcie: brat Bobby'ego, John, zwisający z siedzenia limuzyny na tej krwawej ulicy w Dallas. Z samochodu obstawy agent biegnie stronę prezydenta, a trzech inni agenci stoją na stopniach.

- Pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj - powiedziała kobieta. - Płakałam i płakałam...

Horrigan również pamiętał.

To on był na zdjęciu.

Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko zniszczonego bloku mieszkalnego - przeznaczonego do rozbiórki podczas planowanej przebudowy miasta - mężczyzna średniego wzrostu stał w ciemności i spoglądał w okno na drugim piętrze, gdzie cienie poruszały się za zasłoną.

Mitch Leary skrzywił się na ten widok, na tę myśl, że ktoś jest w jego mieszkaniu. Będzie musiał się przeprowadzić, natychmiast. Cholera!

Potem zasłona się uniosła i cień stał się mężczyzną, stojącym w oknie mieszkania Leary'ego, wyglądającym na ulicę.

Ze zirytowaną miną Leary podniósł do oczu małą, silną lornetkę i skierował ją na twarz intruza.

Nagle wyszczerzył zęby w uśmiechu trupiej czaszki.

- Frank Horrigan! - szepnął do siebie. Krew w nim wezbrała. Co za cudowna ironia! - Uroczo - mruknął Leary. Wetknął lornetkę do kieszeni nieprzemakalnego płaszcza i czekał.

#### 4.

Joseph McCrawley z "Colorado Denver" (jak się wyraziła gospodyni) nie żył od 1961 roku.

Tak przynajmniej twierdził Jack Okura z Wydziału Śledczego, a jego komputery nigdy nie kłamały. McCrawley zmarł w wieku jedenastu lat. Człowiek, który używał nazwiska dawno nieżyjącego dziecka, człowiek, którego sypialnia stanowiła obłąkaną świątynię mordu, z pewnością manipulował systemem, żeby zdobyć duplikat metryki urodzenia McCrawleya, na podstawie której otrzymał prawo jazdy i zbudował sobie fałszywą tożsamość.

A więc następnego popołudnia Horrigan - ze swoim partnerem D'Andrea oraz nakazem w pogotowiu - wrócił do obskurnego mieszkalnego bloku, stanął na korytarzu przed mieszkaniem 314 i załomotał pięścią w drzwi.

- Federalni agenci - szczeknął. - Otwierać!

Chociaż opasła gospodyni twierdziła, że „nie jest wścibska”, obserwowała go z końca korytarza, wyciągając tłustą szyję. Zrobiła wielkie oczy, kiedy Horrigan i D'Andrea wyciągnęli rewolwery z kabur, umieszczonych pod pachami tradycyjnych garniturów.

D'Andrea ruchem ręki kazał kobiecie się cofnąć, podczas gdy Horrigan otwierał drzwi uniwersalnym kluczem, który od niej dostał.

Starszy agent stanął z boku, plecami do ściany, a młodszy agent stanął po drugiej stronie w takiej samej pozycji, bronią skierowaną lufą do sufitu. Horrigan sięgnął lewą ręką i przekręcił klamkę; potem kopnął w drzwi bokiem lewej stopy.

Drzwi otwarły się gwałtownie i uderzyły z hukiem o ścianę, a potem znowu zapadła cisza.

Wyraźnie zdenerwowany D'Andrea spojrzął na Horrigan, który ledwo dostrzegalnie wzruszył ramionami. Starszy agent wszedł pierwszy, powoli, ostrożnie. Minął pustą kuchnię, gdzie wciąż unosił się odór spalenizny. Ani żywej duszy.

Ciszę mącił jedynie odgłos ich własnych lekkich kroków.

Horrigan ponownie ustawił się plecami do ściany obok otwartych drzwi sypialni. Potem nagłym ruchem przewinał się przez drzwi, skulony, omiatając pokój lufą rewolweru.

Pokój był zupełnie pusty.

Opróżniono go ze wszystkiego oprócz tanich mebli. Wyciągnięte szuflady biurka i

małej komódki ziały pustką. Wąskie łóżko było starannie zasłane, po wojskowemu. Książki o zabójstwach i kasety wideo, smukły model samochodu i hobbystyczne czasopisma - zniknęły. Z wytapetowanych ścian usunięto groteskową ekspozycję... z jednym wyjątkiem.

Horrigan wsunął rewolwer do kabury i powoli podszedł do jedynej pozostawionej fotografii.

D'Andrea stanął za nim.

- Jezu - wyszeptał.

Była to oczywiście fotografia z Dallas, zastrzelony prezydent w limuzynie, agent biegnący w jego stronę, trzech inni agenci jadący na stopniu samochodu obstawy.

Głowa najbliższego z agentów na stopniu była obrysowana czerwonym kółkiem, co przypomniało Horriganowi zdjęcie, które widział wczoraj wieczorem w tym pokoju, zdjęcie obecnego prezydenta z czerwoną tarczą na piersi.

- Przecież to ty - powiedział D'Andrea. Na chwilę odebrało mu głos. - Jezu, Frank... miałaś rację.

- Z czym?

- Koncert to ty.

Tego wieczoru, po długim dniu przesłuchiwania pozostałych lokatorów i asystowania technikom z laboratorium Przy badaniu pustego mieszkania, D'Andrea odwoził Horriganą do domu swoim najnowszym modelem pontiaca sunbird. Horrigan nie miał własnego samochodu korzystał z komunikacji publicznej albo z cudzej uprzejmości.

Spoglądając przez okno samochodu na miasto okryte nocą, Horrigan pragnął myśleć, nie rozmawiać. Ale jego milczenie widocznie denerwowało D'Andree. Młodszy agent uparcie próbował nawiązać konwersację.

- Ani jednego odcisku palca. Cholera, możesz to sobie wyobrazić?

Horrigan nie odpowiedział. Wiedział, że trudniej znaleźć odpowiedni odcisk palca niż odpowiednią kobietę, ale milczał.

- Brady mówi, że ten facet musi być dobry.

Brady był technikiem, który używał do badań wymyślnego lasera Omniprint 1000, ale bez powodzenia.

- Ja bym go nie określał w ten sposób - mruknął - W jaki sposób?

- Dobry.

D'Andrea kiwnął głową, patrząc na drogę. Szum opon i odgłosy ulicznego ruchu usypiały Horriganą. Zamknął oczy. Chciał zasnąć. Gotów był nawet zaryzykować tamten sen.

- Człowieku, ten facet idealnie pasuje do profilu odezwał się D'Andrea.

- Bzdura.

- Hej?

- Profil to bzdura. - Horrigan usiadł prosto. - Nie można przewidzieć, kto zostanie mordercą.

D'Andrea zmarszczył brwi.

- No... on jest samotnikiem, tak? Zbierał informacje o dawnych zabójstwach, zgadza się?

- Podobnie jak większość studentów w tym kraju.

- Frank, na jednej z pierwszych sesji treningowych w Brunswick powiedzieli...

- Gównu mnie obchodzi, co oni powiedzieli.

- Jezu! Co się tak ciskasz?

Teraz D'Andrea zamyślił się, a Horrigan przez dłuższą chwilę nie mógł znaleźć wygodnej pozycji na siedzeniu samochodu. Wreszcie wybuchnął: - Myślisz, że zawałem sprawę?

Zdumiony D'Andrea wytrzeszczył na niego oczy i bąknął: - Hej?

- Myślisz, że powinienem zaczekać na faceta wczoraj wieczorem, tak?

- Nic takiego nie mówiłem, Frank.

- Jezu! Szkoda, że nie miałem ciebie pod ręką, Al, z twoim bogatym doświadczeniem i w ogóle.

- Frank...

- Ty pewnie od razu wiedziałeś, kurwa, że tak się skończy.

- Hej, ja nic nie mówiłem... Horrigan przetarł oczy.

- Mamy akta ponad czterdziestu siedmiu tysięcy świrów, którzy kiedyś tam grozili Wielkiemu Szefowi. Ani jeden z nich nie próbował zabić prezydenta. Ani jeden!

- Frank...

- Kurwa, w ten sposób statystycznie wyeliminowałem drania, kiedy wciągnąłem go do akt.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Horrigan czuł się niezręcznie, twarz go paliła. Kiedy podjechali do jego domu, wskazał bar na ulicy K i powiedział cicho: Tam jest parking. Zatrzymaj się, postawię ci drinka.

D'Andrea zahamował i powiedział z zakłopotaniem: - Muszę wracać do domu, Frank.

- Do żony i dzieciaka.

- Właśnie.

- Jak jej na imię? Twojej małej kobietce.

- Ariana.

Poezja tego imienia powstrzymała Horrigana. Przez chwilę obracał je w myślach, potem powiedział: - Ładne imię.

- Ładna kobieta.

Horrikan dotknął ramienia partnera.

- Szczęściarz z ciebie.

Wysiadł z samochodu i ruszył do baru, ale nagle zmienił zdanie. Po takim dniu groziło mu, że zaleje się w trupa.

- Cholera z tym - mruknął i poszedł do domu.

Powłócząc nogami wszedł do swojego zagraconego mieszkania. Wciąż miał przed oczami zdjęcie z Dallas i własną twarz obrysowaną czerwonym kółkiem. Zrzucił marynarkę, zdjął naramienną kaburę, potem wyciągnął zza pasa kajdanki i rozkładaną pałkę, które położył na stoliku do kawy, obok rozsypanych nabożów i płyt kompaktowych. Rozwiązał krawat, ściągnął go i wyprostował szyję człowiek uwolniony od stryczka.

Nalał sobie na dwa palce Jamesona, włączył kompakt wciąż „Kind of Blue” - i zapadł w wygodnym fotelu naprzeciwko wieży stereo, pozwalając się obmywać oczyszczającej muzyce Milesa Davisa.

Prawie już zasypiał, kiedy telefon na podręcznym stoliku zabrzączał ostro. Horrikan przyciszył pilotem muzykę i rzucił do słuchawki: - Tak?

- Frank Horrikan?

Głos był cichy. Ożywiony, ale nie nerwowy. Mężczyzna, ale nie męski.

- Tak? - powtórzył Horrikan, prostując się nieznacznie.

- Agent Tajnej Służby? Horrikan zmarszczył brwi.

- Tak... jeśli to dział rachuby wydawnictwa, wiecie, dokąd wysłać czek.

- Mój Boże! - zawołał głos z dziecinnym podnieceniem. - Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty...

Włosy na karku Horrigana stanęły dęba.

- Kto mówi, do cholery?



Po długiej chwili dziecinny, zdyszany głos zapytał: - To ty byłeś w moim mieszkaniu wczoraj wieczorem, prawda?

Horrigan przełknął ślinę.

- McCrawley?

- To nazwisko już się zużyło.

- Na pewno masz inne.

- Może... Booth.

Jak John Wilkes Booth.

- Czemu nie Oswald? - rzucił zjadliwie Horrigan. Ironia spłynęła bez śladu po rozmówcy, który zamyślił się: - Nie wierzę, że on działał w pojedynkę. Jak myślisz, Frank? Jaka jest opinia naoczego świadka?

- Gdzie jesteś?

- Niedaleko. Wróciłeś do mojego mieszkania, Frank? Znalazłeś wiadomość, którą ci zostawiłem?

- Znalazłem - odparł Horrigan. Wstał i podszedł do okna, ciągnąc za sobą przewód telefonu. Wyrzwał na pustą ulicę. Zerknął na zegarek: prawie północ.

- Posprzątałeś na medal. Technicy byli pod wrażeniem... znaleźli tylko jeden odcisk palca.

Głos nie zdradzał niepokoju, wydawał się niemal ubawiony.

- Jeśli znaleźli odcisk palca, to twój, nie mój.

- Słuchaj... mam straszny bałagan w mieszkaniu. Potrzebuję dobrej sprzątaczkii. Może wpadniesz do mnie?

- Nie myję okien, Frank. - Wciąż z rozbawieniem.

- A co robisz?

Następna długa przerwa, tylko ciężki oddech w słuchawce, kojarzący się z nieprzyzwoitym telefonem. Potem zniewieściały głos powiedział: - To bardzo podniecające, Frank... prawda? Mam uczucie, jakbym cię znał.

- Mnie?

- Czytałem wszystko o tobie... i widziałem mnóstwo fotografii. Byłeś ulubionym agentem JFK, prawda?

Horrigan zamrugał. Ty gnoju, pomyślał.

- Byłem zwykłym agentem - odparł.

- Nie wciskaj mi kitu! Grałeś w piłkę nożną na trawniku Białego Domu z Jackiem, Bobbym i całą bandą. Śpiewałeś irlandzkie piosenki ludowe na pokładzie

prezydenckiego samolotu. Żeglowałeś w Hyannis Port. Wiesz, kim byłeś, Frank?

- Ty mi powiedz, Booth.

- Byłeś najlepszy i najszybszy, Frank. Horrigan zacisnął zęby.

- Ale wiesz co, Frank? To było dawno, dawno temu. Ciągle jesteś dobry, Frank?

- Wypróbuj mnie.

- A co ja robię, Frank, jak myślisz? Powiedz mi... co cię podtrzymywało przez te wszystkie lata?

Horrigan zacisnął dłoń na słuchawce, jakby stanowiła przedłużenie jego ciała. Zmusił się, żeby odpowiedzieć niedbałym tonem: - Może spotkamy się na drinka? Niedaleko stąd jest bar. Opowiem ci historię mojego życia.

- Znam historię twojego życia. I chociaż marzę o spotkaniu z tobą, to jednak im mniej o mnie wiesz, tym lepiej.

- Niby dlaczego, Booth?

- Dlatego - nieśmiało odpowiedział głos.

- Dlaczego?

- Dlatego, że zamierzam zabić prezydenta. Horriganowi waliło serce, ale wciąż panował nad głosem.

- No, no, Booth... nie powinieneś tak mówić. Wiesz, wypowiedzianie pogroźek pod adresem prezydenta to przestępstwo federalne. Możesz trafić do więzienia, nawet jeśli tylko się zgrywałeś.

Nieśmiały głos nagle stał się ostry jak nóż.

- Myślisz, że się zgrywam, Frank?

Horrigana zmroziły te słowa i sposób, w jaki zostały wypowiedziane, - Właściwie co masz przeciwko Wielkiemu Człowiekowi, Booth?

- Pamiętasz tę piosenkę Beatlesów, Frank?

- Którą piosenkę Beatlesów?

- „With a Little Help from My Friends”.

- Ktoś ci pomaga, Booth?

Anonimowy rozmówca roześmiał się perliście.

- Frank, Frank... to tylko piosenka. Nie podsuwam ci wskazówek. Będziesz musiał sam znaleźć trop... jeżeli potrafisz.

- Chcę ci zadać jedno pytanie, Booth.

- Proszę bardzo, Frank.

- Czy jesteś gotów przehandlować swoje życie za życie prezydenta? Ponieważ to

będzie tyle kosztować, stary.

Rozmówca nie odpowiedział od razu, jakby zastanawiał się nad określeniem, którym zamierzał się posłużyć.

- John F. Kennedy powiedział, że zupełnie wystarczy, jeśli ktoś jest gotów przehandlować swoje życie za życie prezydenta, racja?

- Racja.

- No więc...

- No więc co, Booth?

- No więc ja jestem gotów.

Daleki odgłos syreny pożarowej rozległ się na linii.

- Wiesz, Frank, nie potrafię się oprzeć tej rozkosznej ironii..

- Jakiej rozkosznej ironii? - warknął Horrigan, gotując się wewnątrz.

- Że jesteś osobiście zamieszany w zabójstwa dwóch prezydentów.

Syrena pożarowa wyła teraz za oknem Horrigan. Wyjrzał na ulicę i zobaczył czerwony wóz strażacki wymuszający pierwszeństwo na skrzyżowaniu. Booth rzeczywiście był blisko!

- Zaczekaj chwilę, stary - powiedział lekko Horrigan. Kolacja mi się przypała na kuchni. Zaraz wracam...

Delikatnie położył słuchawkę na sofie i jak szalencie wybiegł z mieszkania, po drodze łapiąc rewolwer leżący na stoliku.

Zbiegł po schodach jak burza, o mało nie przewracając pary, która wyszła z sąsiednich drzwi. Po paru sekundach znalazł się na ulicy i popędził na róg, skąd wyjechał wóz straży pożarnej. Z szybkością, o którą już się nie podejrzewał, skręcił za róg i niemal rozpląszczył się na budce telefonicznej.

Gdzie upuszczona słuchawka kołysała się na sznurze.

Horrigan dyszał ciężko, serce mu waliło, wiek dawał o sobie znać. Z rewolwerem w rękę rozejrzał się dookoła. Przeszedł kilka kroków tam i z powrotem jak człowiek, który nie może się zdecydować, dokąd pójść. Rozpaczliwie przeszukiwał wzrokiem przyległe uliczki.

Nic. Pusto.

Nie słyszał nawet pisku opon ruszającego samochodu.

Zauważył kilka otwartych barów, w których Booth mógł się schronić. Zamierzał je sprawdzić, ale co to pomoże?

Kogo właściwie szukał, do cholery?

Biały Dom lśnił w słońcu, idealny symbol prezydenta. Rozległe trawniki były wypielegnowane i nieprawdopodobnie zielone nawet na jesieni. Prywatne mieszkania i pomieszczenia publiczne, odwiedzane przez turystów i miejscowych obywateli, takich jak tłusta litewska gospodyni, którą ostatnio poznał Horrigan, znajdowały się w przytulnym dworku w stylu kolonialnym; biura Białego Domu, łącznie z Ovalnym Gabinetem, znajdowały się w mniej swojskim Zachodnim Skrzydle.

Po drugiej stronie ulicy, dokładnie biorąc po drugiej stronie zamkniętej dla ruchu West Executive Avenue, stało barokowe monstrum znane jako Stary Biurowiec Zarządu. Ta masywna budowla, pomalowana na kolor rdzy, z niezliczonymi oknami i kolumnami, wznosiła się niczym przerośnięty, wielopiętrowy tort weselny. Od lat stanowiła obrazę dla oka, aż wreszcie spór o SBZ został rozstrzygnięty przez prezydenta Kennedy'ego, który zarządził całkowitą renowację budynku.

Pewnie przez skojarzenie z Kennedym agent Horrigan odczuwał nieracjonalny sentyment wobec tej groteskowej budowli, na dachu której łatwo mógł sobie wyobrazić rodzinę Adamsów, wylewających wrzący olej na nieproszone gości. Właśnie tutaj znajdowało się centrum dowodzenia Wydziału Ochrony Prezydenta, wchodzącego w skład Tajnej Służby Stanów Zjednoczonych.

Kroki Horrigan i D'Andrea rozbrzmiewały echem w przestronnym korytarzu. Do klap garniturów mieli przypięte plakietki identyfikacyjne ze zdjęciami. D'Andrea trzymał w ręku notes i czytał stroniczkę oznaczoną nagłówkiem: „Booth”.

- To niesamowite - powiedział. - Wszyscy lokatorzy go widywali... no wiesz, mijali go na schodach i tak dalej... ale żaden naprawdę go nie widział.

- Typowe - stwierdził Horrigan.

- W zależności od tego, z kim rozmawiasz, nasz człowiek ma pięć stóp sześć cali wzrostu albo sześć stóp dwa cale... waży 165 funtów albo raczej 180...

- I ma od dwudziestu ośmiu do czterdziestu pięciu lat dodał Horrigan z lekkim niesmakiem.

D'Andrea kiwnął głową, westchnął i zatrzasnął notes.

Zatrzymali się przed drzwiami oznaczonymi symbolem Tajnej Służby/Departamentu Skarbu i napisem: „WYDZIAŁ OCHRONY PREZYDENTA”. Pokój, do którego weszli - hala - był obszernym pomieszczeniem, zastawionym biurkami, rojącym się od urzędników i specjalnych agentów. Jedną ścianę pokrywały

plansze przedstawiające miejsce pobytu oraz program zajęć podopiecznych wydziału: prezydenta, wiceprezydenta i różnych ważnych osobistości.

Za przeszkloną ścianą rozciągał się widok na Zachodnie Skrzydło Białego Domu. Po jednej stronie pokoju para agentów, siedząca w oszklonej budce, nieustannie obserwowała wnętrze i otoczenie Białego Domu na dwudziestu pięciu monitorach.

Horrigan i jego partner przeszli przez halę do otwartych drzwi dużego, solidnego gabinetu, gdzie rezydował Sam Campagna, zastępca dyrektora d/s ochrony. Campagna należał do elity władzy Tajnej Służby - nawet wicedyrektor miał mniejsze wpływy.

Za konferencyjnym stołem, na tle fotografii byłych prezydentów i przedstawicieli Tajnej Służby, siedział Campagna we własnej osobie oraz troje agentów - dwaj mężczyźni i kobieta.

Horrigan i D'Andrea czekali na rozpoczęcie rozmowy.

Bill Watts - szczupły, ciemnowłosy, arogancki drań przed czterdziestką - był jak zwykle zirytowany.

- Planowanie w Białym Domu właśnie skreśliło Miami i wstawiło na to miejsce Albany i Boston - mówił.

- Na kiedy? - zapytała kobieta.

Horrigan nie znał jej, ale chętnie by poznał: była smukła, ładnie zbudowana, rudoblond włosy miała wysoko upięte - atrakcyjna i opanowana niczym prezenterka telewizyjna. Nosiła dobrze skrojony rdzawy kostium i kremową bluzkę.

- Na jutro - powiedział Watts z goryczą. Kobieta westchnęła.

Matt Wilder - stary przyjaciel Horrigan, sympatyczny facet po czterdziestce, umiejący się przystosować - próbował łać oliwę na wzburzone fale: - Prezydentowi zabrakło dwudziestu punktów w rankingu na północnym zachodzie. - Wzruszył ramionami. Nic dziwnego, że personel panikuje.

Kobieta uniosła brew i powiedziała: - Kiedy wygrywał, oni również panikowali... bo nie mieli zaufania do wyników.

Stary, solidny Sam Campagna - silne ciało górujące nad oparciem fotela, siwe włosy ścięte krótko, po wojskowemu, twarde szare oczy dostrzegające każdy szczegół napatrzył się na to wszystko przez ponad pięćdziesiąt lat, toteż jego komentarz zabrzmiał realistycznie... a może cynicznie?

- Na dwa miesiące przed wyborami - powiedział panika trafia się w dobry dzień.

Watts uśmiechnął się ponuro.

- Będziemy musieli ściągnąć agentów z końca świata.

- Więc zróbcie to. - Campagna uśmiechnął się do Horriganana i D'Andrei. - Frank, cieszę się, że jeszcze żyjesz.

- Miło mi, że się cieszysz, dyrektorze - odparł Horrigan. Campagna wstał i wycłapał zza biurka jak tresowany niedźwiedź, żeby przywitać starego przyjaciela. Uścisnęli sobie dłonie i wymienili spojrzenia, które zawierały tony wspomnień.

- Słyszałem, że ty i twój partner mieliście wczoraj niezły ubaw - powiedział Campagna, robiąc aluzję do aresztowania Mendozy.

- Czasem dobrze się przewietrzyć - stwierdził Frank.

- Nie odwiedzałeś mnie od Bóg wie kiedy.

- Przybiegnę na każde skinienie, dyrektorze. Campagna odwrócił się do D'Andrei i uprzejmie podał mu rękę, mówiąc: - Więc pan jest nowym partnerem. Jak się panu podoba praca ze skostniałym dinozaurem?

D'Andrea, wyraźnie pod wrażeniem uprzejmości wyższego oficera, odpowiedział: - To bardzo pouczające doświadczenie, sir. Campagna poprowadził dwóch agentów do stołu.

- Frank - powiedział - znasz oczywiście Matta Wildera...

Matt wstał z uśmiechem i wyciągnął nad stołem rękę do Horriganana.

- Pewnie, że znam - odparł Horrigan. - Wciąż jest mi winien dwadzieścia dolców.

Campagna wskazał Wattsa, który nie podniósł się z krzesła.

- Na pewno znasz Billa Wattsa, agenta dowodzącego... a to jest Lilly Raines.

Horrigan kiwnął głową Wattswi, a potem uśmiechnął się do Lilly Raines.

- To zdumiewające - stwierdził.

- Co takiego? - zapytała z wymuszonym uśmiechem, kiedy ścisnął jej ciepłą dłoń.

- Że nasze sekretarki robią się coraz ładniejsze. Nawet nie mrugnęła okiem, tylko jej uśmiech stał się lodowaty.

- A polowi agenci robią się coraz starsi. Horrigan nagrodził jej docinek lekkim uśmiechem.

- Oho - powiedział Matt.

Campagna wydawał się jednocześnie zmieszany i ubawiony.

- Lilly jest agentką, Frank.

- Tak myślałem - odparł Horrigan. - Chciałem tylko sprawdzić, czy ma poczucie humoru.

- I jak wypadłam? - zapytała.

- Celująco.

Campagna spojrział na zegarek.

- Zaczynamy, dobrze? - zaproponował. - Nie mamy za dużo czasu.

Wszyscy zajęli miejsca przy stole konferencyjnym. Horrigan zauważył, że Lilly zerka ponad jego ramieniem z nagłym, przelotnym wyrazem zdumienia. Obejrzał się i zobaczył na ścianie zdjęcie promiennego Johna Kennedy'ego w otoczeniu agentów. Jednym z agentów był Horrigan, sto lat wcześniej, tysiąc zmarszczek wcześniej.

Campagna spojrział na raport, który podał Wattsowi.

- No dobra. Opowiedz nam o tym facecie. Na razie będziemy go nazywać „Booth”.  
Co to za typek?

- Prawdziwy pacjent - powiedział Horrigan tonem bez wyrazu. „Pacjent” to był żargon Tajnej Służby, określenie wyjątkowo niebezpiecznego osobnika, który groził prezydentowi. Spośród czterdziestu tysięcy pojedynczych osób lub grup ludzi, uznanych przez Służbę za potencjalnie niebezpieczne dla prezydenta, około trzystu pięćdziesięciu - notowanych za stosowanie przemocy i/lub chorobę psychiczną - zasłużyło na taką etykietkę.

- Naprawdę myślisz, że on jest niebezpieczny? - zapytał Matt.

- Tak - odparł Horrigan.

Lilly z namysłem zmarszczyła czoło.

- Mówi pan, jakby to był fakt.

- Bo jest.

- Skąd pan wie?

- Po prostu wiem. - Uśmiechnął się lekko. - Znam się na ludziach. Za to mi płacą.

Watts marszczył brwi, ale nie z namysłem, po prostu marszczył brwi.

- Czy mogę zapytać - odezwał się - dlaczego tamtego pierwszego wieczoru nie podjąłeś stosownych kroków? Wtedy dowiemy się czegoś więcej poza twoimi przecuciami.

Kutas.

Uśmiech Horriganego pozostał uśmiechem tylko w sensie technicznym.

- Mieliśmy wypełniony dzień, Bill.

- Zbyt wypełniony, żeby przeprowadzić dochodzenie jak należy?

- Właśnie wracałem do domu po zabiciu kilku facetów. Lilly uniosła drugą brew.

Campagna próbował powstrzymać uśmiech. Matt nawet nie próbował.

- Twój raport mówi, że pozostałeś w mieszkaniu tylko jak długo? Dziesięć minut? -

naciskał dalej Watt.

- Nie miałem nakazu.

- Biorąc pod uwagę twoją... reputację, nigdy nie myślałem...

- W to wierzę.

- W co?

- Że nie myślałeś. - Spojrzał na Campagnę. - Czy dostałem paranoi, czy ten tutaj Bill dobiera mi się do dupy?

Lilly wydawała się ubawiona, ale również trochę zażenowana.

- Może jedno i drugie?

- Myślałem tylko - ciągnął Watts z lekkim wzburzeniem - że biorąc pod uwagę reputację agenta Horrigan, mógł...

- Jaka to reputacja, Bill? - zapytał Horrigan. Watts rzucił raport na stół.

- Mniejsza z tym.

- Jaką mam reputację? Dwa razy o tym wspomniałeś.

- Dajmy temu spokój. Campagna wtrącił: - Wracajmy do sprawy, chłopcy i dziewczęta...

- Wiesz, Bill, ja cię rozumiem - stwierdził Horrigan. Kiedyś byłem prawie taki tępy jak ty, ale nie całkiem...

Zaczerwieniony Watts wstał.

- Nie mam czasu na to gównu. Muszę ściągnąć siedemdziesięciu pięciu agentów z Miami. - Zatrzymał się przy drzwiach i obejrzał się na Campagnę. - Informuj mnie na bieżąco, Sam, dobrze?

Campagna kiwnął głową, a po wyjściu Watta wydał z siebie przeciągłe westchnienie.

- Co my zrobimy z tym facetem?

- To znaczy z Wattsem? - upewnił się Horrigan. Może przeniesienie do sekcji operacyjnej w Omaha?

- Chodziło mi o Bootha - sprostował cierpliwie Campagna.

Horrigan spoważniał. Zerknął na D'Andree, który uparcie milczał.

- Al i ja sprawdzimy, co się da... Oczywiście w tym czasie trzeba założyć podsłuch na mój telefon.

Campagna przytaknął.

- To ma sens. Jeśli coś jeszcze przyjdzie ci do głowy, powiedz od razu.

Oczy Lilly zwięzły się.



- Dlaczego pan zakłada, że Booth znowu do pana zadzwoni?

- Och, zadzwoni na pewno - odparł Horrigan. Wargi mu drgnęły. - Jesteśmy kumplami.

Później tego popołudnia w Grillu Ebbitta - ciemnym, zadymionym męskim azylu, pełnym lakierowanego drewna, usytuowanym naprzeciwko Ministerstwa Skarbu Horrigan usiadł przy barze i pozwolił, żeby Campagna postawił mu drinka.

- O co chodziło Wattsowi, Sam? - rzucił niemal żartobliwym tonem.

- O co tobie chodzi?

Ta moja rzekoma reputacja. Właściwie na czym to polega?

- Wiesz cholernie dobrze.

Horrigan uśmiechnął się krzywo i zakręcił whisky w szklance.

- Że jestem wypalonym wrakiem z manierami komendanta obozu koncentracyjnego.

Campagna przywołał na twarz znużony uśmiech, obracając w palcach szklaneczkę z burbonem. Wreszcie powiedział: - Wiesz co, Frank... gdybyś był w połowie taki cwany, za jakiego cię uważamy, poszedłbyś na emeryturę.

- Mogę zrezygnować w każdej chwili.

- Jasne.

- Ale wiesz, czego naprawdę chcę?

- Kobiety przed pięćdziesiątką i żeby nie bolało w krzyżu?

Horrigan jeszcze raz się uśmiechnął.

- No, tego też.

- Więc?

Łyknął swojego Jamesona.

- Dostać przydział do prezydenta. Campagna mało się nie zakrztusił.

- Znowu WOP? Po tych wszystkich latach? Chryste, taki mamut jak ty...

- Powiedziałeś, że dostanę wszystko, czego chcę, żeby powstrzymać tego faceta. No więc tego właśnie chcę.

- Dlaczego, na litość boską?

Horrigan zmierzył przyjaciela najtwardszym spojrzeniem ze swojego bogatego repertuaru.

- Ten skurwiel spróbuje, Sam. On nie blefował. On mówił poważnie. A ja chcę być na miejscu, kiedy on uderzy.

Campagna popatrzył na niego tępym wzrokiem. Nerwowy tik wykrzywił mu

policzek.

- Wszyscy wiemy - powiedział Horrigan z powagą każdy agent wie, że to się stanie pewnego dnia.

- Co?

- Chwila prawdy. Przeżyłem taką chwilę w Dallas, dawno temu... i spieprzyłem to.

- Niczego nie spieprzyłeś...

- Spieprzyłem to, kurwa. I chcę tego, co niewielu z nas dostaje: drugiej szansy. Kiedy po raz drugi nadejdzie moja chwila prawdy, będę gotów, Sam. Będę przygotowany.

Campagna ze świstem wypuścił powietrze. Potrząsnął głową. Zakołysał drinkiem. Powiedział: - Watts rzuci się na mnie z pazurami.

- Sraj na niego. Ty jesteś szefem. Poza tym jesteś mi coś winien za te trzydzieści lat.

Campagna wciąż potrząsał głową. Teraz przewrócił oczami.

- Gdybyś tylko wiedział, ile razy cię kryłem i ratowałem twoją cholerną posadę...

- Daj mi to, Sam. Potrzebuję tego.

- A co ze śledztwem w sprawie Bootha?

- D'Andrea się tym zajmie. Będę mu pomagał na boku. Kurwa, człowieku... to jest właśnie cholerna sprawa Bootha!

Dyrektor wpatrywał się w swoją szklaneczkę, jakby szukał drogi wyjścia.

- Naprawdę chcesz znowu pełnić służbę, Frank? W twoim wieku?

- Tak jest, szefie. Chyba dostanę gdzieś ortopedyczne buty?

- Dobra, ty gnojku.

- Ja też cię kochani.

Szare oczy Campagny zwięzły się. - Jeszcze jedno, Frank... Watts wcale nie jest taki tępy, jak ty za czasów Kennedy'ego. Horrigan wzruszył ramionami.

- Nikt nie jest doskonały.

## 6.

Tego ranka, wyjątkowo ciepłego jak na jesień, dwaj oficerowie z Mundurowego Oddziału Tajnych Służb zajęli pozycje na dachu ponad Massachusetts Avenue.

Jeden, wyborowy strzelec w pomarańczowych przeciwsłonecznych okularach, uniósł do ramienia szybkostrzelny karabin z celownikiem optycznym tak niedbale, jak zawodowy gracz w golfa robi wymach kijem przed wykonaniem łatwego, lecz decydującego uderzenia.

Drugi umundurowany oficer obserwował przez lornetkę nadciągający orszak prezydenta.

Patrzył, jak powoli wjeżdżają w jego pole widzenia pięć policyjnych motocykli, dwa policyjne wozy, jeden nie oznakowany policyjny samochód, dwa pojazdy Tajnej Służby, prezydencka limuzyna, czarna furgonetka, kilka samochodów prasy, jeszcze dwa policyjne wozy i trzech następnych gliniarzy na motocyklach. Wyglądało to rzeczywiście imponująco.

Strzelec wyborowy, mokry od potu, spojrzał na karawanę z krzywym uśmiechem.

- Więc co on planuje na dzisiaj?

Drugi oficer opuścił lornetkę i odwzajemnił się koledze podobnym grymasem.

- Wielkie rzeczy, zabiera prezydenta Francji na lunch.

- Nie gadaj.

- Poważnie... do chińskiej knajpy na ulicy K.

Krople potu ściekały wzdłuż nosa strzelca za szybkami okularów.

- Boże - mruknął. - Czy on nie mógł zamówić czegoś na wynos dla króla żabjadów?

Spocony, zdyszany Horrigan szedł szybkim krokiem obok prezydenckiej limuzyny, jeden z pół tuzina agentów rozstawionych po obu stronach pojazdu, który posuwał się aleją wśród entuzjastycznych okrzyków tłumu, potrząsającego miniaturowymi amerykańskimi i francuskimi flagami. Za ogromnymi oknami paradnej limuzyny prezydenci dwóch krajów uśmiechali się i machali do wiwatujących gapiów.

Szlag by trafił ten upał, pomyślał Horrigan. Takie już moje parszywe szczęście, żeby za pierwszym razem trafić na najgorszą pogodę.

Mrużąc oczy w słońcu - był jedynym agentem bez ciemnych okularów - wpatrywał się w mijany tłum. Tempo, które musiał utrzymywać, przypomniało mu, że praca w

ochronie stanowczo nie nadawała się dla starszych ludzi.

Zresztą nawet młody człowiek w szczytowej kondycji fizycznej mógł nie wytrzymać. Trzy lata mordegi, zanim cię przeniosą do mniej stresującej pracy. A on prosił, błagał, żeby do tego wrócić!

Mikrofon w uchu zawiadomił Horriganą, podobnie jak innych agentów, o niespodziewanej zmianie planu.

Limuzyna zatrzymała się nagle, Horrigan zaś i pozostali - wśród nich Lilly Raines w luźnym spodniemie, krwawoczerwonej bluzce i pantoflach na płaskim obcasie - uformowali krąg wokół samochodu. Dwaj prezydenci wysiedli z przyklepionymi do twarzy szerokimi, bliźniaczymi, fałszywymi uśmiechami, żeby „nawiązać kontakt” na uświęconą modłę polityków - wymieniać uściski rąk z tłumem, który okazał się zdumiewająco liczny i niesforny.

Na dwa miesiące przed wyborami, przegrywając w rankingach, Wielki Szeff nie mógł zmarnować tej okazji popisania się przed prasą.

Przyklejony do prawego ramienia prezydenta stał Bill Watts. W takich chwilach główny agent zmieniał się w syjamskiego bliźniaka przywódcy narodu.

Tymczasem, parę metrów przed dwoma prezydentami, Horrigan z kamienną twarzą wbijał w tłum swoje wypraktykowane zabójcze spojrzenie, badając każdą twarz, katalogując każdy ruch. Kiedy niechłujny włóczęga w obszarpanej wojskowej kurtce przepchnął się do przodu, Horrigan zmierzył go swoim opatentowanym twardym, nieprzeniknionym wzrokiem, a typek nagle zrobił taką minę, jakby go zemdlilo, i rozplynął się w tłumie.

Horrigan zerknął na Lilly i prawie się uśmiechnął, co nadwątlilo nieco sztywną fasadę jego twarzy; ale „zabójcze spojrzenie” w wykonaniu Lilly było tak groźne, że wręcz komiczne. Po raz pierwszy Horrigan poddał się swoim seksistowskim skłonnościom i pomyślał o niej jak o „dziewczynie”. Ale nawet wtedy wiedział, że ta dziewczyna zajdzie wysoko.

Teraz zauważył, że koncentrowała się na jednej określonej twarzy w tłumie. Poszukał tej twarzy, znalazł ją: mężczyzna w typie orientalnym, sięgający do płóciennej torby. Nie wyglądał podejrzanie - nosił czarny tradycyjny garnitur bez krawata - ale zachowywał się trochę nerwowo. Z punktu widzenia Tajnej Służby nie było rasizmem patrzeć na Araba i myśleć o Świętej Wojnie, która może zniszczyć prezydenta.

Horrigan patrzył, jak Lilly mówi do swojego mikrofonu, wpiętego w mankiet. Po

kilku sekundach dwaj niedbale ubrani agenci przysunęli się z obu stron do małego ciemnego człowieczka. Unieruchomili go mocnym chwytem, jeden z nich sięgnął do płóciennej torby i wyciągnął... aparat fotograficzny.

Horrigan nie odczuł ulgi, ale z zadowoleniem zarejestrował szybką, profesjonalną reakcję Lilly.

Wreszcie para prezydentów, machając do wrzeszczącego tłumu, wróciła do limuzyny. Wsiedli, Watts zamknął za nimi drzwi i wskoczył na przednie siedzenie obok kierowcy. Limuzyna znowu ruszyła, co znaczyło, że Horrigan też musiał ruszać. Dysząc, sapiąc, wycierając pot z czoła dreptał obok samochodu. Utrzymywał tempo, chociaż to nie było łatwe.

Watts patrzył przez przednią szybę na Horriganą i widział, ile wysiłku kosztował starszego agenta ten dzień. Uśmiechnął się lekko i odwrócił głowę.

Horrigan był z siebie dumny - nie z tego, że utrzymał tempo, ale z tego, że powstrzymał się przed pokazaniem temu kutasowi wyprostowanego palca.

Ogniskowa lornetki skupiła się na jadących samochodach, przyciągana przez prezydencką limuzynę jak żelazo przyciągane magnesem. Potem pole widzenia lornetki przesunęło się i skupiło na specjalnym agencie Horriganie, który chwiejnie włókł się przed siebie i wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć.

- Biedactwo...

Ręka trzymająca lornetkę opadła - nie ręka umundurowanego oficera Tajnej Służby na dachu budynku, ale ręka odległego obserwatora na skraju tłumu.

Obserwator uśmiechnął się nieznacznie.

- Biedactwo - powtórzył Mitch Leary, ukryty w niszy przed wejściem do budynku.

Horrigan spał twardo z nogami na krześle i nic mu się nie śniło, kiedy poczuł czyjeś ręce na piersi. Otworzył oczy i zobaczył, że ktoś rozpina mu koszulę!

- Co jest, kurwa...

To był chłopak o świeżej twarzy, ubrany na białą. - Odwal się ode mnie!

Zaskoczony pielęgniarz otworzył usta, odskoczył i wpadł na drugiego, trochę starszego pielęgniarza.

Śmiertelnie zmęczony Horrigan, który zdrzemnął się w fotelu w sali klubowej Wydziału Ochrony, teraz wytrzeszczał oczy na Sama Campagnę, Matta Wildera, Lilly Raines i pół tuzina innych agentów. Niektórzy przyglądali mu się z z troskaniem, inni

z ledwie powstrzymanym rozbawieniem.

Pielęgniarz, zakłopotany i trochę wstrząśnięty, mówił: - Jezu, bardzo pana przepraszam...

Drugi pielęgniarz przyłączył się do pierwszego: - Właśnie, mieliśmy telefon, że ktoś tutaj dostał zawału!

Campagna z troską, która mogła być szczerą, pochylił się i położył rękę na ramieniu Horrigan.

- Dobrze się czujesz, Frank?

- Taak... widocznie ktoś mi zrobił kawał.

Kilku agentów zaczęło się śmiać, a po chwili dołączyła reszta. Nawet Campagna uśmiechnął się przelotnie.

- Kim jest ten cholerny dowcipniś? - zapytał Horrigan, zapinając koszulę. - Czy starszy pan nie może się zdrzemnąć w wolnej chwili?

Wśród ogólnej wesołości dwaj pielęgniarze wybąkali kolejne przeprosiny i zaczęli się wycofywać. Horrigan zawołał do nich: - Hej, chłopcy, nie odchodźcie daleko.

- Tak? - rzucił młody pielęgniarz.

- Zaczekajcie. - Horrigan zmierzył groźnym wzrokiem roześmianych agentów. - Chyba będziecie musieli opatrzyć kilka ran postrzałowych...

Starszy pielęgniarz wyszczerzył zęby, pomachał ręką w powietrzu i pociągnął za sobą towarzysza. Zapanowała wesoła atmosfera, agenci rozproszyli się po sali popijając kawę i zimne napoje, ciesząc się chwilą odpoczynku po męczącym dniu.

Campagna opuścił swoje potężne ciało na fotel obok Horrigan.

- Należało ci się za te wszystkie kawały, które sam robiłeś.

Matt Wilder przyciągnął sobie fotel.

- Właśnie, jak ta sprawa z kapeluszem!

- Z kapeluszem? - zapytała Lilly. Usiadła na poręczy fotela Matta ze skrzyżowanymi nogami, które wyglądały zgrabnie nawet w luźnych spodniach.

Matt zachichotał i potrząsnął głową.

- Kiedyś, jak jeszcze byliśmy razem w St. Louis, dostaliśmy nowego dyrektora... naprawdę kopnięty facet. Żadnego poczucia humoru, ciągle komuś nadeptywał na odcisk.

- Jerian - odpowiedział Horrigan.

- Właśnie! Ten gnojek Art Jerian. Zawsze nosił pierdolony... przepraszam, Lilly... kapelusz.

- Nic nie szkodzi, Matt - powiedziała Lilly z figlarnym uśmiechem. - Mów dalej, nie przerywaj sobie: Ten gnojek zawsze nosił pierdolony kapelusz...

- W każdym razie - ciągnął Matt - Frank poszedł i kupił taki sam kapelusz jak tego faceta...

- Nie! - przerwał ze śmiechem Campagna. - Frank kupił cztery kapelusze, identyczne jak kapelusz szefa, ale w różnych rozmiarach. Potem zrobił podmianę... pierwszą z wielu.

- Nie rozumiem - powiedziała Lilly. Matt przejął pałeczkę: - Widzisz, Frank powiedział kopniętemu szefowi, że okropna wilgoć w St. Louis powoduje, że ludziom puchną głowy.

- A więc - podjął wesoło Campagna - kiedy było co Frank zamieniał kapelusz szefa na mniejszy... a kiedy było chłodno, na większy.

Agenci kręcący się w pobliżu wybuchnęli śmiechem. Nawet Horrigan uśmiechał się jak psotny chłopak, którym pozostał w głębi serca.

Nie masz co narzekać - powiedział. - Po trzech miesiącach ten idiota poprosił o przeniesienie. Grupa ryknęła śmiechem.

Kiedy go widzieliśmy ostatni raz - wykrztusił Matt, któremu lzy pociekły po policzkach - wychodził z biura, żeby złapać samolot... w małym kapelusiku na tej swojej tłustej lepetynie.

- Wyglądał jak małopka kataryniarza! - wrzeszczał Campagna.

Wszyscy wyli ze śmiechu, włącznie z Horriganem.

- Uff - zasapał Horrigan. - Jak ja nie znośm tego drania.

- Okay, okay - powiedział Campagna, przypomniawszy sobie wreszcie, że jest szefem. Wstał i zamachał rękami, uciszając śmiech. - Wracajcie do roboty. Dalej, do roboty...

Wytoczył się z sali, a za nim zaczęli wychodzić agenci.

Horrigan nie ruszył się z fotela. Śliczna Lilly również się ociągała. Nalała sobie kawy, a on przyglądał się jej z przyjemnością, podziwiając jej figurę, która wyglądała kobieco nawet w ubraniu o męskim kroju.

- Właściwie kto mi zrobił ten kawał? - zapytał ją.

- Może to nie był kawał. - Stała przed nim i łyknęła kawy. Wpatrywała się w niego uparcie, jeszcze nie „zabójczym wzrokiem, ale dostatecznie onieśmielającym. Tam na dworze wyglądałeś trochę blado. Myślałam, że zaraz zemdlejesz.

Bzdura - burknął Horrigan. - W każdym razie dopadnę tego dowcipnisia. Pewnie

to ten kutas Watts. Możliwe. - Lilly dopiła kawę, zgniotła papierowy kubek i cisnęła do kosza na śmieci. - Ale skąd wiesz, że to był jakiś „kutas”?

Potem obdarzyła go enigmatycznym uśmiechem i wyszła, trochę bardziej kołysząc biodrami, niż to wcześniej zauważył.

- Ślicznie - powiedział do siebie. - Po prostu ślicznie.

Wygramolił się z fotela. Musiał sprawdzić, czy D'Andrea doszedł do czegoś w związku z jego telefonicznym kumplem Boothem.

Ciekawe, czy Booth był dzisiaj w tym tłumie?

Coś mu mówiło, że tak.



- Przejechałeś zakręt - powiedział Horrigan.

D'Andrea, siedzący za kierownicą swojego pontiaca sunbirda i odwożący partnera do domu po zmroku, zamrugął z irytacją.

- O rany, człowieku!

- Ulica K została z tyłu - stwierdził rzeczowo Horrigan. Przeglądał akta Bootha zebrane przez D'Andreę. Większość z tego była mu znana: wyciąg z przesłuchania lokatorów budynku, zerowe wyniki badań laboratoryjnych.

- Umiesz prowadzić? - zapytał D'Andrea.

- Jasne. - Horrigan zerknął na urzędową notatkę, że w jego mieszkaniu założono podsłuch za zgodą właściciela. - Dlaczego?

- Dlaczego? To znaczy: „Dlaczego nie masz własnego cholernego samochodu?” Horrigan wzruszył ramionami i dalej kartkował skoroszyt.

- Spędziłem dużo czasu w Nowym Jorku. Przyzwyczyłem się do publicznego transportu.

D'Andrea machnął ręką w stronę deski rozdzielczej.

- Czy dla ciebie to wygląda jak autobus? Czy ja wyglądam jak Ralph Kramden?

Horrigan spojrzał na swojego partnera i powściągnął uśmiech.

- Co się tak ciskasz? D'Andrea uśmiechnął się opornie.

- Po prostu skoro lubisz jeździć autobusami, to czemu codziennie mnie zmuszasz, żebym cię odwoził do domu? To dla mnie nie po drodze.

- Lubię twoje towarzystwo. - Horrigan wpatrywał się w prawo jazdy Bootha ze stanu Colorado, wystawione na nazwisko dawno nieżyjącego jedenastoletniego Josepha McCrawleya; dokument był wpięty po wewnętrznej stronie tekturowej okładki.

- Nie mogę tutaj zawrócić - oświadczył D'Andrea. Potem zauważył, że Horrigan wpatruje się w zdjęcie na prawie jazdy. Potrząsnął głową.

- Jezu, co za typek.

Booth miał jasne włosy szesane na wysokie czoło, blond brodę i jasnoszare oczy. Wysokie kości policzkowe, mały podbródek - kości czaszki rysowały się pod skórą z upiorną wyrazistością.

- Racja - mruknął Horrigan. Potem uderzyła go pewna myśl; zmrużył oczy i powtórzył: - Właśnie, co to za typek?

- He? - bąknął D'Andrea, spoglądając ciekawie na ożywioną twarz partnera.

- Jeszcze nie zawracaj - poleciał Horrigan, nachylając się do przodu. - Na następnym rogu jest kiosk z gazetami... zatrzymaj się.

Na rogu znajdował się nowoczesny całonocny sklep, sprzedający gazety z całego kraju, książki, czasopisma wszystko, począwszy od „Prawdy”, skończywszy na „Hustlerze”. Horrigan nie szukał niczego w tym rodzaju. Przeszedł szybko wzdłuż stoiska, ślizgając się oczami po kolorowych okładkach, błyszczących w jaskrawym świetle. Potem przystanął przy czasopismach specjalistycznych i uśmiechnął się, ponieważ znalazł to, czego szukał.

Przykucnął i przejechał palcem po grzbietach kilku hobystycznych magazynów, zanim wybrał jeden ze znaną okładką: ostatni numer „Kolekcjonera Modeli Samochodów”.

Egzemplarz tego czasopisma leżał na stosie podobnych magazynów na biurku Bootha w obskurnym mieszkaniu; na wierzchu zaś spoczywał smukły, futurystyczny model samochodu.

Wkrótce Horrigan ponownie usiadł obok D'Andrei i pokazał mu futurystyczny model, ozdabiający okładkę „Kolekcjonera Modeli Samochodów”.

- W mieszkaniu Bootha był taki sam model! - oznajmił. - Albo cholernie podobny.

D'Andrea sceptycznie zmarszczył brwi.

- Czy to jakiś ślad? Bo widocznie tak uważasz. Horrigan radośnie wyszczerzył zęby.

- Powiedziałeś: co za typek. A ja zapytałem, co to za typek, pamiętasz?

- Jasne.

Horrigan trzepnął w okładkę czasopisma.

- Właśnie taki typek. On zbiera modele samochodów. Jest szurniętym kolekcjonerem.

- No więc?

- No więc od tego zaczniemy - odparł Horrigan, gestykulując niecierpliwie. - Zawracaj i podrzuć mnie do domu. Chcę od razu puścić sprawę w ruch.

D'Andrea wzniosł oczy do nieba, potrząsnął głową, powiedział: „Jasne, Frank, ty jesteś szefem” - i zrobił, co mu kazano.

Po paru minutach D'Andrea odjechał do żony i dziecka na przedmieściu Virginia, a Horrigan wszedł do swojego małego mieszkania i usiadł w fotelu. Nawet się nie pofatygował, żeby nastawić Milesa Davisa na kompakt, tylko od razu chwycił za telefon i zadzwonił do pierwszego brzegu agenta pełniącego dyżur w waszyngtońskiej

sekcji operacyjnej.

- Chcę, żebyś kazał paru agentom sprawdzić, jak są sprzedawane te zestawy - mówił. - Przejrzałem ogłoszenia i wygląda na to, że wysyłają je za zaliczeniem pocztowym. Pewnie jest też jakiś specjalistyczny sklep. Te zestawy produkują w ograniczonych ilościach, więc wyśledzenie...

W słuchawce zabrzęczało: ROZMOWA NA LINII.

- Zaczekaj chwilę - powiedział Horrigan. - Ktoś do mnie dzwoni. Nie rozłączaj się, zaraz go spławię...

Nacisnął widełki i rzucił niecierpliwie: - Tak?

- Halo, Frank.

Miękki szept, melodyjny, łatwy do rozpoznania.

- No, Booth - powiedział Horrigan, prostując się w fotelu - jak ci się powodzi?

- Doskonale, Frank. Co u ciebie?

- Wszystko dobrze... słuchaj, nie rozłączaj się, tylko dokończę drugą rozmowę...

Przycisnął widełki i zapytał pospiesznie: - Macie go, chłopcy?

- Mamy go - odparł agent. - Wiesz, co masz robić. Trzymać go na linii.

Horrigan uśmiechnął się zaciśniętymi ustami i przełączył się z powrotem na Bootha, który powiedział ze słodyczą: - Mam nadzieję, że nie próbujesz mnie namierzyć, Frank.

- Niby w jaki sposób?

- Mogłeś poprosić swoich przyjaciół, żeby założyli ci podsłuch.

- Ach, nie zawracałem im głowy. Myślałem, że nie starczy ci odwagi, żeby zadzwonić drugi raz.

- Owszem, zawracałeś im głowę, Frank. I wiedziałeś, że znowu zadzwonię. Chyba wiesz, że czego jak czego, ale odwagi mi nie brakuje.

- A czego ci brakuje?

Och... wielu rzeczy. Wiele rzeczy mi odebrano przez wszystkie lata. Tak samo jak tobie, Frank. Tyle straciłeś Obaj tyle straciliśmy. Mam nadzieję, że nie poniosłeś zbyt dużego uszczerbku, ponieważ spodziewałem się znaleźć... godnego przeciwnika. - Ach tak?

- Właśnie. Skoro o tym mówimy, jak się czujesz, Frank? - Łagodny głos zdawał się wyrażać szczerą troskę. - Martwiłem się dzisiaj o ciebie.

- Naprawdę? A to dlaczego, Booth?

- Podczas parady... myślałem, że zemdlejesz z wyczerpania, Frank. - Głos cmoknął

współczująco; spoza udawanej troski przebijał sarkazm. - Naprawdę powinieneś być lepiej zadbać o kondycję, zanim poprosiłeś o przydział do Ochrony.

Horrigan ścisnął słuchawkę z całej siły, aż nabrzmiały mu żyły na dłoni. Ale odpowiedział spokojnym głosem: - Wiesz, Booth, może masz rację. Może brakuje mi kondycji.

- Kiedyś miałeś wspaniałą kondycję, dawno temu. Właśnie oglądam na wideo twój film.

- Film?

- Czy jesteś kinomanem, Frank? Wiesz, co to znaczy auteur?

- Nie.

- To po francusku „auteur”, ale tym słowem określa się najwybitniejszych reżyserów, takich jak... och, na przykład Hitchcock. Leone. Truffaut.

Najpierw Beatlesi, potem modele samochodów, teraz kino.

- Nigdy nie grałem w filmie - powiedział Horrigan.

- Ależ tak, Frank! Pracowałeś dla największego reżysera z nich wszystkich! Dorobek miał niewielki, ale jego styl, dynamika... niepowtarzalne. Mówię oczywiście o wielkim geniuszu kinematografii, Abrahamie Zapruderze.

Gniew Horriganą zmienił się w mdłości.

- Dallas, 22 listopada 1963 roku. Wiem, gdzie wtedy byłem... i wiem, gdzie ty byłeś, Frank. Wtedy byłeś w dobrej kondycji, prawda? Ale niestety to ci nie pomogło... czy raczej jemu.

Horriganowi zaschło w ustach.

- Co ci się stało tamtego dnia? Tylko jeden agent zareagował na strzały... a reszta z was, wytrenowani, refleksy jak napięte sprężyny? Nic. Oglądałem to tyle razy... ale ty nawet nie zszedłeś ze stopnia samochodu.

- Zamknij się - warknął Horrigan.

- Frank... po co ta złość? Czy dwaj przyjaciele nie mogą otwarcie porozmawiać o drażliwych sprawach? Na czym to stanąłem? Aha. Właściwie byłeś bliżej Kennedy'ego niż ten agent, który zareagował... byłeś bliżej niż reszta agentów, w pewnym sensie.

Horrigan stał na stopniu samochodu ochrony od strony Teksaskiej Składnicy Księgarskiej. Głos Bootha nucił melodyjnie: - W nocy, Frank, kiedy leżysz w łóżku i próbujesz zasnąć, co widzisz? Co ci się śni, Frank? Czy we śnie widzisz twarze, przedmioty, wydarzenia? Czy widzisz ten karabin w oknie? Czy widzisz roztrzaskaną głowę Kennedy'ego?

Horrigan zamknął oczy, ale to nie uciszyło miękkiego głosu Bootha i jego raniących słów. Tak bardzo chciał odłożyć słuchawkę... ale musiał zatrzymać tego świra przy telefonie.

- To musi być okropne, Frank, ta świadomość, że gdybyś zareagował na pierwszy strzał, zdążyłbyś stanąć na linii ognia. Oczywiście wtedy mógłbyś sam oberwać.

Dlaczego agenci jeszcze nie wyłamywali drzwi Bootha, nie przewracali go na podłogę, nie skuwali mu rąk za plecami?

- Czy żałujesz, że nie oddałeś za niego życia, Frank? pytał Booth. Horrigan nie udzielił mu satysfakcjonującej odpowiedzi. Zamiast tego powiedział po prostu: Nie można zmienić historii. To prawda. Święta prawda. Ale wiesz co? Można ją tworzyć.

Te słowa przejęły Horrigan zimnym dreszczem.

- Tyle straciłeś - ciągnął Booth. - Żona cię opuściła... zabrała waszą córeczkę. Kiedy robili z tobą wywiad do tego artykułu w czasopiśmie... tego o dziesiątej rocznicy zabójstwa... byłeś wspaniały. Taki szczery, taki uczciwy. Na pewno nie przyszło ci łatwo przyznać się publicznie do swojego alkoholizmu. Życie z tobą musiało być piekłem. Założę się, że liczyłeś na jej powrót, twojej żony, dlatego to powiedziałeś. Żeby ją odzyskać.

Horrigan skrzywił się na domyślność Bootha.

- Świat traktuje uczciwych ludzi tak niesprawiedliwie, tak okrutnie - stwierdził Booth. Tym razem w jego głosie nie zabrzmiała ani odrobina sarkazmu.

Dlaczego ci cholerni agenci tak długo zwlekają z aresztowaniem Bootha? Jakim cudem można zachować zimną krew rozmawiając z tym czubkiem?

- Znasz moją historię, Booth. A jaka jest twoja? Znowu ten dźwięk: cc, cc.

- Nie mogę ci powiedzieć, Frank. Przepraszam. Booth zanucił kilka taktów piosenki „With a Little Help from My Friends” i dodał: - Dobrze mieć przyjaciela... Frank. Szczęknęła odkładana słuchawka.

Fala zdumienia, wściekłości i rozczarowania ogarnęła Horrigan, kiedy wpatrywał się w głuchy telefon. Potem nacisnął widełki, jeszcze raz połączył się z dyżurnym agentem i warknął: - No?

- Spokojnie, Horrigan. Nie blokuj linii, zadzwonimy do ciebie, jak go złapiemy.

Horrigan trzasnął słuchawką, wstał, nalał sobie Jamesona - o cal więcej niż zwykle - i wypił łapczywie. Po raz pierwszy od dwunastu lat miał ochotę zapalić.

- Ten skurwiel - mruknął. - Ten cholerny skurwiel... Chodził po mieszkaniu, popijał i przeklinał na głos. Po pierwszym dzwonku telefonu chwycił słuchawkę i

wrzasnął: - No?

Głos dyżurnego agenta był jednocześnie zmęczony i zakłopotany.

- Namierzyliśmy sygnał i wysłaliśmy miejscowe gliny pod ten adres, średnio zamożna dzielnica. Wyłamali drzwi i wpadli do tego domu z bronią w rękę.

- I co?

Westchnienie agenta również wyrażało zmęczenie i zakłopotanie.

- Znaleźli parę nastolatków robiących brzydkie rzeczy na kanapie przed telewizorem.

- Cholera!

W biurze Wydziału Śledczego, niecałe pół godziny później, technik od elektroniki powiedział Horriganowi, że podejrzany prawdopodobnie miał urządzenie, które nieznacznie zmieniało napięcie na linii, dlatego wydawało się, że dzwoni z innego numeru.

- To urządzenie... skąd... jak on je zdobył? Technik, chudy, łysiejący agent w okularach nazwiskiem Carducci, wzruszył ramionami i powiedział: - Jeśli miał części, sam mógł je zrobić.

- Gdzie mógł zdobyć części?

- W sklepie elektronicznym. - Następne wzruszenie ramion. - Sam potrafię coś takiego skonstruować.

- Wspaniale. Więc jeśli znowu zadzwoni, nie możemy go namierzyć?

- No... możemy przeprowadzić test zero - jedynkowy, jeśli on skorzysta z linii podłączonej do cyfrowych przekaźników.

Wspaniale! Więc możecie go namierzyć. Niekoniecznie. Nie, jeśli skorzysta z linii analogowej.

Horrigan trzasnął pięścią w biurko, aż podskoczył monitor komputera.

- W dupie mam te elektroniczne pierdoły! Żądam jasnej i wyraźnej odpowiedzi. Po angielsku.

Carducci zamachał rękami, próbując uspokoić Horriganę.

- Jeżeli on znowu zadzwoni, zatrzymasz go na linii, a ja zrobię, co mogę. Wystarczy?

Horrigan przytaknął z ponurą miną. Carducci ostrzegawczo podniósł palec.

- Ale jeśli znowu wciągniesz w to miejscowe gliny albo naszych chłopców, lepiej ich uprzedź, żeby nie wyłamywali więcej żadnych drzwi. Nie wiemy, do czego jest zdolny ten facet, mówiąc językiem elektroniki.

- Ja wiem, do czego on jest zdolny - odparł Horrigan, nie tłumacząc tego na język elektroniki.

Carducci zamrugał zza okularów.

- Do czego?

- Do wszystkiego.

## 8.

Na południowo - zachodnim rogu Zachodniego Skrzydła Białego Domu, w jednym z pokoi wchodzących w skład tak zwanego Prostokątnego Biura, szef sztabu prezydenta Harry Sargent siedział za stołem konferencyjnym obok zastępcy dyrektora Tajnej Służby, Campagna, oraz trojga agentów - Billa Wattsa, Lilly Raines i Franka Horrigana, na prośbę którego zwołano to zebranie.

W opinii Horrigana Sargent był najmniej sympatycznym szefem sztabu od czasu H. R. Haldemana - a to coś znaczyło. Jack Kennedy zlikwidował to stanowisko twierdząc, że nie potrzebuje zastępcy. Nawet ten wredny sukinsyn Lyndon Johnson obywał się bez niego.

W przeciwieństwie do obecnego prezydenta, niestety.

Sargent, ciężko zbudowany facet po pięćdziesiątce z nixonowską fryzurą, w wymiętym brązowym garniturze i krawacie w czerwono - żółte paski, był wyraźnie zirytowany, że mu zawracają głowę. Na jego usprawiedliwienie przemawiał fakt, że trwały właśnie ostatnie dni gorączkowej kampanii wyborczej, która nie przebiegała pomyślnie.

Teraz jednak, słuchając nagrania wczorajszej telefonicznej rozmowy Horrigana z Boothem, Sargent wydawał się zaintrygowany.

„Założę się, że liczyłeś na jej powrót, twojej żony”, mówił głos Bootha z magnetofonu. „Prawda?” Wysłuchiwanie tego po raz drugi w obecności innych - zwłaszcza tego kutasa Wattsa - doprowadzało Horrigana do szału; Booth paplał o jego prywatnym życiu i zawodowej klęsce w Dallas.

Ale Horrigan zachował niewzruszoną twarz. Raz jego spojrzenie na chwilę skrzyżowało się ze spojrzeniem Lilly wydawała się zażenowana, jej oczy wyrażały gorące współczucie.

To nie pomagało.

Tracąc zainteresowanie, Sargent spojrział niecierpliwie na zegarek, kiedy bezcielesny głos Bootha mówił: „Dobrze mieć przyjaciela, Frank”.

Campagna wyciągnął rękę i wyłączył magnetofon.

- To wszystko? - zapytał Sargent.

- To wszystko.

Chociaż w reprezentacyjnych pokojach biurowych wcale nie było gorąco, Sargent wytarł chustką zaczerwienioną twarz. Zareagował jak zwykle po grubiańsku: - Co to



ma wspólnego ze mną, do cholery? Campagna, złożwszy dłonie modlitewnym gestem, pochylił się do przodu z przejęciem.

- Harry... chcielibyśmy, żebyś odwołał jutrzejszy obiad prezydenta.

Sargent spiorunował go wzrokiem.

- Oficjalny obiad? W ambasadzie francuskiej? Ludzie, czy wyście powariowali?

- Traktujemy tego osobnika bardzo poważnie - wyjaśnił Campagna. - Zaklasyfikowaliśmy go jako „pacjenta”.

- Bill? - rzucił Sargent, spoglądając na niego zwężonymi oczami. - Jak uważasz?

- Zgadzam się z Samem - odparł Watts bezbarwnym głosem, zdobywając pierwszy punkt u Horrigana.

Czerwony na twarzy szef sztabu westchnął ciężko.

Rozumiem, że macie trzysta albo czterysta podejrzanych mieszczących się w tej kategorii - powiedział z nie - wesołym uśmiechem. - Wszyscy są na wolności, a przecież ze względu na nich nie odwołujemy żadnych oficjalnych obiadów. Czym się od nich różni ten szaleniec?

Watts nie odpowiedział. Campagna spojrział na Horrigana i kiwnął głową, dając mu znak, żeby przejął pałeczkę. Ten szaleniec - powiedział Horrigan - przeprowadził niepokojąco skomplikowaną manipulację na liniach telefonicznych. W dodatku potrafi budować modele samochodów.

Sargent zmierzył agenta wzrokiem wyrażającym niesmak i konsternację, niczym wegetarianin, którego częstują cheeseburgerem.

- Modele samochodów?

- No tak - powiedział Horrigan. - Niektóre z nich są zdalnie sterowane, co wymaga znajomości elektroniki...

- I dlatego - przerwał mu Sargent z jawną ironią chciecie, żebym zmienił rozkład zajęć najpotężniejszego człowieka na świecie, a na dodatek obraził czterdzieści milionów Francuzów?

Horrigan spróbował jeszcze raz: - Z takimi umiejętnościami, jeśli Booth zna się trochę na materiałach wybuchowych...

- Wy, chłopcy, róbcie swoją robotę - uciął ostro Sargent - to nie będzie żadnych problemów. - Robimy naszą robotę - odparł Horrigan równie ostrym tonem. - Właśnie dlatego radzimy skreślić ten obiad.

Lilly, która wyraźnie czuła się nieswojo w tej wrogiej atmosferze, uniosła rozwartą dłoń.

- Protokół ogranicza naszą skuteczność na terenie ambasady, sir.

- Ona ma rację - oświadczył Horrigan. - Przeszmugłowanie broni do ambasady jest dziecinnie łatwe, nawet przy najsurowszej kontroli...

Sargent potrząsnął głową z niedowierzaniem, niemal z pogardą.

Co wy mi próbujecie wmówić, do cholery? Że niby Francuzi chcą sprzątnąć prezydenta?

Agenci poruszyli się niespokojnie w fotelach, przytłoczeni miazdzącą krytyką Sargenta - wszyscy oprócz Horrigan.

Chociaż raz - powiedział cicho Horrigan, panując nad głosem - chciałbym spotkać szefa sztabu z Białego Domu, który nie przeszkadza Tajnej Służbie na każdym kroku.

Oczy Sargenta znowu miotaly błyskawice. Horrigan widząc karzący wzrok Campagny, zakłopotaną minę Wattsa, przestraszoną Lilly - zrozumiał, że przeholował. Wcale się tym nie przejął.

Sargent ze ściągniętą twarzą buldoga wskazał na magnetofon.

- Wiesz, co ja myślę, agencie Horrigan? Myślę, że ten cwaniak trafił cię we wrażliwe miejsce, dlatego tak się ciskasz.

Horrigan posłał szefowi sztabu to samo martwe spojrzenie, którym terroryzował tłum wokół prezydenckiej limuzyny.

- Ja tylko próbuję chronić pańskiego szefa - powiedział chłodno.

- A myślisz, że co ja robię, do cholery! - Maską Sargenta na chwilę opadła i wyjrzał zza niej strzép człowieka.

- Ostatnie sondaże wykazały, że jesteśmy w tyle o dwadzieścia cholernych punktów - oznajmił ponuro Sargent. - Jeśli szybko nie dokonam cudu, może już nie będę miał szefa... za sześć tygodni wyleci z posady, a ja razem z nim.

Uderzył pięścią w otwartą dłoń.

Muszę przez cały czas trzymać prezydenta na widoku, niech to szlag - dodał.

Może pan ma rację - powiedział Horrigan.

- Co?

- Może niedługo straci pan szefa i swoją posadę. Campagna zakrył oczy zmęczonym gestem. Sargent wyprostował się i wypluł z siebie: - Co to ma znaczyć, do cholery? Horrigan wzruszył ramionami.

- Nie można pracować dla trupa.

To zmroziło obecnych, ale tylko na chwilę. Porządek zebrania zawierał jeszcze kilka punktów. Sargent odwrócił się do Sama i powiedział szorstko: - Następna

sprawa.

I na tym się skończyło.

Tymczasem gdzieś w mieście, w ciemnej, wilgotnej piwnicy Mitch Leary - w podkoszulku i dżinsach - pracował ciężko przy swoim warsztacie, otoczony błogosławioną ciszą.

Siedząc na ławce, rozłożył przed sobą narzędzia swojego hobby (choć to już się stało czymś więcej niż hobby, prawda?). Wokół skromnego miejsca pracy znajdowały się starannie uporządkowane butelki farby, tubki kleju, szkła powiększające, różne rodzaje papieru ściernego (przeważnie bardzo drobnego), słoiki wosku, wiertła rozmaitej grubości.

Na środku leżały równie starannie ułożone kawałki metalu. Po złożeniu tworzyły mały, kanciasty automatyczny pistolet. Po rozłożeniu Leary zamierzał wykonać ich odlewy w ręcznie zrobionych formach, używając żywicy, którą sam ulepszył. Żywice na ogół są kruche. Ale nie ta.

Nie ta.

Nucąc ulubioną melodię Beatlesów, ustawił przed sobą liczne małe foremki, ręcznie wycięte z drewna. Potem zaczął rozwijać opakowane w plastik kostki zielonej gliny modelarskiej - przypominały kostki masła, ale oczywiście miały gęstszą konsystencję.

Zaczął nakładać gęstą, tłustą glinę do małych drewnianych foremek. Wciąż nucąc, wziął lufę pistoletu i wcisnął ją głęboko do foremki wypełnionej zieloną masą. Ten proces w modelarstwie nazywał się odciskaniem. Ale oczywiście Leary nie robił modelu pistoletu. I nie chodziło o modelarstwo.

## 9.

Ambasada francuska zajmowała jeden z wielu okazałych budynków w Kaloramie, reprezentacyjnej dzielnicy położonej na północ od Dupont Circle. Tego wieczoru agenci Tajnej Służby pełnili straż wzdłuż podjazdu, zakręcającego za filarami żelaznej bramy. Dygnitarze, urzędnicy najwyższego szczebla oraz ich lepsze połowy napływali do masywnej, ozdobnej ceglanej rezydencji w powodzi smokingów, futer, wieczorowych sukien i biżuterii. Pośród wytwornego tłumu kręcili się inni agenci, również ubrani na wieczorowo dla kamuflażu.

Jednym z nich był Horrigan, wciąż trochę skrępowany swoim uroczystym strojem, mimo wieloletniej praktyki przy podobnych okazjach. Drugą była Lilly Raines, ubrana w szalową, głęboko wydekoltowaną kreację z czarnej satyny. W pracy nosiła upięte włosy; teraz rozpuszczone rudozłote pukle muskały jej kremowe, leciutko piegowate ramiona. Wyglądała ślicznie, co napełniło Horrigan nieokreślonym smutkiem. Jej widok poruszył w nim coś, co wolałby pozostawić uśpione.

Stali po obu stronach otoczonego gośćmi parkietu do tańca w sali balowej. Chociaż żadne nie posługiwało się „zabójczym” wzrokiem (nieodpowiednim na taką okazję), oboje bezustannie przepatrywali twarze w tłumie. Kilka razy ich spojrzenia się spotkały i Horrigan zauważył cień uśmiechu na pełnych, pokrytych szkarłatną szminką ustach rudowłosej dziewczyny.

Prezydent i promienna Pierwsza Dama właśnie przeciskali się przez tłum razem z prezydentem Francji, ściskając dłonie, zamieniając parę słów z tym czy tamtym, otoczeni półkolem agentów, wśród których byli też Matt Wilder i Bill Watts, ten ostatni trzymający się bliżej prezydenta niż Pierwsza Dama.

Orkiestra zaczęła grać przesłodzoną wersję „With a Little Help from My Friends”, co zdenerwowało Horrigan. Ulubiona piosenka Bootha, tylko tego brakowało. Horrigan nie mógł się oprzeć irracjonalnym podejrzaniom, że to Booth zaaranżował wykonanie tego utworu.

Kiedy pary wkraczały na parkiet, włącznie z prezydentem i Pierwszą Damą, Horrigan podszedł do Lilly.

- Dziwny wybór melodii, nie uważasz? - zagadnął.

Lilly odparła, przekrzykując muzykę: - To ze względu na prezydenta. On jest taki dziecinny... wszyscy wiedzą, że przepada za Beatlesami.

- Nie on jeden - stwierdził kwaśno Horrigan.

- Co?

- Nic.

Podczas przerwy w muzyce uśmiechnął się do niej i powiedział: - Ślicznie dzisiaj wyglądasz.

- Cóż, dziękuję.

- Można by cię zjeść. Uśmiechnęła się nieprzyjemnie.

- Za każdym razem, kiedy zaczynam ci współczuć, musisz wygłosić jakąś niestosowną seksistowską uwagę.

Postaram się, żeby moja następna seksistowską uwagę zabrzmiała stosownie. -  
Potem zmarszczył brwi. Dlaczego mi współczujesz? Lilly odwróciła wzrok.

No wiesz - powiedziała z zakłopotaniem.

- Nie, nie wiem.

- Ta... taśma z rozmową telefoniczną. Kiedy Booth zaczął mówić o twojej żonie...

- Byłej żonie.

- No, w każdym razie... zrobiło mi się żal.

- To znaczy żałowałaś mnie?

- Nieważne. - Zacisnęła usta i odwróciła się od niego, wciąż badając wzrokiem tłum. - Wiesz, Horrigan, czasami jesteś cholernie denerwujący.

Zakołysał się na obcasach, kiedy orkiestra zagrała równie przesłodzoną wersję „Something” George’a Harrisona.

- Ostatnio jakoś wszyscy mi współczują - powiedział. Najpierw ten stuknięty niedoszły morderca, potem ładna dziewczyna, którą denerwuję...

Popatrzyła na niego, bardziej ubawiona niż obrażona.

- Dziewczyna?

- Kobieta. Osoba. Cokolwiek sobie życzysz. Facet w moim wieku powinien być twardy i niemiły. Słuchaj, może byśmy... no wiesz. Zatańczyli.

Potrząsnęła głową.

- Raczej nie. Lepiej widać z boku. Może kiedy indziej, po pracy...

- Za parę godzin będziemy po pracy. Odwróciła głowę.

- Nie, dziękuję.

Horrigan wyładował swoją irytację w szczeniackim geście. Wpatrzył się pożądliwie w dekolt Lilly.

- Co ty wyprawiasz, Horrigan?

- Używam swoich zdolności dedukcji. Wiesz, jestem wykwalifikowanym

detektywem.

- Co ty wygadujesz?

Horrigan pokiwał głową, jakby właśnie rozwiązał nadzwyczaj skomplikowaną zagadkę.

- Chyba wreszcie odkryłem, gdzie nosisz swój służbowy rewolwer...

Tym razem Lilly nie była rozbawiona. Rzuciła mu - niepewne spojrzenie, a on wzruszył ramionami i wmieszał się w tłum.

Widział, jak gniew na jej twarzy zmienił się w uśmiech, lecz Bill Watts zobaczył to i skarcił ją wzrokiem. Lilly czym prędzej zrobiła poważną minę, jak na agenta przystało.

Następnego dnia Mitch Leary - podróżujący pod nazwiskiem James Carney - siedział w pierwszej klasie samolotu do Los Angeles i nucąc „With a Little Help from My Friends”, wypisywał imienny czek na rozkładanym blacie. Czek Korporacji Microspan opiewał na sumę tysiąca dolarów, z przeznaczeniem na „kampanię wyborczą prezydenta”.

Leary poprawił okulary na nosie. Ubrany był w tradycyjny garnitur, miał gęste ciemne włosy i wąsy - wyglądał na przystojnego biznesmena w średnim wieku. Podniósł czek, połyskujący wilgotnym podpisem „James Carney”, i uśmiechnął się do swego dzieła, jakby właśnie namalował prześliczny obrazek.

Przez głośniki rozległ się głos pilota, zapowiadający lądowanie w Los Angeles, gdzie temperatura wynosiła przyjemne dwadzieścia dwa stopnie.

- Czy zechciałby pan podnieść blat, sir? - zapytała przechodząca atrakcyjna stewardesa.

Uśmiechnął się do niej słodko, powiedział: „Oczywiście” i włożył czek do ofrankowanej koperty. Zakleił kopertę, wsunął ją do wewnętrznej kieszeni marynarki i podniósł blat.

West Executive Drive, ślepa uliczka pomiędzy Zachodnim Skrzydłem Białego domu a Starym Biurowcem Za - rządu, miała asfaltową nawierzchnię z zaznaczonymi numerowanymi miejscami do parkowania. Niektóre były przeznaczone dla ważnych gości zajeżdżających limuzynami; reszta należała do pracowników obu sąsiadujących budynków.

Był piękny, rozkosznie chłodny jesienny wieczór, dwa dni po nudnej oficjalnej kolacji w ambasadzie francuskiej. Lilly Raines szła do swojego nowego buicka,

ustawionego na samym końcu parkingu, kiedy zawołał ją Horrigan.

- Agentko Raines!

Podbiegł do niej z uśmiechem, miał nadzieję, że chłopięcym; trudno było na to liczyć w jego wieku.

- Może podrzucisz kolegę do domu? - poprosił. - Mój partner D'Andrea już odjechał.

Lilly zmierzyła go zabójczym wzrokiem.

- Coraz lepiej ci to wychodzi - stwierdził.

- Co takiego?

- Zabójcze spojrzenie.

Nieruchoma maska jej twarzy roztopiła się w uśmiechu.

- Czemu ciągle się mnie czepiasz?

- Ja się ciebie czepiam? Myślałem, że z tobą flirtuję. Lilly przekręciła kluczyk w drzwiach po stronie kierowcy i rzuciła przez ramię: - Sam wiesz, że nic nie wyjdzie z naszego związku, więc po co zaczynasz?

- Miło to słyszeć.

- Co?

- Że jest szansa na jakiś związek. Słuchaj, bądź dobrą koleżanką, podrzuć mnie.

Obejrzała się, wyraźnie mięknąc.

- Kupię ci loda na patyku, dziewczynko.

Lilly uniosła brew, a on podniósł ręce do góry pokazując, że nie ma broni, i znowu spróbował ją oczarować chłopięcym uśmiechem.

Tym razem to podziałało. Lilly roześmiała się dźwięcznie i swobodnie, z całego serca.

- Wsiadaj, głuptasie.

Wkrótce siedzieli oparci o marmurową kolumnę na stopniach Lincoln Memoriał, liżąc lody. Nikogo nie było poblizu, nawet turystów. Lekki wiatr tarosił upięte włosy Lilly.

- Chciałbym, żebyś je rozpuściła - powiedział Horrigan.

- Co?

- Twoje włosy.

Uśmiechnęła się krzywo, liżąc loda.

- Nie poganiaj mnie, Horrigan.

- Mów mi Frank, dobrze? Mam już dosyć zwrotów w rodzaju „agentko Raines”.

- Okay, Frank.

- Dziękuję, Lilly. - Polizał loda; on wziął waniliowe, ona czekoladowe. - Wiesz, jeszcze nigdy nie pracowałem z agentem kobietą. Ile was jest w sumie?

- Sto dwadzieścia sześć, według najnowszych danych. Roześmiał się krótko i serdecznie.

- Mydlenie oczu.

- Co to znaczy? - zapytała Lilly, lekko nachmurzona.

- Nie obrażaj się, ale sto dwadzieścia sześć na trzy i pół tysiąca... jesteście po to, żeby mydlić oczy. Dzięki wam prezydent zdobywa poparcie kobiet wyborców.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Czy to jest ta „stosowna” seksistowska uwaga, którą mi obiecałeś tamtego wieczoru?

- Nie seksistowska. Pomyśl realnie, Lii... połowa tych bzdur, które robimy, to zwykłe mydlenie oczu. To dotyczy również mężczyzn.

- Nie wierzę ci.

Naprawdę? A niby dlaczego biegamy dookoła kuloodpornej limuzyny, która wytrzyma nawet trafienie pociskiem przeciwpancernym? - Znowu roześmiał się swoim głębokim, lekko szyderczym śmiechem. - Jesteśmy na pokaz. Żeby prezydent wyglądał po prezydencku.

Lilly ugryzła loda, wbijając drobne, białe, równiutkie ząbki w czekoladową masę.

- Ach tak? No, jeśli ja tutaj jestem po to, żeby zdobywać głosy kobiet, jaką mniejszość ty reprezentujesz?

Zastanowił się nad tym, gryząc swojego loda, po czym uśmiechnął się do niej triumfalnie.

- Białych heteroseksualnych pianistów po pięćdziesiątce - oświadczył. - Jest nas niewielu, ale mamy cholernie silne lobby.

Nagrodziła go lekkim uśmiechem. Dokończyła loda, spojrzała na zegarek i wstała.

- Przy zdenerwowaniu czas szybko mija.

- Chyba tak. Dokąd się spieszysz?

- Mam randkę.

- Ktoś, kogo znam?

- Nie twój interes. - Zorientowała się, że te słowa zabrzmiały zbyt szorstko, więc złagodziła je uśmiechem. Podrzucić cię?

Horrigan wciąż był zajęty lodem.



- Nie. Chyba jeszcze tu zostanę. Podoba mi się, jak światło obmywa starego Abe'a o tej porze dnia. - Lilly spojrzała na pomnik, potem na Horrigan i kiwnęła głową.

- Cześć. Dzięki za loda.

- Nie ma za co, dziewczynko.

Pomachała mu ręką i ruszyła do samochodu, zaparkowanego za ulicy. Za nią widział Lustrzany Staw i pomnik Waszyngtona, czyste i lśniące jak na pocztówce.

Jeśli się obejrzy, to znaczy, że jest zainteresowana, pomyślał.

Lilly szła dalej.

No, Lil, odwróć się...

Podeszła do samochodu.

Tylko jedno małe spojrzenie... wiem, że to głupie, ale spójrz na mnie...

Chciał już zrezygnować, kiedy Lilly dotknęła drzwi samochodu i ukradkiem zerknęła na niego przez ramię.

Rozpromienił się i pomachał jej ręką.

Ona z zakłopotaniem odwróciła wzrok i wsiadła do samochodu.

Horrigan zgryzł resztkę loda. Od wielu dni nie był tak zadowolony z siebie. Od wielu tygodni. Miesiący. Rozparł się na marmurowych stopniach, gdzie niegdyś pełnił służbę w ochronie Martina Luthera Kinga, tego wieczoru, kiedy padły słowa: „Miałem sen”. Odwrócił się i spojrział z podziwem na potężną, mierzącą dwadzieścia stóp postać prezydenta, który w ostatnich dniach swoich rządów stworzył Tajną Służbę, ale sam nigdy nie korzystał z takiej ochrony.

- Szkoda, że wtedy nie byłem przy tobie, wielki człowieku - mruknął Horrigan i wcale nie żartował.

Po chwili ruszył do najbliższego przystanku autobusowego.

## 10.

Mitch Leary, wciąż ukryty za szklami okularów i przebraniem biznesmena, zaparkował wynajętego buicka w zatoczce przy głównej ulicy w Santa Monica. Z teczką w ręku uśmiechnął się do łagodnie rozkołysanych palm, które rosły wzdłuż jezdni. Balsamiczny klimat koił nerwy. Mitch czuł się prawie jak na wakacjach.

Prawie.

Wszedł do Banku Southwest i ruszył do okienka obsługi klientów. Urzędniczka za szybą według plakietki nazywała się Pam Magnus - blondynka po trzydziestce, z lekką nadwagą, przesadnie umalowana, w obcisłej sukience w czarno - białe pionowe pasy. W tej chwili pracowała przy swoim komputerze. Uśmiechnęła się wesoło i rzuciła: - Jedną chwileczkę, proszę pana. Leary swobodnie odwzajemnił uśmiech.

- Nie ma pośpiechu.

Ale ona skończyła błyskawicznie i odwróciła się do niego z rozjaśnionymi oczami, pełna niekłamanej życzliwości.

- Czym mogę panu służyć?

Położył na kontuarze czek gotówkowy na sumę sześćdziesięciu tysięcy dolarów.

- Chciałbym otworzyć rachunek korporacji - powiedział - i zdeponować to. - Gotówkę na pokrycie czeku wpłacił w banku w San Jose.

- Proszę bardzo - powiedziała. - Pozwoli pan, że zobaczę umowę korporacyjną...

- Oczywiście. - Położył teczkę na kontuarze, otworzył - a wyjął dokumenty, zatrzasnął teczkę i podsunął jej dokumenty z kolejnym miłym uśmiechem.

Patrzył, jak wystukuje „KORPORACJA MICROSPAN” na ekranie komputera, odczytując nagłówek pierwszego dokumentu. Przerwała, żeby wydmuchać nos, obdarzyła go następnym przychylnym spojrzeniem i dalej szybko naciskała klawisze.

- Jaką działalność prowadzi Microspan, panie Carney? - zapytała, nie przerywając pracy.

- Oprogramowanie komputerowe.

- W San Jose, jak widzę.

- Zgadza się. - Poprawił okulary na nosie. - Tam jest nasza centrala. Przyjechałem tutaj, żeby otworzyć filię w L.A.

Wciąż pisząc, uśmiechnęła się i powiedziała: - Zawsze lubiłam tę piosenkę.

- Przepraszam?

- „Czy znasz drogę do San Jose?” - Aha. To ładna piosenka.

Była gadatliwym stworzonkiem, całkiem atrakcyjnym. Czyżby z nim flirtowała? Leary poczuł się pochlebiony, chociaż zdawał sobie sprawę, że jej awanse adresowane były do zamożnego biznesmena.

- San Jose to wspaniałe miasto - ciągnęła. - Czy pan stamtąd pochodzi?

- Nie.

Na chwilę oderwała wzrok od ekranu i spojrzała na niego, trzepocząc rzęsami.

- A skąd pan pochodzi?

- Z Minneapolis.

Jej twarz rozpromieniła się jeszcze szerszym uśmiechem.

- Żartuje pan! Ja też! Niedobrze.

- Świat jest mały - powiedział.

Znowu przeniosła spojrzenie na rozjarzony zielenią ekran.

- Nie dobijały pana te zimy? Na dziewięć miesięcy w roku zakopywałam się pod kołdrę z termoforem. Zrobiła minę i przewróciła oczami. - Jak się tutaj przeprowadziłam, straciłam trzydzieści funtów.

- Gratulacje.

- Jaką uczelnię pan kończył? - szczebiotała dalej. Szybko wymyślił: - New Brighton.

- Uniwersytet New Brighton?

- Właśnie.

Popatrzyła na niego ciekawie, jej palce zawisły nad klawiszami.

- Ale tam nie ma żadnego Uniwersytetu New Brighton.

Uśmiechnął się dyplomatycznie.

- Wtedy był.

Teraz przyglądała mu się ukradkiem, jej małe oczka błyskały pod makijażem. Pewnie próbowała ocenić jego wiek, dopasować go do jakiegoś mitycznego Uniwersytetu New Brighton, który zamknięto dawno temu...

Wreszcie wzruszyła ramionami, odwróciła się do komputera i jej palce znowu zaczęły śmigać nad klawiaturą.

- Chyba coś mi się pomieszało - stwierdziła, śmiejąc się sama z siebie. - To się często zdarza.

Gównu! Gównu, gównu, gównu. Stukał stopą w podłogę: zmusił się, żeby przestać. W porządku, pomyślał, zmiana planu. Improwizacja i adaptacja... Spojrzał na jej dłoń. Nie ma obrączki. Dobrze. Nieznacznie wyciągnął szyję i dostrzegł fotografię na

jej biurku: owczarek niemiecki. Pies, nie narzeczony.

Dobrze.

- Naprawdę miła z pani dziewczyna - powiedział pochlebny tonem.

Odwróciła się od ekranu i nagrodziła go promiennym uśmiechem.

- Dziękuję panu, panie Carney.

Kiedy zakończyli transakcję, odszedł powolnym krokiem.

Jeżeli się obejrzę, pomyślał, ona wyczuje mój niepokój...

Ale musiał się obejrzeć.

Chyba zrobiłem na niej wrażenie, myślał. Ale muszę się upewnić...

W drzwiach obejrzał się i napotkał jej wzrok, wyrażający zakłopotanie. Uśmiechnął się do niej, pomachał ręką, a ona odwzajemniła mu się uśmiechem.

Ale jej uśmiech był sztuczny.

Leary wrócił do wynajętego buicka i usiadł za kierownicą. Myśli brzęczały, kipiały i wirowały za obojętną maską jego twarzy. Potem nagle z całej siły trzasnął nasadą dłoni w kierownicę.

- Gówno - powiedział cicho.

Jak można zepsuć taki piękny dzień?

Później tego samego popołudnia, w odległości zaledwie jednej przecznicy od Banku Southwest, Leary siedział za kierownicą starego oldsa cutlassa, którego wynajął godzinę wcześniej pod innym swoim nazwiskiem. Chociaż zmienił samochód, zachował osobowość Carneya - okulary, garnitur i krawat, ciemne włosy i wąsy. Opuściwszy szyby w oknach, rozkoszował się tropikalną bryzą. Podśpiewywał melodię Beatlesów. Czekał.

Wreszcie wyszła, machając do kogoś w środku.

Obserwował, jak przyjemnie pulchna Pani Magnus, w sukience w czarno - białe pionowe pasy, idzie ciężkim krokiem zmęczonej urzędniczki na parking dla pracowników banku.

Po chwili wyjechała na ulicę czerwoną hondą civic.

On również dyskretnie włączył się do ruchu.

Pojechał za nią do Ocean Park, do białego drewnianego domku, stojącego przy cichej bocznej uliczce w nieco podupadłej dzielnicy, która mogła się wydawać wspaniała albo okropna, zależnie od punktu widzenia. Leary uważał, że jest urocza. Nawet stylowa. Nieźle byłoby tutaj mieszkać.

Zwolnił, kiedy szła po splekany chodniku do drzwi domu, gdzie przywitało ją donośne, niemal histeryczne szczekanie.

- Jak tam moje maleństwo? - zawołała.

To ten cholerny owczarek niemiecki ze zdjęcia, mógł się założyć. Przejechał trochę dalej i zaparkował po drugiej stronie ulicy. Siedział cicho, obgryzając paznokiec kciuka.

Potem wysiadł z samochodu, przebiegł przez ulicę i wskoczył na ganek małego domku. Rozejrzał się po sąsiednich domach, ale chyba nikt go nie obserwował.

Zapukał.

Usłyszał szczekanie psa i stłumiony kobiecy głos wołający: - Cicho, Rory! Leżeć!

Szczekanie ucichło, trzasnęły otwierane drzwi i przez szparę wyjrzała Pam Magnus z roztargnioną miną, pogryzając czekoladowe ciasteczko. W pierwszej chwili nie rozpoznała go i zmarszczyła brwi; potem przypomniała sobie i schowała ciastko za plecami, jakby przyłapaną na zdróżnym uczynku.

- Pan Carney... co...

- Przepraszam, że tak panią nachodzę, panno Magnus.

Patrzyła na niego oszołomionym wzrokiem.

- Jak pan mnie znalazł, panie Carney?

Uśmiechnął się, wzruszył ramionami.

- Po prostu poszukałem w książce telefonicznej. Jej zdumienie przerodziło się w strach.

- Mam zastrzeżony numer - wykrztusiła. Zaczęła zamykać drzwi, ale przytrzymał je ręką. Próbował uśmiechać się uspokajająco.

- Chyba lepiej się przyznam - powiedział z zakłopotaniem. - Nie chciałem tego mówić, ale... jechałem za panią do domu. Bardzo przepraszam. - Panie Carney...

Jeszcze w banku chciałem zaprosić panią na obiad... ale zabrakło mi odwagi. Potem pod wpływem impulsu pojechałem za panią.

- To, uch, bardzo romantyczne - powiedziała nerwowo, próbując zamknąć drzwi, ale on trzymał mocno.

- Nie znam nikogo w L.A. i nie znoszę jadać samotnie...

- Proszę, panie Carney. Jestem zajęta.

Zrobił zawstydzoną minę i uśmiechnął się głupkowato.

- Chciałem również przeprosić, że panią okłamałem. Oboje wiemy, że nie pochodzę z Minneapolis.

- Ja... nie powinnam zadawać panu tylu osobistych pytań. Przepraszam, ale naprawdę nie mam czasu...

Pchnął drzwi i nagle znalazł się w środku, a ona pisnęła. Rozejrzył się po niedużym, niskim pokoju: różowe ściany ozdobione sztukaterią, goła, drewniana, wywoskowana podłoga, łukowe drzwi, meble z wyprzedaży i morskie widoczki Głodujących Artystów.

Gdzie pies? - zapytał. - Słyszałem, jak szczekał. Na podwórzu. Niech pan lepiej idzie. Będę krzyczeć. Potrząsnął głową ze smutkiem.

- Krzyczeć? Nie ma potrzeby. Zaraz sobie pójdę. Chciałem tylko wyjaśnić to nieporozumienie w banku... Przeprawić, że wprowadziłem panią w błąd. Aha, mam nadzieję, że nie wspominała pani nikomu o naszej rozmowie?

- Nie... Panie Carney, pan mnie przestraszył. Proszę żeby pan natychmiast wyszedł.

- Pam - zawołał inny głos, kobiecy głos - z kim tam rozmawiasz? Czy to Dave? Myślałam, że byliśmy umówieni na...

Z sypialni wyszła młoda kobieta, szczupła, zgrabna atrakcyjna brunetka w krótkiej, seksownej czerwonej sukience; w rękę trzymała białą kosmetyczkę.

- Och - powiedziała na widok Leary'ego. Potem uśmiechnęła się i zerknęła figlarnie na Pam, wyraźnie zadowolona, że jej tęga koleżanka znalazła partnera. Cześć. Ty nie jesteś Dave.

- Nie, nie jestem.

Pam powiedziała napiętym głosem: - To jest moja współlokatorka, Sally. Sally, to jest pan Carney. Dzisiaj otworzyłam mu rachunek.

- Mów mi Jim - powiedział wesoło Leary.

- Miło cię poznać, Jim - stwierdziła Sally zalotnie. Ale ja mam dzisiaj randkę.

Uśmiechnęła się ponownie i ruszyła do drzwi, ale Leary zastąpił jej drogę niczym więzienny dozorca.

- Przykro mi, panienci - oświadczył - ale niestety nie mogę was wypuścić.

- Co takiego?! - zawołała Sally ze śmiechem, lecz śmiech uwiązał jej w gardle, kiedy jego dłonie ścisnęły ją za szyję i przekreśliły w dwóch kierunkach.

Trzask nie był wcale głośny - jak podczas zabiegu u kręgarza - ale Sally zwiotczała i osunęła się na podłogę, z wybaluszonymi oczami, z wywalonym językiem, martwa dziewczyna w seksownej czerwonej sukience.

Atrakcyjna Pam Magnus zdążyła tylko powiedzieć: „Mój Boże”, zanim zrobił z nią

to samo.

W anonimowym pokoju dwie kobiety leżały bezwładnie jak szmaciane lalki, jedna tam, druga tu. Czerwona sukienka wyglądała jak plama krwi, ale nie było krwi. Gdybyś tylko nie pochodziła z Minneapolis - powie - dział do Pam z pewnym żalem; ale Pam oczywiście nie odpowiedziała. Oczy miała wielkie i puste, w bezwładnej dłoni wciąż tkwiło czekoladowe ciasteczko.

Leary właściwie nie był z siebie dumny, po prostu zadowolony, że tak szybko załatwił sprawę. Nie stracił formy przez te wszystkie lata, w przeciwieństwie do Franka Horriganana. Na dworze pies zaczął szczekać, widocznie coś usłyszał czy raczej wyczuł instynktem. Leary cieszył się, że nie musiał załatwić psa.

Nie lubił zabijać zwierząt.

Właśnie wychodził, wycierając odciski palców z drzwi w miejscach, których dotykał, kiedy zadzwonił telefon. Leary podszedł do automatycznej sekretarki na stoliku i stuknął w przełącznik zgiętym palcem.

Telefon uparcie dzwonił, aż włączyła się taśma.

- Cześć, mówi Sally - powiedział jeden głos, podczas gdy drugi chichotał w tle. Potem chichoczący głos powiedział: - A teraz mówi Pam... Głos Sally oznajmił: - Wyszliśmy na miasto i świetnie się bawimy... A głos Pam dokończył: - Albo jesteśmy w domu i śpimy!

- Raczej to drugie - zauważył Leary, uśmiechając się lekko; zawsze potrafił docenić ironię.

Dave dyktował wiadomość dla Sally, kiedy Leary wychodził.

Uliczka wciąż była cicha i spokojna. Leary wsiadł do wynajętego samochodu i odjechał z otwartymi oknami, rozkoszując się balsamiczną bryzą, która rozwiewała włosy jego czarnej peruki i szeleściła palmowymi liśćmi. Czuł się prawie jak na wakacjach.

Prawie.

## 11.

Kilka dni po podwójnym morderstwie w Santa Monica, nie mając o tym pojęcia, Horrigan siedział za biurkiem które mu przydzielono w hali Wydziału Ochrony Prezydenta, kiedy zadzwonił telefon. Horrigan czytał właśnie rozkład zajęć prezydenta na najbliższe dni. Niedbale sięgnął po słuchawkę. Ze swojego miejsca widział zespół monitorów przekazujących obraz Białego Domu, a także samo Zachodnie Skrzydło po drugiej stronie West Executive Drive.

- Horrigan - powiedział.

- Frank? Booth.

Horrigan na wpół uniósł się z krzesła, machając gorączkowo do pozostałych agentów, co pierwsza zauważyła Lilly. Wymówił bezgłośnie: „To on”, a potem powiedział do słuchawki spokojnym, przyjaznym tonem: - Cześć, Booth.

- Chyba nie gniewasz się, że dzwonię do ciebie do pracy - mówił łagodny, niemal kobiecy głos. - Po prostu... no, byłem w okolicy i pomyślałem, że powinienem przekazać ci pozdrowienia.

Horrigan zakrył dłonią mikrofon słuchawki, żeby wyciszyć odgłosy zamieszania, jakie wybuchło po telefonie Bootha. Pozostali agenci - włącznie z Lilly oraz D'Andrea, który wpadł porozmawiać - zebrali się przy biurku Horrigan, a przy sąsiednim biurku technik Carducci pospiesznie włączał elektroniczne urządzenia pomiarowe, przygotowane na taką okazję.

Zawsze miło cię słyszeć, Booth - powiedział Horrigan.

Nie gniewasz się? No wiesz, że dzwonię do biura. Nie chciałem się narzucać.

Żartujesz sobie? Hej, skoro jesteś w okolicy, wpadnij do mnie.

Lilly, Al i inni nakładali słuchawki, które dostarczył poważny Jack Okura z Wydziału Śledczego, asystent Carducciego.

- Chciałbym skorzystać z zaproszenia, Frank - mówił Booth. - No wiesz, spotkać się z tobą... dużo o tym myślałem.

- Naprawdę?

- Jasne. Ostatecznie... mamy ze sobą tyle wspólnego.

Sam Campagna, zaalarmowany widokiem zamieszania, wytoczył się ze swojego gabinetu i wepchnął się na miejsce obok Lilly. Okura podał mu słuchawki.

- Co my mamy ze sobą wspólnego, Booth? Jakoś tego nie zauważyłem... bez obrazy.



- Powinieneś to zauważyć. To takie proste. Jasne jak słońce.

- Tak?

Wyczuł, że Booth wzrusza ramionami.

- Obaj jesteśmy gotowi oddać życie za prezydenta oznajmił Booth.

Horrigan przełknął ślinę i spojrzał na agentów, słuchających w grobowym milczeniu.

„Obaj jesteśmy uczciwymi ludźmi, fachowcami - ciągnął Booth - zdradzonymi przez tych, którym zaufaliśmy.

- Nie pamiętam, żeby ktoś mnie zdradził.

- Jasne, że cię zdradzili, Frank! A co z cholerną Komisją Warrena? Określili wasze metody jako „wysoco wadliwe”. A przecież nie o to chodziło.

Ostrze bólu przeszło czaszkę Horrigan. Lilly znowu patrzyła na niego ze współczuciem, a Sam miał smutną minę. Horrigan odwrócił wzrok i wzbil spojrzenie w białe biurko, słuchając bredni tego szaleńca.

- Skrytykowali ciebie i innych agentów - mówił Booth z przedziwną mieszaniną sympatii i pogardy - za picie alkoholu poprzedniej nocy. Jakby Kennedy dzisiaj żył gdyby Frank Horrigan grzecznie poszedł spać o dziesiątej! To po prostu śmieszne.

- Może mieli rację - wtrącił Horrigan, wcale nie żartując.

- Nie, nie, Frank... to nonsens. Chciałeś, żeby limuzynę nakryto kuloodporną kopułą. Błagałeś swojego przyjaciela: „Jack, Jack”... słyszę twój głos... „Jack, pozwól agentom stanąć na zderzakach i stopniach twojej cholernej limuzyny!” Ale nie. On był politykiem, nasz przystojny jasnowłosy chłopiec.

Horrigan zmierzył ostrym spojrzeniem Carduccię zajętego instrumentami i uniósł brwi, jakby pytał: „Jeszcze nie namierzylście tego skurwysyna?” Carducci, ze słuchawkami na uszach, kiwnął uspokajająco głową, jakby odpowiadał: „Już niedługo, już niedługo”.

- Nie pozwolił ci zrobić tego, co należało, twój przyjaciel Jack. Powinien był wiedzieć. Wiedział, że nie był specjalnie lubiany w Teksasie. Wiedział, że co najmniej pół tuzina ugrupowań życzyło sobie jego śmierci. Wiesz, co ja myślę, Frank?

- Co myślisz, Booth? - zapytał niechętnie.

- Myślę, że on chciał umrzeć. Myślę, że chciał zginąć jak jego starszy brat Joe, który poległ bohaterską śmiercią. Joe był ulubieńcem starego, prawda? Myślę, że Jack wcale się nie przejmował tym, że jego śmierć zrujnuje ci życie... że wywoła zamieszki w całym kraju. Nie. Był samolubnym draniem. Obchodziła go tylko własna sława i

chwała. A co ty myślisz, Frank? Hmm?

Serce Horriganana łomotało, jakby chciało wyrwać się piersi. Przypomniał sobie złośliwą uwagę Sargenta że Booth trafił go we wrażliwe miejsce. Sargent miał rację. Horrigan musiał zapanować nad sobą.

No cóż, masz prawo do własnych opinii, Booth - powiedział i rzucił mordercze spojrzenie Carducciemu, który pomachał ręką i wymówił bezgłośnie: „Jeszcze chwilę”.

Lilly obgryzała paznokiec, oczy miała wilgotne.

To nie są opinie, to są fakty, Frank. Zostałeś zdradzony i ja też zostałem zdradzony. - A ciebie kto zdradził? Horrigan usłyszał, jak Carducci mówi bardzo cicho do Okury: - On chyba tego nie zakodował...

Miękki głos Bootha wciąż sączył się Horriganowi w ucho: - Częściowo ci sami ludzie, Frank. Częściowo ci sami ludzie, którzy zdradzili ciebie... zdradzili również mnie. To także nas łączy. Ale wiesz co, Frank? Ja się nie wściekam... ja wyrównuję rachunki.

- Wyrównujesz rachunki?

- Tak, będę miał swój dzień sławy. Pytanie tylko, czy ty będziesz miał swój dzień?

- Czemu myślisz, że mi na tym zależy, Booth?

- Wiesz, co ja myślę? - Cmoknął ze współczuciem. Myślę, że czeka cię jeszcze dużo emocjonalnego cierpienia...

Horrigan zacisnął dłoń na słuchawce. Słumionym głosem warknął do Carducciego: - Jak długo jeszcze mam wysłuchiwać tego gówna? Carducciemu zabłyśły oczy.

Jezu! - wybuchnął. Potem ściszym głosem oznajmił - On jest po drugiej stronie ulicy! Park Lafayette'a! Zatrzymaj go!

Hala ożywiła się; Campagna wisiał na telefonie, wydając szeptem rozkazy, agenci nakładali płaszcze, chwyтали za broń.

- Booth? - zapytał Horrigan.

Odpowiedziało mu brzęczenie sygnału, równie szydercze jak miękki głos Bootha.

Horrigan rzucił słuchawkę na biurko i skoczył do drzwi, przepychając się przed resztą agentów. Kroki załomotały na marmurowych schodach i rozległy się echem w zabytkowym korytarzu. Horrigan, wyprzedzając D'Andree, Lilly i dwóch innych agentów, przemknął przez hol jak burza i o mało nie przewrócił jakiejś starszawej oszołomionej sekretarki.

Z rewolwerem w rękę, trzymanym lufą do góry, Horrigan zbiegł po granitowych

stopniach SBZ. Pozostali agenci następowali mu na pięty. Na dole pięciu umundurowanych agentów Tajnej Służby przyłączyło się do pościgu. Chłodne jesienne powietrze smakowało wspaniale, niczym orzeźwiający łyk wody; z bijącym sercem Horrigan przeczuwał już smak zwycięstwa - teraz dopadnie tego drania!

Grupa agentów, z Horriganem utrzymującym prowadzenie, wbiegła na Pennsylvania Avenue. Jeden z mundurowych zamienił się w policjanta kierującego ruchem, chociaż bez gwizdka; samochody hamowały z piskiem opon, a kierowcy wyrzaskiwali przekleństwa.

Ale kiedy Horrigan wbiegł do parku, nie zobaczył nikogo podejrzanego, żadnych uciekających osobników, tylko zwykłą mieszaninę obdartych bezdomnych włóczęgów i urzędników w garniturach, którzy wyszli na spacer ze Starego Biurowca Zarządu lub innego rządowego budynku. Nagle Horrigan ogarnęło wyczerpanie. Zwolnił i próbował złapać oddech; mimo chłodu pot zalewał mu oczy. Otarł czoło i rozejrzał się uważnie. Pozostali agenci pobiegli do budki telefonicznej na drugim końcu parku i zapieczętowali ją, chociaż nie wiadomo po co: porzucona słuchawka kołysała się na sznurze.

Lilly i inni rozpoczęli beznadziejne przesłuchiwanie bezdomnych świadków, a Horrigan przeszedł przez spokojny park. Minął pomnik Andrew Jacksona na koniu stojącym dęba, wywijającego wojskowym kapeluszem niczym aktor Roy Rogers, obok wycelowanej armaty.

On wciąż tutaj jest, pomyślał Horrigan. Czuję tego skurwysyna...

Powoli przesunął spojrzenie tam i z powrotem, szukał, szukał, aż wreszcie zatrzymał wzrok na mężczyźnie, który stał po drugiej stronie ulicy H, naprzeciwko parku. Następny bezdomny włóczęga? Facet był brudny i obdarty, typowy hipis z długimi blond włosami, w wyblakłej drelichowej kurtce, podartych dżinsach, tenisówkach i własnoręcznie ufarbowanym podkoszulku.

Horrigan zmarszczył brwi. Ten facet wyglądał trochę za bardzo po hipisowsku...

Współczesny hipis spojrzał na Horrigan, który zmierzył go zabójczym wzrokiem.

Hipis zdrętwiał. Gapił się na Horrigan przez dłuższą chwilę, potem oblizął wargi, odwrócił się i pospiesznie skreślił za róg, na Szesnąstą Ulicę.

Horrigan ruszył za nim, nie biegiem, tylko szybkim krokiem. Hipis obejrzał się, zobaczył Horrigan i przyspieszył tempo.

- Teraz cię mam - powiedział do siebie Horrigan, uśmiechając się z zaciśniętymi ustami. - Teraz cię mam.

Biegając, krzyknął do tamtych: - To nasz człowiek!

Inni agenci rozpoczęli pościg, ale Horrigan znacznie ich wyprzedził, czerpiąc energię nie wiadomo skąd. Hipis, który był Boothem, powiewając blond peruką wpadł w boczną ulicę. Nadjeżdżająca taksówka zatrafiła ostro i próbowała zahamować, ale nie zdążyła.

Horrigan miał nadzieję, że taksówkarz nie za mocno potrącił Bootha... na razie wolał, żeby ten gnojek pozostał przy życiu... ale samochód ledwie go szturchnął, Booth przetoczył się po masce i poleciał głową naprzód na chodnik, gdzie przechodnie rozstąpili się przed nim niczym kręgle trafione kulą.

Potem Booth skoczył z powrotem na jezdnię, lawirując pomiędzy samochodami, które zwolniły na światłach. Horrigan najpierw go widział, potem przestał go widzieć; nie mógł złapać tchu, kłuło go w piersiach. Był wypompowany, po prostu wypompowany, kurwa!

Ale zanim dogonili go inni agenci, jeszcze raz zobaczył Bootha, przelotnie dostrzegł swoją ofiarę, kiedy Booth skręcał w ulicę i zatrzymał się, żeby złapać oddech i sprawdzić, jak blisko jest prześladowca; i widział, jak Booth oparł dłoń na masce forda escorta, który zatrzymał się na światłach.

A potem Booth zniknął.

Horrigan, przeklinając swoje pięćdziesiąt lat, łapczywie wciągał powietrze i zastanawiał się, czy tym razem też ktoś wezwie pogotowie. Stał na środku jezdni z wyciągniętą bronią, jakby rzucał wyzwanie samochodom.

- Nie dam rady - zasapał. - Nie dam rady, kurwa...

Ale samochód, którego Booth dotknął, na którym położył swoją cholerną łapę, właśnie nadjeżdżał. Horrigan wyprostował się, wycelował broń w kierowcę, wolną ręką wyszarpnął z kieszeni odznakę i wrzasnął: - Tajna Służba! Stać!

Kierowca zahamował z piskiem opon, a wyczerpany Horrigan oparł się o szybę po stronie kierowcy niczym jakiś zwariowany kelner w samochodowym barze i wydyszał: - Konfiskuję pański pojazd. Zjawił się D'Andrea.

- Booth położył rękę na masce tego samochodu! - krzyknął Horrigan do swojego partnera. - Niech nikt go nie dotyka, kurwa!

Kierowca, facet około trzydziestki z okrągłą twarzą, w koszuli i rozluźnionym krawacie, zaprotestował: - Konfiskujecie mój wóz? Za pięć nędznych mandatów?

Horrigan prawie się roześmiał, ale powstrzymał się z obawy, żeby nie splunąć krwią. Odłożył broń i odznakę, pochylił się i oparł dłonie na kolanach, podczas gdy

umundurowani agenci otaczali pojazd, od którego zależało życie prezydenta.  
Przynajmniej Horrigan szczerze w to wierzył.

## 12.

Horrigan wyglądał w goglach jak przybysz z kosmosu. Razem z D'Andrea przyglądali się, jak technicy od daktyloskopii robią cuda promieniem lasera na masce skonfiskowanego samochodu w garażu Tajnej Służby. Przez bursztynowe soczewki Horrigan ujrzał niebiańską wizję...

Świetlisty odcisk dłoni, pięć pięknych, niemal doskonałych odcisków palców, wywołanych z nicości przez warstewkę czerwonopomarańczowego proszku, zmieniał barwy pod wpływem bombardowania różnymi długościami światła.

Horrigan uśmiechnął się.

- Doskonale - stwierdził.

Tego wieczoru w centrum komputerowym w budynku J. Edgara Hoovera, gmachu równie sztywnym i ponurym jak człowiek, którego imieniem go nazwano, technik z FBI siedział przed bursztynowym monitorem komputera w pokoju pełnym takich samych techników i takich samych monitorów. O tej porze jednak tylko co czwarte biurko było zajęte. Nocna zmiana nie pracowała w tak gorączkowym tempie jak dzienna.

Na ekranie komputera pojawił się dziesięciokrotnie powiększony odcisk palca wskazującego prawej dłoni, opatrzone napisem: „Odcisk palca. Próbką #337 - 04B”.

Technik, młody, wąty okularnik o piaskowych włosach, w białej koszuli z czarnym krawatem i bez marynarki, wczytywał najważniejsze informacje z karty danych sprawnie, ale bez szczególnego entuzjazmu. Nie miał pojęcia o pochodzeniu odcisku, który opracowywał.

Podczas gdy komputer odprawiał swoje czary, technik otworzył na zaznaczonej stronie tani dreszczowiec pod tytułem „Zagrożenie w D.C.” i wrócił do czytania. Nie słuchał brzęczenia maszyny, która błyskawicznie nakładała na odcisk tysiące innych odcisków palców i szukała podobieństw.

Kiedy po czterech minutach i kilku sekundach duplikat został dopasowany, zaczytany technik początkowo nic nie zauważył; wkrótce jednak na monitorze zaczęły błyskać słowa: „TAJNE - ZAWIADOMIĆ C - 12”.

Migotanie ekranu przyciągnęło uwagę technika. Usiadł prosto i przeczytał wiadomość, która go zdumiała, ponieważ przez cały rok pracy na tym stanowisku jeszcze nigdy nie otrzymał podobnego polecenia.

- Hej, Chris! - zawołał do kierownika. - Coś tu jest dziwnego. Wiesz, co to znaczy?

Kierownik, ciemnowłosa, starszy, mocniej zbudowany typ okularnika, podszedł z pośpiechem. Spojrzał na ekran i zbladł, zupełnie jak lekarz oglądający własne katastrofalne zdjęcie rentgenowskie. - Co się stało? - zapytał młodszy technik.

- Nic. Naciśnij „abort”.

- Skasować?

- Słyszaleś.

Technik wzruszył ramionami i zrobił, co mu kazano. Kierownik wziął kartę danych z jego biurka, przedarł ją na czworo i wrzucił do kosza na śmieci.

W poczekalni FBI Horrigan chodził tam i z powrotem niczym przyszły ojciec. D'Andrea przeglądał magazyn „People” sprzed sześciu miesięcy, gdzie natrafił na artykuł o gwiazdorze pop, którego zupełnie nie pamiętał.

Krępy, ciemnowłosa kierownik pojawił się w drzwiach, westchnął i potrząsnął głową.

- Przykro mi, panie Horrigan - powiedział z wymuszonym uśmiechem. - Obawiam się, że nic nie znaleźliśmy.

Oczy Horrigan zwięzły się w szparki.

- Jest pan pewien?

Kierownik wykonał zamaszty gest.

- Porównaliśmy ten odcisk ze wszystkim, co mamy... a mamy wszystko. Bardzo mi przykro.

- Kurwa - powiedział Horrigan.

- Właśnie - zgodził się kierownik, wzruszył ramionami i zniknął.

- Co za cholerny, parszywy pech - oświadczył D'Andrea, rzucając magazyn na podłogę.

Horrigan ruszył już do wyjścia. Zgarbiony, z rękami w kieszeniach, szedł szybko korytarzem niczym młodociany chuligan szukający, co by tu kopnąć - najlepiej kota. D'Andrea dogonił go nie bez trudu.

- To wyklucza weteranów, pracowników rządowych, każdego z kryminalną przeszłością...

- Nie żartuj.

- Więc dokąd to nas prowadzi?

- Donikąd.

D'Andrea potrząsnął głową.

- Myślałem, że go mamy.

- Ja go miałem. Zgubiłem go. - Horrigan trzasnął pięścią w otwartą dłoń. - Zgubiłem go, kurwa.

- Frank...

Horrigan przystanął z westchnieniem. Podniósł głowę i rozejrzał się niczym skaut wypatrujący Indian, ale korytarz FBI był pusty.

- Jutro wyjeżdżam z prezydentem.

- Boże. Życzę szczęścia.

- Obawiam się, że to prezydent potrzebuje szczęścia.

- Gównno. On tam będzie, prawda? Booth.

- Owszem, będzie.

- A ty musisz go powstrzymać. Horrigan skrzywił się.

- Tak, racja. W każdym razie sprawdzaj go dalej.

- To znaczy Bootha? - D'Andrea wytrzeszczył oczy. Ale co mam robić, do cholery?

- Skąd mam wiedzieć, do cholery? Jesteś dorosły. Jesteś detektywem, kurwa. Za to ci płacą. Więc prowadź śledztwo.

Potrząsając beznadziejnie głową, D'Andrea otworzył drzwi i obaj wyszli w noc, cichą i zimną. Horrigan znowu przyspieszył kroku.

- Wiesz co, partnerze? - zawołał za nim D'Andrea. Jesteś upierdliwy jak wrzód na dupie, kiedy coś ci nie wychodzi.

- Zostałeś ostrzeżony - odparł Horrigan i ruszył w stronę najbliższego przystanku autobusowego.

Leary wyglądał w goglach jak przybysz z kosmosu. Następnego dnia znowu pracował przy warsztacie w swoim obskurnym mieszkaniu w suterenie. Przenośny kombajn CD odtwarzał cichutko album „Sgt Pepper”.

Oprócz ochronnych gogli Leary nosił maskę przeciwko organicznym wyziewom, ciężki gumowany fartuch i ochronne azbestowe rękawice. Kropelki potu występowały na jego łysiejącej czaszce, kiedy ze skupieniem łączył dwa obojętne składniki w metalowym cylindrze. Przygotowanie trującego gazu to była niebezpieczna praca, wytwarzająca dużo ciepła. Ale on wiedział, co robi. Sam przecież opracował formułę swojej syntetycznej żywicy.

Odlewy części broni były gotowe, niezgrabne plastikowe skorupy z żółtobrazowym wnętrzem. Leary nappełnił mieszanką pierwszą skorupę.



Uśmiechnął się pod maską.

- Doskonale - stwierdził.

### 13.

Horrigan, zajmujący stanowisko w korytarzu hotelu „Radisson” w St. Paul, Minnesota, zastanawiał się, ile godzin życia zmarnował na taką nudę. Tygodnie - może miesiące, może nawet rok czy dwa - spędził w pustych hotelowych korytarzach czekając, aż sekundy wydłużą się w minuty, a minuty powoli utworzą godziny. Właśnie dlatego agenci w służbie ochrony prezydenta tak szybko się wypalali: musieli stać w pogotowiu, zachowując najwyższą czujność, przez wiele nudnych godzin.

Jedynym wytchnieniem od tych godzin nudy, jak to kiedyś ujął agent Dennis McCarthy, były „momenty strachu, kiedy jakiś samochód strzelił w gaźnik na trasie przejazdu prezydenta”.

Poprzedni tydzień stanowił mieszaninę ogłupiającej nudy i gorączkowej aktywności, jako że prezydent odwiedził dwanaście stanów Środkowego Zachodu w ciągu zaledwie sześciu dni. Prasa pisała o ”rozpaczliwych próbach nadrobienia zaległości w sercu kraju”, a zegar tykał bezlitośnie, odmierzając ostatnie pięć tygodni przed wyborami.

I od pierwszego ranka w Bazie Sił Powietrznych Andrews, kiedy prezydent, jego żona oraz doradcy weszli na pokład helikoptera Marine One, który miał ich przetransportować do samolotu prezydenckiego Air Force One, Frank Horrigan - a także Lilly Raines - tworzyli część ochronnego kręgu.

W Des Moines w stanie Iowa, w ulewnym deszczu Horrigan - biegnąc obok prezydenckiej limuzyny na trasie przejazdu - pośliznął się i wylądował na tyłku pośrodku Fleur Drive. W Ames w stanie Iowa, wciąż obolały po upadku, stał wśród zebranej publiczności, podczas kiedy prezydent na scenie przemawiał do wiwatującego kontyngentu solidnych Amerykanów. Ale Horrigan nie słuchał tego przemówienia, które słyszał już pół tuzina razy, i nawet nie patrzył na Lilly Raines, stojącą na scenie obok Wielkiego Człowieka - tylko wpatrywał się w tłum wykarmionych kukurydzą farmerów, studentów, biznesmenów, gospodyń domowych, szukając twarzy szaleńca, który przybrał nazwisko Booth.

Słynny sielski krajobraz Iowy ginął w strugach deszczu, ale monotonne równiny Nebraski były aż nazbyt widoczne w upale nietypowym dla tej pory roku, przypominającym raczej lipiec niż październik. Dotrzymanie tempa limuzynie na trasie przejazdu w Omaha stanowiło test wytrzymałości, chociaż znacznie łatwiejszy niż upozowanie wieprzów do fotografii, pokazującej prezydenta z grupą farmerów i

ich nagrodzonych tuczników. Przez trzy następne stany Horrigan miał świńskie łajno na butach.

Podróż przebiegała w tak zwariowanym tempie, że Horrigan nie potrafił zrekonstruować dokładnego następstwa zdarzeń nawet za cenę życia. Czy odwiedzili Pałac Kukurydzy w Mitchell, Dakota Południowa, przed czy po przemówieniu na lotnisku w Fargo, Dakota Północna? Widział sylwetkę prezydenta na tle szybów naftowych, pamiętał, że to było w Oklahoma City, ale czy tego samego dnia co przemówienie pod Gateway Arch w St. Louis? Kto to wie?

Kręciło mu się w głowie na wspomnienie tysięcy twarzy, wśród których wypatrywał niedoszłego mordercy, chociaż przedtem widział go tylko raz, z daleka i w przebraniu. Ale Horrigan czuł - a przynajmniej miał nadzieję że rozpozna Bootha, kiedy znowu go zobaczy.

Zresztą pewnie tylko się łudził. Booth mógł łatwo wmieszać się w hałaśliwą grupkę obrońców środowiska, którzy czekali dzisiaj przed hotelem na Przywódcę Narodu, potrząsając plakatami i wykrzykując gniewne slogany. Widocznie prezydent za mało robił w sprawie efektu cieplarnianego i przegrzania planety. Po tym skwarnym październikowym dniu w Omaha Horrigan skłonny był przyznać rację protestującym.

Kiedy Horrigan i pozostali agenci utworzyli krąg wokół prezydenta, kierując się w stronę wejścia do hotelu „Radisson”, jakiś długowłosego chłopak w kurtce khaki przedarł się przez kordon policji. Booth? Horrigan rąbnął faceta w krocze i kiwnął na drugiego agenta, który dyskretnie zgarnął gościa, zanim jeszcze ucichły jego jęki.

Ale to nie był Booth. Nawet nie protestujący obrońca środowiska - po prostu wyborca, który chciał w ten sposób wyrazić swoje zaufanie do prezydenta. Teraz, stojąc na posterunku w korytarzu hotelu „Radisson” przed apartamentem prezydenta, Horrigan uśmiechnął się na myśl, że może właśnie stracili jeden głos.

Minął go umundurowany agent, prowadząc na smyczy niemieckiego owczarka.

- Wywęszyłeś dzisiaj jakąś bombę, pieseczku? - zagadnął Horrigan.

Pies popatrzył na niego ciekawie, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. Agent o denerwująco młodej twarzy uśmiechnął się półgębkiem i powiedział: - Żadnych bomb. Za to znalazł tacę z brudnymi naczyniami.

- Ja myślę. - Horrigan podrapał psa za uchem. Zostaw dla mnie parę frytek, pieseczku.

Agent i pies poszli dalej. Horrigan spojrzał na zegarek. Już niedługo. Wszystko będzie dobrze, jeśli tylko w hotelowym barze znajdzie się łyk Jamesona i pianino, żeby

sobie pobrzdąkać.

Drzwi Prezydenckiego Apartamentu otworzyły się i wypuściły Lilly. Znowu miała na sobie luźny spodnium, tym razem z zieloną bluzką, rozkosznie wypełnioną z przodu. Rozpuszczone rudoblond włosy muskały jej ramiona. Wyglądała zdumiewająco świeżo, zważywszy na tempo wydarzeń ostatniego tygodnia.

- Agentka Raines - przywitał ją Horrigan.

- Agent Horrigan - powiedziała.

- Czy Pierwsza Dama pytała o mnie?

Lilly oparła się o ścianę ze ślicznym, drwiącym uśmiechem.

- A co, jeszcze ich nie poznałeś?

- Nie.

- Dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Nie lubię przyjaźnić się z ludźmi, których ochraniam.

- Aha. Nie chcesz się do nich przywiązać. Rzucił jej krzywy uśmiech.

- Może boję się odkryć, że nie są warci, żebym za nich nadstawiał karku.

Lilly potrząsnęła głową, jej włosy zalśniły.

- Nie jesteś nawet w połowie taki twardy, jak udajesz, Frank.

Uśmiech Horriganu był wcieloną niewinnością.

- A jaki twardy mam być dla ciebie?

Jej uśmiech zamarł, ich oczy się spotkały.

Odgłos kroków na wyłożonym dywanem korytarzu kazał im odwrócić głowy.

Młody agent szedł w ich stronę, z miną zbyt ożywioną jak na tę porę nocy.

- Mój zmiennik - oznajmił Horrigan. - Niemowlak z bronią i odznaką.

- Rzeczywiście są coraz młodszy - przyznała Lilly.

Wkrótce Horrigan stał się szczęśliwym człowiekiem znalazł mały fortepian w kącie prawie pustego hotelowego westybulu. Nikt nie protestował, kiedy agent usiadł i zaczął płynnie grać: „I Didn't Know What Time It Was”.

Lilly, oparta o fortepian z rozmarzonym uśmiechem, wyglądała bardzo kobieco, wcale nie jak glina. Zrobił na niej wrażenie swoją grą, od razu zauważył. I był zadowolony, bo chciał zrobić na niej wrażenie.

Ale cieszył go również dotyk klawiatury pod palcami. Muzyka stanowiła jego jedyną, najlepszą terapię. Nie można myśleć o drobnych kłopotach, kiedy się gra. Praca przestawała istnieć. Oczywiście muzyka przemawiała do głębszych pokładów duszy, budziła wspomnienia, ale to było w porządku. To było nawet potrzebne.

Potem sfalszował, szybko naprawił błąd i spojrzał na nią, unosząc brew. Tak się kończy, kiedy próbujesz zrobić wrażenie na dziewczynie. Kobiecie. Osobie.

- Grałeś kiedyś dla prezydenta? - zapytała.

- Cholera, ja grałem razem z prezydentem.

- Z Trumanem?

- Cholera, nie jestem aż taki stary!

Roześmiała się swobodnie, tym perlistym śmiechem, który zaczynał kochać. Łyknęła z kieliszka sherry.

- Więc z kim?

- No... razem z Nixonem strasznie katowaliśmy „Moonglow”.

- Słyszałam o nim i o tobie.

- Tak? - Przeszedł na „The More I See You”.

- Słyszałam, że Tricky Dick uważał, że za mało się uśmiechasz.

Horrigan parsknął śmiechem.

- Nieprawda, nieprawda. - Okropnie przedrzeźniając sposób mówienia W. C. Fieldsa, dodał: - Złośliwa plotka, moja droga.

- Więc jak to było?

- Nixon był fajnym kanciarzem... świetnie się rozumieliśmy. To szef sztabu, zakuty łeb, ciągle się mnie czepiał.

- Haldeman?

- H. R. „Bob” we własnej osobie. Sargent trochę go przypomina, bardziej niż trochę. - Patrzył na swoje palce pieszczące klawisze; powróciło wspomnienie, którym się z nią podzielił. - Raz, na wiecu politycznym w Bostonie, Haldeman kazał mi usunąć kilku protestujących. Nie chciał, żeby telewizja ich sfilmowała. Odmówiłem.

- Odmówiłeś?

- Właśnie. Przypomniałem mu o jednej rzeczy.

- O czym?

- Że to wolny kraj. Powiedziałem mu, że tak stoi we wszystkich dokumentach.

Zaśmiała się ciepło.

- Założę się, że potem Bob zatruwał ci życie.

- Od czasu do czasu. - Przeskoczył na „You’d Be So Nice to Come Home To”.

- Więc to Haldeman narzekał, że za mało się uśmiechasz?

- Bingo - powiedział Horrigan. - Jednego dnia mówi do mnie: „Agencie Horrigan...”, zawsze tak rozciągał „r”, „rozkazuję wam częściej się uśmiechać”. Boże. I

jeszcze „rozkazuję”. Więc zrobiłem kamienną twarz.

Zademonstrował swoje nieruchome, zabójcze spojrzenie, a ona zachichotała pochylając głowę, aż rozsypały się jej lśniące włosy rudoblond.

- Potem on mówi: „Agencje, kiedy mówię do was, jestem prezydentem”. A ja na to: „Prezydentem? Dla mnie pan wygląda jak łasica w przyciasnym garniturze, sir”.

Kaskada śmiechu.

- Ładny akcent, to „sir”. Duża klasa, Frank. Uśmiechnął się unosząc brwi.

- Następnego dnia przenieśli mnie do Wydziału Ochrony Zagranicznych Dygnitarzy. Skończyło się tym, że ochraniałem Fidela Castro, kiedy przyjechał do Stanów.

- Au - powiedziała Lilly i zamrugła.

- Właśnie, au. Najbardziej znienawidzony wróg, a ja mam własnym ciałem osłaniać go przed kulami.

- Parszywa robota, ale...

- Wiesz co? Później się dowiedziałem, że CIA próbowała wtedy sprzątnąć Fidela. Kurwa, dlaczego mnie nie poprosili?

Lilly uniosła kieliszek sherry.

- Za biurokrację.

Horrigan uśmiechnął się, zdjął prawą dłoń z klawiatury, sięgnął po szklaneczkę Jamesona i stuknął się z nią. Potem przełknął łagodną irlandzką whisky i zagrał „Fve Grown Accustomed to Her Face”, nadając melodii wesoły synkopowany rytm.

- Frank... dlaczego ty nigdy nie nosisz ciemnych okularów przy pracy? Nawet kiedy biegiesz obok limuzyny, nie osłaniasz oczu od słońca.

- Przyznaję, że słońce czasami mnie razi - powiedział ale w okularach straciłbym swoją tajną broń.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Chcę, żeby te cholerne świry widziały białka moich oczu. Chcę, żeby wiedzieli, że mają do czynienia z kimś równie wrednym i szalonym jak oni.

Przestał grać i przeszył Lilly zabójczym wzrokiem, nastawionym na pełną moc.

- O rany! - powiedziała, cofając się lekko. - Tym można wywiercić dziurę w ścianie.

- Spróbuj sama. Na pewno potrafisz.

- Okay. - Potrząsnęła głową, włosy załśniły. Skupiła się, a potem wbiła w niego zabójcze spojrzenie... i po paru sekundach wybuchnęła śmiechem.

- Nieźle - stwierdził. - Jeszcze nie wywiercisz dziury, ale dojdiesz do tego. Na

razie... używaj okularów.

- Okay, okay... spróbuję jeszcze raz. - Przyglądała włosy, wyprostowała ramiona, odchrząknęła, przygotowała się psychicznie i zmierzyła go nieruchomym, lodowatym wzrokiem. Odpowiedział jej tym samym.

A potem coś się stało.

W wielkich brązowych oczach Lilly lód zamienił się w ogień, najpierw wąty płomyk, potem palący żar. Wargi jej zadrżały, a on przyciągnął jej twarz do swojej i chciał ją pocałować, nagle jednak odwróciła się, jakby zawstydzona.

Horrigan opadł na stołek przy fortepianie.

- Ależ agentko Raines... pani się rumieni? - Pierdol się, Horrigan.

- Właśnie chciałem, ale z tobą.

Zrobiła obrażoną minę, ale nagle wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś okropny.

- Tak mówią. Czego ty się boisz?

Uniosła jedną brew, odepchnęła się od fortepianu i wstała.

- Boję się... popełnić błąd. Wielki błąd. Dobranoc, Frank.

Zabrała torebkę i powoli przeszła przez prawie pusty westybul.

Obejrzyj się, mała, pomyślał. Obejrzyj się na mnie, teraz...

Zerknęła na niego niepewnie, ukradkiem, ale on nie potrzebował nic więcej.

Ruszył za nią przez westybul. Skinęła głową agentowi na służbie i weszła do windy, a on stanął obok niej i czekał, aż drzwi się zamknęły, zanim się odwrócił.

Początkowo myślał, że jej twarz wyraża gniew, ale potem zrozumiał, że to co innego, i przyciągnął ją do siebie. Leciutko próbowała go odepchnąć, potem przymknęła oczy, zatoczyła się jak pijana i powiedziała: „O kurwa”, ale nie była pijana alkoholem, tylko podnieceniem tej chwili, kiedy spleli się w desperackim uścisku i spotkały się ich usta.

Jej wargi pod jego ustami zdawały się cofać, jakby próbowała przestać całować i coś powiedzieć, czego rezultatem był niespokojny pomruk. Odsunął się i zobaczył jej uniesione brwi, kiedy palcem jak lufą broni celowała we wskaźnik piętrowych drzwi.

Na następnym piętrze drzwi rozsunęły się i agenci Bill Watts oraz Matt Wilder, którzy czekali na windę dyskutując nad komputerowym wydrukiem, zobaczyli agentkę Raines stojącą w jednym kącie kabiny i agenta Horrigan w drugim. Oboje wyglądali poprawnie aż do przesady, kiedy wyszli z windy i przywitali się z kolegami.

- Bill - powiedział Horrigan chłodno, lecz uprzejmie. Matt.

Watts, jak zwykle kwaśny, wręczył Lilly wydruk.

- Program na jutro.

- Dzięki - powiedziała, biorąc wydruk. - Dobranoc panom.

I szybko odeszła korytarzem... sama.

Wilder przytrzymał drzwi windy, a Watts podał również Horriganowi kopię wydruku, zanim wszedł do kabiny. Horrigan upewnił się, że obaj widzieli go odchodzącego korytarzem w przeciwnym kierunku, zanim drzwi windy się zamknęły.

Nie musiał pukać. Czekala na niego. Zamknęła za nim drzwi na zasuwkę, zgasila światło i rzuciła mu się w ramiona. Drugi pocałunek był jeszcze głębszy i bardziej wulkaniczny od pierwszego.

Wkrótce podłogę hotelowej sypialni pokryły nieporządnie porzrzucone części stroju i wyposażenia: buty, broń, kajdanki, słuchawki, miniaturowe mikrofony, koszule, dwie kuloodporne kamizelki z kevlaru.

- Nie zapomnij pałki - powiedział jej żartem.

- Nie zapomnij swojej - odparła z łobuzerskim uśmiechem i ugryzła go w ucho, kiedy rozpinął pasek i zrzucił spodnie na podłogę. Ona była już w bieliźnie, więc objął ją delikatniej niż przedtem, ale równie namiętnie, położył ją na łóżku i przycisnął wargi do jej warg. Był zaszokowany i podniecony jej pragnieniem, które zdawało się dorównywać jego żądzy; a potem ona była pod nim i patrzyła na niego czule, a on doznawał uczuć, o których już dawno zapomniał... kiedy zadzwonił cholerny telefon.

Twarz jej się ściągnęła; błysk żalu i czego jeszcze? Przecież nie wstydu...

Stoczył się z niej, a ona usiadła tyłem do niego na brzegu łóżka i podniosła słuchawkę.

- Raines - powiedziała chłodnym, profesjonalnym tonem. Słuchała przez chwilę. Kiwnęła głową. Kiwnęła ponownie. - Jasne. Zaraz będę.

Odłożyła słuchawkę i oznajmiła, wciąż odwrócona plecami: - Podróżnik traci grunt w Wisconsin. W ostatniej chwili dodano dwa spotkania w Milwaukee, na jutro rano.

- Lilly...

- Watts chce mnie widzieć. Zaraz.

Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej ramienia, ale ona odsunęła się, wstała i odwrócona tyłem, zaczęła szybko zbierać swój porzrzucony ekwipunek. Miała trochę kłopotu z oddzieleniem jego rzeczy od swoich, kilka przedmiotów wypadło z tobołka, który niezręcznie niosła do łazienki.



Nie spojrzała na niego ani razu.

Ale zatrzymała się i powiedziała: - Frank... to nie w porządku. To wszystko jest takie skomplikowane. Przepraszam.

Zamknęła się w łazience, a Horrigan usiadł wygodnie, oparł się na poduszce i założył ręce za głowę. Uśmiechnął się do siebie smutno, potrząsnął głową i mruknął: - Tak, Lilly, skomplikowane... ale warte zachodu.

Zerknął na zamknięte drzwi łazienki, wstał z łóżka, ubrał się i uporządkował sprzęt. Wtedy coś zauważył.

Lilly niechętnie zamieniła części wyposażenia. Horrigan zachichotał w duchu. Postanowił poczekać na odpowiednią chwilę, żeby wytknąć jej ten błąd.

Lilly wzięła składaną pałkę Horrigan.

Leary siedział w swojej szczurzej norze w suterenie, na fotelu z przeceny, oglądając wiadomości na przenośnym telewizorze i jedząc spaghetti podgrzane w kuchence mikrofalowej łyżką dodawaną do pojemnika, kiedy reporterka z KCOP ogłosiła turę wyborczą po dwunastu stanach.

Czarna reporterka stała przy autostradzie niedaleko Bazy Sił Powietrznych Andrews, przekrzykując orkiestrę wojskową grającą dziarskiego marsza.

- Biuro wyborcze prezydenta ma nadzieję - niemal wrzeszczała - że kiedy objazd zakończy się wielkim wiecem w McCormick Center w Chicago, sondaże opinii publicznej potwierdzą, iż prezydent odzyskał popularność wśród wyborców na Środkowym Zachodzie.

Leary ucieszył się na widok Franka Horrigana, wchodzącego razem z innymi agentami i pomocnikami na pokład samolotu prezydenckiego Air Force One. Znam go! Znam tego faceta! - pomyślał. Czuł się uczestnikiem tej historycznej chwili - co za wspaniałe, podniecające uczucie - ale jeszcze lepsza jest świadomość własnej doniosłej roli w historii...

Natychmiast zadzwonił do biura podróży i zarezerwował bilet na samolot do Los Angeles bez daty powrotu. „Pewnie po drodze zatrzymam się na Środkowym Zachodzie”, powiedział agentowi. Na kiedy? Oczywiście na najbliższy lot.

Przechodząc przez wykrywacz metali na lotniku Dulles, ubrany w dres i czapkę baseballową Dodgersów, uruchomił alarm. Uśmiechając się przepaszająco, wyjął łańcuszek z kluczami i króliczą łapką na szczęście, po czym spróbował jeszcze raz. Tym razem nie było problemów i otrzymał z powrotem swoje klucze oraz amulet.

W Los Angeles Leary zameldował się w tanim motelu niedaleko lotniska i przybrał osobowość Jamesa Carneya - okulary, garnitur, teczka. Wynajętym buickiem pojechał do podupadłej, głównie hiszpańskiej dzielnicy Los Angeles, gdzie zaparkował przed odrapanym biurowcem.

Wszedł do środka i jego kroki rozbrzmiały echem w marmurowym holu, kiedy mijał szeregi drzwi z drewna i wytłaczanego szkła. Zatrzymał się przed drzwiami oznaczonymi tabliczką: KORPORACJA MICROSPAN. Nucąc melodię Beatlesów, wyjął króliczą łapkę, otworzył drzwi kluczem i potknął się o stos reklamowej poczty, którą wrzucano przez szparę w drzwiach.

Nieduże pomieszczenie wydawało się większe, ponieważ zostało ogołocone ze

wszystkiego poza obtłuczonym biurkiem i drewnianym krzesłem. Światło sączyło się przez poplamione zasłony. Leary nie fatygował się naciskaniem przełącznika - wiedział, że żarówka była przepalona.

Zamknął za sobą drzwi na klucz, pochylił się, zebrał pocztę i zaniósł ją radośnie na biurko, niczym dziecko spodziewające się listu od świętego Mikołaja. Usiadł na krześle i posortował listy. Uśmiechnął się, kiedy znalazł małe brązowe tekturowe pudełko, wysłane z Santa Monica.

Bank Southwest.

Otworzył pudełko i wyjął czeki korporacji Microspan.

- Dziękuję ci, Pam - powiedział miękko. - Byłaś obowiązkowa do samego końca.

Nucąc, wydarł pierwszy czek z nowiutkiej, sztywnej książeczki i wypełnił go na sumę 50 000 \$ - płatnych na rzecz „Kalifornijskiego Funduszu Zwycięstwa”. Z lekkim uśmiechem wyjął kopertę z teczki (biurko było puste) i zaadresował jak wyżej. W kopercie tkwił już list wystukany na maszynie, na papeterii z nadrukiem Korporacji Microspan, przygotowany jeszcze w domu. Zakleił kopertę.

Na międzynarodowym lotnisku w Los Angeles szedł szybko, z podręczną torbą w rękę, znowu ubrany w dres, ale czapczkę Dodgersów zastąpiła czapczka Milwaukee Brewers. Pogwizdując, wrzucił kopertę do skrzynki pocztowej i ruszył do wejścia.

Kółko na klucze z króliczą łapką znowu uruchomiło alarm. Wzruszył ramionami, uśmiechnął się do znużonego urzędnika i rzucił klucze na tacę.

Uwielbiał, kiedy mu zwracano ten amulet szczęścia. Za każdym razem miał ochotę ryczeć ze śmiechu.

Ale milczał.

Następnego dnia w Milwaukee, w ulewnym deszczu, Leary stał na ulicy osłonięty parasolem. Czapczkę Brewersów miał nałożoną porządnie, daszkiem do przodu, nie jak u tych stukniętych rapperów. Wyglądał na szanowanego obywatela. Pomimo fatalnej pogody przed salą zebrań zgromadził się pokaźny tłum; Leary bynajmniej nie był jedyną osobą w czapczce Brewersów.

Policja powstrzymywała tłum, ale Leary znalazł się nie dalej niż piętnaście stóp od Horigana, który stał na deszczu bez parasola, przemoknięty, przyciskając palcem mikrofon w ucho, słuchając ze zmarszczonym czołem, czekając na przyjazd prezydenckiej limuzyny.

- Biedactwo - powiedział cicho do siebie Leary.

Kiedy limuzyna zajęła i prezydent wysiadł, zapanowało kompletne zamieszanie - entuzjastyczne okrzyki tłumu zagłuszały szum deszczu.

- Panie prezydencie!

- Tutaj, panie prezydencie!

- Hej, panie prezydencie, proszę spojrzeć!

Dziennikarze tłoczyli się wokół uśmiechniętego polityka, flesze zapalały się i gasły jak miniaturowe błyskawice, kamerzyści z telewizji z kamerami na ramionach szukali odpowiedniego ujęcia, agenci Tajnej Służby zaś sprawnie otoczyli kordonem prezydenta oraz prasę.

Leary musiał oddać sprawiedliwość Horriganowi i pozostałym agentom: wypełniali swoje obowiązki z profesjonalną biegłością w każdych okolicznościach.

Poczuł przypływ ciepła, pomimo zimnego deszczu. Naprawdę podziwiał Horrigan. Stojąc tak blisko, był niemal przytłoczony siłą swojego uczucia do tego człowieka, której dorównywała jedynie głęboko ukryta nienawiść i pogarda.

Horrigan, jeden z agentów otaczających prezydenta, przeszukiwał tłum wzrokiem. Leary przybrał obojętną minę, ale w środku dygotał jak osika: nadchodziła chwila prawdy, a oczekiwanie było cudowne i straszne... Prawie czuł oczy Horrigan, skupione na jego twarzy niczym promienie lasera.

A potem oczy przesunęły się na następną twarz, i następną.

Po chwili prezydent - a także agent Horrigan i reszta agentów, którzy nie obchodzili Leary'ego - weszli do sali zebrań.

Leary pod parasolem oddalił się od tłumu, który jeszcze nie zaczął się rozchodzić. Był niezwykle zadowolony z siebie, prawie szczęśliwy, chociaż panował nad sobą. Myślał o zalanej deszczem twarzy Horrigan i jego twardych, gniewnych oczach powoli przepatrujących tłum.

Krople deszczu sprawiły, że Horrigan wyglądał, jakby płakał.

Biedactwo, pomyślał Leary. Wkrótce będziesz miał powód do płaczu.

Horrigan czuł się parszywie.

Głowa mu ciążyła, mięśnie go bolały, z nosa mu ciekło. Boeing 747 (nazywany Air Force One, kiedy prezydent przebywał na pokładzie - czyli właśnie teraz) mknął chwiejnie przez sieczone deszczem, rozdierane błyskawicami niebo, a Horrigan nie odrywał wzroku od torebki na wymioty, tkwiącej przed nim w kieszeni fotela pierwszej klasy.

Po drugiej stronie przejścia w zaciemnionej kabinie spał Matt Wilder i kilku innych agentów; wiele miejsc było pustych; gdzieś w samolocie, w centrum komunikacyjnym Tajnej Służby trwała krzątanina, kiedy Bill Watts załatwiał w ostatniej chwili dodatkowe środki bezpieczeństwa na Chicago; a w przestronnej kabinie szefa sztabu Harry'ego Sargenta niewątpliwie przerabiano i poprawiano przemówienie prezydenta, z wiadomym rezultatem, znanym wszystkim aż do mdłości...

Pożałował, że nasunęło mu się to określenie, ponieważ jego żołądek wznosił się i opadał razem z samolotem. Postanowił nie brać więcej lekarstwa na przeziębienie, bo od tego robił się senny, a chciał jeszcze przeczytać raport nadesłany faksem przez D'Andrę, zanim zgasi małą lampkę do czytania i podda się zmęczeniu.

Ale uparte klucie migreny było nie do wytrzymania. Sięgnął do kieszeni fotela po buteleczkę z lekarstwem.

Potem zadzwoni na stewarda Sił Powietrznych, żeby przyniósł mu kawy albo wody do popicia...

Tylko że nie mógł otworzyć tej cholernej buteleczki. Zmagał się z nią, zlany potem, zbyt chory, żeby zrozumieć, jak głupio wyglądał.

Lilly Raines, również trochę blada, z rudoblond włosami powiewającymi w rytm kołysania samolotu, posuwała się niepewnie szerokim przejściem w stronę Horrigan, opierając się o rzędy foteli i próbując nie rozlać swojej kawy.

Uśmiechnęła się kpiąco, ale ze współczuciem, usiadła obok niego, rozłożyła składany stolik i postawiła kawę.

- Wiesz, dlaczego nie możesz tego otworzyć? - zagadnęła, obserwując jego walkę z buteleczką.

- Nie. Dlaczego? - Zgrzytnął zębami. Cholerna zakrętka!

- Bo jest zabezpieczone przed dziećmi. Roześmiał się mimo woli.

- Daj mi to - powiedziała. Otworzyła buteleczkę, wytrząsnęła jedną pigułkę i podsunęła mu swoją kawę.

- Dziękuję - mruknął, połknął pigułkę i popił gorącym czarnym płynem.

Lilly uniosła brew.

- Wyglądasz jak coś, co kot przywlókł ze śmietnika.

- Dzięki za pocieszenie - powiedział.

Zahuczał grzmot i zmywane deszczem szyby zajaśniały stroboskopową białą błyskawicy.

- Co za pogoda - stwierdziła Lilly.

Samolot wpadł w turbulencję, a żołądek Horrigan zleciał kilka tysięcy stóp w dół bez spadochronu. Horrigan miał nadzieję, że utrzyma w sobie tę cholerną pigułkę.

Lilly sięgnęła mu między nogi. Uniósł brwi, a ona burknęła: „Nie wyobrażaj sobie” i wyciągnęła tekturową teczkę podpisaną: „Alias John Wilkes Booth”.

Kiedy wertowała przefaksowane kartki, Horrigan zapytał: - Podróżnik śpi?

Kiwnęła głową, przeglądając zawartość teczek.

- Kiedy lądujemy? - zapytał.

- Za kilka minut. Jedenasta czterdzieści ileś.

- Watts wszystkim dyryguje? Ponownie kiwnęła głową.

- Właśnie zdawałam mu raport. Mamy zabezpieczoną trasę przejazdu. Snajperzy z policji chicagowskiej już zajęli stanowiska. Agenci w hotelu.

- Dobrze. A lista podejrzanych?

- Dwudziestu trzech miejscowych wariatów pod ścisłym nadzorem. Pomaga sekcja śledcza chicagowskiej policji.

- Najbliższy szpital?

- Świętej Anny. Dodatkowe zestawy do transfuzji przygotowane. Znają grupę krwi Podróżnika. Również alternatywna trasa przebiega w pobliżu.

- To dobrze. Watts zrobił dobrą robotę. Lilly podniosła wzrok znad kartek.

- Myślałam, że uważasz naszego nieustraszonego przywódcę za kutasa.

- Nie powiedziałem, że nie jest kutasem. Powiedziałem, że zrobił dobrą robotę.

- Ten profil psychologiczny - oświadczyła, potrząsając cienką teczką „Bootha” - łatwo się czyta.

Horrigan prychnął.

- Doborowy zespół psychologów z Tajnej Służby przeanalizował jego głos i sposób zachowania, po czym doszli do błyskotliwego wniosku, że Booth „może” zagrazać

życiu prezydenta.

Lilly wzruszyła ramionami.

- Eksperci - stwierdziła z lekką ironią.

- No więc - zapytał łagodnie - czy popełniłaś wielki błąd?

To ją zaskoczyło. - He?

- Wtedy w barze... powiedziałaś, że boisz się popełnić błąd. Popełniłaś?

Zamrugła z zakłopotaniem.

- Horrigan, przecież jeszcze nic się nie stało...

- Ale prawie się stało. Dla mnie „wielki błąd” polegał na tym, że to się nie stało.

- Horrigan...

- Frank.

- Frank. - Szukała słów z niemal bolesnym wyrazem twarzy. - My nie pracujemy na giełdzie ani w agencji reklamowej. Nasz zawód... fraternizacja jest po prostu...

- Fraternizacja? - powtórzył spokojnym, żartobliwym tonem, ale był zirytowany i trochę dotknięty. - Czy mieliśmy się „fraternizować”?

Nieznacznie potrząsnęła głową, jej włosy zakołysały się w rytmie wstrząsów samolotu.

- Bądźmy realistami.

Zmrużył oczy i spojrzał na nią taksującym wzrokiem.

- Zobaczymy, czy przez tę gorączkę nie straciłem detektywistycznych zdolności... Kiedyś związałaś się z agentem i to nie wypaliło.

- Nie - zaprzeczyła z zakłopotaniem, ale bez złości, nawet zaśmiała się cichutko. - Chodziło o co innego. On nie był agentem.

- Aha, cywil. Chciał, żebyś rzuciła dla niego swoją niebezpieczną pracę i zaszła w ciążę... jak grzeczna dziewczynka.

- Coś w tym rodzaju.

- Więc cię rzucił. Złamał ci serce. W brązowych oczach odbił się ból.

- Właściwie... to ja go rzuciłam.

- O?

Wzniosła oczy do nieba z szyderczym uśmiechem.

- Rzuciłam go, bo nie chciałam dla niego zrezygnować z pracy. - Westchnęła. - Jesteś cholernym detektywem Horrigan.

- Znam się na ludziach. Za to...

- Za to ci płacą, właśnie. - Przełknęła ślinę, spoglądając pustym wzrokiem w

przeszłość. - Naprawdę miałam złamane serce. Pracowałam... w Sekcji Operacyjnej w St. Louis. On chyba akceptował moją pracę...

- Kim on był?

- Agentem ubezpieczeniowym.

- Bez komentarzy.

Znowu uśmiechnęła się szyderczo.

- Chyba go kochałam. Może tak, może nie. Ale miesiąc po tym, jak dał mi pierścionek zaręczynowy, dostałam przeniesienie. Do Wydziału Ochrony.

- Waszyngton. A on nie chciał jechać z tobą.

- Nie chciał jechać ze mną. Chciał, żebym z nim została i rzuciła pracę.

Kącik ust Horrigana drgnął w uśmiechu.

- Wiesz, gdybyś była mężczyzną, który dostał przeniesienie, i gdyby on był kobietą, pojechałby z tobą.

- Wreszcie ci się udało, Frank.

- Co?

- Wygłosić stosowną seksistowską uwagę. Uśmiechnęli się do siebie ciepło. Bez namiętności, ale na razie Horriganowi wystarczało ciepło.

- Nie mogłaś wystąpić ze służby - oświadczył Horrigan z lekką drwiną.

- Dlaczego?

- Bo kazaliby ci zwrócić broń.

Jej nagły śmiech był nagrodą za jego przenikliwość.

- Czy to nie idiotyzm? Kocham tę cholerną pracę. Napięcie, przyływ adrenaliny... świadomość, że historia powstaje tuż obok mnie. To głupie, nie?

- Nie - odparł cicho, z przekonaniem. - Wcale nie.

Lilly odchyliła się na oparcie fotela, jej spojrzenie powędrowało w ciemność za oknem.

- Wiesz, kiedy biorę urlop, wydaje mi się, że... żyję na zwolnionych obrotach. Nie mogę tego znieść!

- Więc to dlatego.

- Co dlatego?

- Dlatego uważasz mnie za potencjalny „wielki błąd”. Mówił rzeczowym tonem, niemal klinicznym, pozbawionym wszelkich emocji. - Przysięgłaś, że nigdy więcej nie pozwolisz żadnemu mężczyźnie stanąć pomiędzy tobą a tym, co kochasz. A tym, co kochasz, jest twoja kariera.



- Właściwie bardzo dobrze to ująłeś, Frank - przyznała, trochę zdziwiona. - W tym zawodzie żadne z nas nie może ryzykować bliskiego związku. Boję się nawet pomyśleć, że nogi mnie bolą, co dopiero...

- Ale twoja kariera nie jest wszystkim, co kochasz.

- O czym ty mówisz?

- To oczywiste - odparł ze złośliwą miną. - Kochasz także mnie. I dlatego się boisz.

Lilly spojrzała na niego lodowatym wzrokiem, a potem odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła kaskadą śmiechu, który zagłuszył huk pioruna.

- Nie wiem, czy można to nazwać miłością. Zwierzęcy magnetyzm, tak... sympatia, na pewno. Ale miłość?

- Rzucę dla ciebie pracę.

Wytrzeszczyła na niego oczy, jakby ją uderzył.

- Że co?

- Rzucę dla ciebie pracę.

Opanowała się i posłała mu następny szyderczy uśmiech, wyraźnie nie wierząc tej deklaracji.

- Po cholere chcesz to zrobić?

Horrigan wyjrzał w ciemność przez zalaną deszczem szybę.

- Może przysiągłem, że nigdy więcej nie pozwolę, żeby moja kariera stała się pomiędzy mną a kobietą.

Lilly uśmiechnęła się samymi wargami, ale czoło miała zachmurzone.

Z pobliskiego głośnika zaskrzeczał głos Wattsa, jakby chciał udowodnić daremność ich związku: „Za dziesięć minut lądujemy w Chicago”.

- Wiesz, Frank - powiedziała Lilly, dotykając jego ramienia, zmieniając temat i ton głosu - naprawdę wyglądasz jak chory.

- To dlatego, że jestem chory.

- Więc chyba powinieneś poprosić Wattsa, żeby zastąpił cię jutro kimś z Sekcji Operacyjnej w Chicago. Dopóki nie wyleczysz tej grypy.

- Bzdura. Nikt nie ma kwalifikacji.

- Nie bądź głupi. W chicagowskiej sekcji jest pewnie z pół tuzina byłych ochroniarzy. Spójrzmy prawdzie w oczy: przyjdiesz do pracy z gorączką albo nafaszerowany lekarstwami, czyli niezdolny do służby.

- Nawet z gorączką jestem lepszy od połowy agentów w tym kraju! - najeżył się Horrigan.

- Co za wzruszający pokaz koleżeńskiej solidarności. Powinieneś po prostu powiedzieć Wattsowi, że zachorowałeś...

Horrigan przewrócił oczami.

- Och, jaki on będzie zachwycony! Staruszek nie wytrzymał tempa. Słuchaj, Lii... muszę tam być, obok prezydenta. Nie mam wyboru.

- Dlaczego, na litość boską?

- To sprawa osobista. Koniec rozmowy.

- Sprawa osobista pomiędzy tobą a Wattsem?

- Nie! - Sfrustrowany, potrząsnął głową. - Nie. W jakiś sposób, w jakiś zwariowany sposób to jest sprawa osobista pomiędzy mną a Boothem. Muszę tam być. Oczy mu się zwięzły. - On może się ujawnić tylko przede mną.

Lilly nabrała powietrza, jakby chciała odpowiedzieć, ale przeszkodziła jej kolejna błyskawica, która oblała zimnym białym światłem twarz Horrigan.

- Martw się o siebie - dodał Horrigan ciepłym, lecz ostrzegawczym tonem. - Zachowaj czujność. Nie myśl o tym, że bolą cię nogi. Będzie wielki tłum. Bądź ostrożna.

Lilly kiwnęła głową. Szepnęła: - Frank.

- Tak?

- Dzięki za pocieszenie - powiedziała szczerze. Potem ze sztucznym uśmiechem poklepała go po ramieniu, wstała i wyszła z kabiny.

## 16.

Deszcz zacinał ukośnie, wspomagany przez chicagowski wiatr, grożąc przewróceniem Horrigan. Pewnie po prostu był osłabiony; oczy go paliły od gorączki, twarz lodowaciała od deszczu, strumienie wody spływały z włosów, zalewały usta i oczy. Parszywa, zasrana pogoda...

Stał przed wejściem do McCormick Center, gdzie tłum dosłownie ostudzony w swoim zapale - pchał się do drzwi, szukając schronienia przed ulewnym deszczem. Strumień wchodzących powstrzymywały wykrywacze metalu, przez które każdy musiał przejść. Cierpliwość była na wyczerpaniu, padały ostre słowa, jak to w Chicago.

Pomiędzy głowami coraz bardziej zdehumorowanych wyborców Horrigan zobaczył Wildera, również przemoczonego do suchej nitki. Powiedział cicho do mikrofonu wpiętego w mankiet: - Za mokro na zdjęcia. Zabierz Podróżnika na dół.

Wilder kiwnął głową i odszedł, żeby dalej przekazać wiadomość - orszak prezydencki, posuwający się po Lakę Shore Drive, wjedzie podziemnym wejściem, zgodnie z radą Horrigan. Fatalna pogoda całkiem załatwiła środki masowego przekazu; dziennikarze mogli równie dobrze zostać na lotnisku O'Hara i użyć teleskopowej kamery.

Przepychając się przez mokry, rozzłoszczony tłum Horrigan napotkał kolejną grupkę obrońców środowiska. Deszcz nie ugasił ich entuzjazmu, chociaż plakaty im rozmokły, atrament rozpuścił się i hasła straciły czytelność.

Niedaleko obrońców środowiska, nie pchając się jak większość tłumu, stał mężczyzna w ciemnym płaszczu nieprzemakalnym, ciemnych okularach i miękkim filcowym kapeluszu. Facet wyglądał jak karykatura anarchisty z 1930 roku...

Booth? - pomyślał Horrigan.

Oczadziały od gorączki, z mózgiem kipiącym jak wrzątek, uczeplił się obsesyjnie tej szansy i zaczął przepychać się przez tłum. Zachował tyle przytomności umysłu, żeby nie krzyknąć: „Tajna Służba!” - nie chciał spowodować paniki, bo przecież zobaczył tylko kapelusz i ciemne okulary...

Plakat w ręku jednego z protestujących zakołysał się i opadł prosto na głowę Horrigan. Horrigan zrobił unik, pośliznął się na mokrym chodniku, a kiedy odzyskał równowagę, nie widział nigdzie podejrzanego faceta. Wyciągnął szyję, rozpaczliwie przeszukując wzrokiem morze falujących głów, ale kapelusz zniknął.

Deszcz lał jak z cebra. Horrigan starł wodę z twarzy szorstkim rękawem trenca,

ale nie mógł zetrzeć z siebie napięcia.

Nie mógł pozbyć się wrażenia, przeczucia, pewności, która ścisnęła go w gardle.

Booth jest tutaj.

Horrigan szybko przeszedł korytarzem obok umundurowanych agentów oprowadzających na smyczach psy tresowane do wywąchiwania bomb. Wstąpił do toalety, żeby się wytrzeć, ale wilgotne włosy wciąż oblepiały mu czoło i kiedy spojrzął w lustro nad umywalką, stwierdził, że wygląda jak wariat. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Musiał się dostać za kulisy.

Zastał tam po jednej stronie prezydenta z żoną, a po drugiej Watta przeglądającego notatki do przemówienia razem z tym niemiłym buldogowatym szefem sztabu, Sargentem. Otaczali ich szerokim kręgiem specjaliści agencji, łącznie z Lilly Raines i Mattem Wilderem. Powietrze wypełniał stłumiony, lecz niemal ogłuszający głos jakiegoś miejscowego polityka, wygłaszającego zapowiedź na scenie.

Watt na widok Horriganego zmarszczył brwi, oderwał się od grupki otaczającej prezydenta i podszedł szybkim krokiem. Lilly ruszyła za nim z zatroskaną miną.

- Spóźniłeś się, Horrigan - powiedział szorstko Watt. Koncert to ja, pomyślał Horrigan, ale zmilczał.

- Twoje miejsce jest po prawej stronie sceny - dodał Watt.

- Proszę o chwilę rozmowy - powiedział Horrigan.

- Ale tylko chwilę.

- Myślę, że... Booth jest tutaj.

Watt wyprostował się gwałtownie, oczy mu zabłysły.

- Widziałeś go? Potrafisz go rozpoznać? Myślałem, że podczas pościgu nie zbliżyłeś się do niego na tyle, żeby go zidentyfikować!

- Nie... nie potrafię. Ale myślę, że on tu jest.

- Myślisz?

- Mam przeczucie.

- To mi nie wystarczy - Watt westchnął ciężko i fałszywie. - Z całym szacunkiem dla twojego stułetniego doświadczenia, a także nadzwyczajnych zdolności psychicznych, mamy tutaj siedemdziesięciu pięciu agentów, dwustu chicagowskich gliniarzy i kuloodporne podium. Horrigan przełknął ślinę, oczy go zapiekły.

- Ja tylko mówię, że on tu jest.

- Jeśli pozwolisz - syknął jadowicie Watt - będziemy się trzymać ustalonego

programu.

Nadęty urzędnik wrócił dumnym krokiem do prezydenta, Lilly jednak została. Spojrzała na Horrigan z zatroskaną miną.

- Masz krople potu czy deszczu na czole? - zapytała. Horrigan znalazł chustkę w kieszeni i wytarł twarz. - Co za różnica?

- Owszem, jest różnica. - Dotknęła chłodną dłonią jego rozpalonej głowy. - Masz straszną gorączkę! Frank...

- Ludzie! - krzyknął Watts.

Pozostali agenci zaczęli wchodzić na scenę. Lilly chciała coś powiedzieć, jej szeroko otwarte oczy wyrażały zwątpienie. Horrigan ścisnął ją za ramię.

- Bądź w pogotowiu.

Wkrótce Horrigan zajął stanowisko przed frontem sceny, pośród innych agentów. - Następni agenci stali pod ścianami wokół całej sali. Zdaniem Wattsa stanowili wystarczającą ochronę - Horrigan jednak wiedział, że była ich zaledwie garstka w porównaniu z masą cywilnych ciał wypełniających budynek.

Publiczność już wyszła i entuzjazm zapłonął z nową siłą, chociaż za pożywkę miał na razie jedynie nudne przemówienie miejscowego politykiera, produkującego się na scenie; widzowie ochoczo wypełniali każdą brzemiennej pauzę wiwatami i oklaskami.

Wreszcie głos spoza sceny zagrzmiął: - Panie i panowie... prezydent Stanów Zjednoczonych! A orkiestra wojskowa - z taśmy puszczonej przez system nagłaśniający - zagrała hucznie „Chwała dowódcy”.

Carter nie pozwoliłby tego grać, zauważył bezsensownie otumaniony gorączką Horrigan. Zbyt pompatyczne jak na przywódcę ludu...

Tłum zerwał się na równe nogi, wrzeszczał, gwizdał, tupał; hałaśliwe owacje zmieszane z grzmotem orkiestry tworzyły ogłuszającą kakofonię. Horrigan czuł łomotanie w głowie, oczy go paliły...

Flesze zaczęły trzaskać i błyskać, trzaskać i błyskać jak miniaturowe pioruny, przypominając Horriganowi niedawny lot przez burzę. Punktowy reflektor z wysoka oświetlił prezydenta, wkraczającego na scenę wraz z Pierwszą Damą. Oślepiiony Horrigan na chwilę odwrócił wzrok, czarne plamki pływały mu przed oczami.

Prezydent i Pierwsza Dama zajęli miejsca na podium. Za nimi stanął Harry Sargent oraz agenci Watts, Wilder i Raines.

Tłum wciąż wiwatował na stojąco. Horrigan z wysiłkiem skupił wzrok, mrugając w błyskach fleszów.

Ten uśmiechnięty facet, w koszulce Cubsów, czy on trzyma broń?!

Nie.

Aparat fotograficzny. Zwykły aparat fotograficzny.

Dlaczego ta gruba, nadąsana baba nie wiwatuje? Po jaką cholere przyszła na wiec, skoro nie zamierza popierać prezydenta?

Twarze pływały mu przed oczami, każda wyglądała coraz bardziej groteskowo; nawet zadowolone twarze wydawały się kłamać, wydawały się ukrywać przemoc. Nad tłumem kołysały się balony, czerwone, białe i niebieskie, niczym odcięte głowy, kręciły się, podrygiwały, niektóre uwalniały się i wzlatywały pod sufit. Gdzie jesteś, Booth?

Dlaczego ta chuda kobiecina sięga do torebki? Ma wściekłą minę!

Po chusteczkę. Tylko wytarła nos...

Tam przy reflektorze, czy to lufa strzelby?!

Nie. Kierunkowy mikrofon. Tylko kierunkowy mikrofon...

Ale co robi ten facet obok niego? To jest aparat fotograficzny, prawda?

Tak, aparat fotograficzny...

Horrigan zamrugał, przełknął ślinę i próbował odzyskać panowanie nad sobą, a potem usłyszał ostre „pop”!

Na odgłos strzału wskoczył prosto na scenę, rozbijając sobie kolana. Przetoczył się i podniósł na nogi z bronią w ręku, ignorując ból. Agenci na scenie - Watts, Lilly, Wilder i inni - skupili się wokół przerazonego prezydenta oraz Pierwszej Damy, tworząc żywy mur.

Radosne okrzyki ucichły, zastąpione przez chóralne westchnienie.

Za plecami agentów osłaniających prezydenta czołgał się Harry Sargent, ogarnięty paniką, na czworakach, podobny do buldoga, z dzikim spojrzeniem, uciekając od kuloodpornego podium.

Horrigan stał pośrodku sceny, mając podium za plecami, z bronią w ręku, przodem do tłumu, a pot spływał mu po twarzy jak ciepły deszcz. Wpatrywał się w zamarłe audytorium - on przeciwko nim wszystkim - wbijał w nich zabójczy wzrok i szukał, szukał, szukał jednej cholernej twarzy... tylko wystrzel jeszcze raz, Booth, strzelisz jeszcze raz i już cię mamy...

Czerwony balon dryfujący ku sufitowi nagle pękł.

Horrigan podskoczył.

Ale rozpoznał ten dźwięk i od razu zrozumiał, że zaszła pomyłka.

Podobnie jak wszyscy inni na scenie.

Obejrzał się na prezydenta, ale zobaczył tylko Billa Wattsa, mierzącego go pogardliwym wzrokiem. Horrigan nieznacznie wzruszył ramionami i przemówił do mikrofonu w mankiecie: „Wszędzie czysto”.

Zanim zeskoczył ze sceny, Harry Sargent - ze spoconą twarzą purpurową z wściekłości, z oczami zwężonymi ze wstydu - posłał mu mordercze spojrzenie. Przypadkowy przeciwnik właśnie zmienił się w zażartego wroga.

Pozostali odetchnęli z ulgą. Agenci na scenie rozluźnili kordon wokół prezydenta i wrócili na poprzednie stanowiska. Prezydent z wdziękiem wybrnął z niezręcznej sytuacji - objął ramieniem Pierwszą Damę i zamachał entuzjastycznie do tłumu, przy czym oboje mieli tyle przytomności umysłu, żeby przywołać na twarze promienne uśmiechy.

Audytorium, wciąż na nogach, ponownie oszalało z radości, okrzyki wznoszono z jeszcze większym zapalem, gwizdy brzmiały ogłuszająco.

Lecz Horrigan słyszał tylko bicie własnego serca. Widział współczującą, pełną litości twarz Lilly, chociaż szybko odwrócił wzrok. Czuł, że jest wstrząśnięty do głębi.

Natomiast nie widział, nie słyszał i nie wyczuwał obecności Mitcha Leary'ego - „Bootha” - który siedział daleko w tłumie, z lekkim, ironicznym uśmiechem na ustach, bez żadnego przebrania oprócz czapeczki Soxów (bynajmniej nie w kapeluszu i ciemnych okularach), oglądając przedstawienie przez lornetkę, podziwiając klęskę Horriganą, napawając się hańbą i upadkiem Horriganą.

- Biedactwo - szepnął Leary.

Ale nikt go nie usłyszał w wiwatującym tłumie.

Kilka godzin później centrala łączności Tajnej Służby w hotelu „Drakę” w Chicago przeobraziła się z powrotem w pokój hotelowy.

Rozmaici agenci - młodziki o dziecinnych twarzach, zauważył Horrigan - rozmontowywali przenośny zestaw i układali części w wyściełanych, odpornych na zgniatanie lotniczych walizkach.

Pośród tego uporządkowanego chaosu siedział w fotelu Horrigan, niespokojnie czekając na egzekucję.

Kipiący zimną furią Watts - w asyście przygnębionych agentów Matta Wildera i Lilly Raines - właśnie poinformował Horrigan, że szef sztabu Białego Domu, Harry Sargent, jest w drodze.

- Nie stawiaj się - ostrzegł Watts, grożąc mu palcem. Zrozumiano?

Horrigan czuł się parszywiej na jego czole można było smażyć jajka, chociaż on sam nie mógłby nic przełknąć.

- Nie mam dziesięciu lat - wydusił z siebie.

- Staraj się o tym pamiętać - warknął Watts. Sargent wtoczył się do pokoju z rozwianym krawatem.

Nie przejmował się ceremonią powitania; ruszył prosto do Horrigan i zaczął od razu: - Czy ty masz pojęcie, ile cholernych głosów dzisiaj nam odebrałeś?

- Nie.

Sargent podniósł ręce do nieba, podczas gdy Horrigan starał się zwalczyć mdłości.

- Prezydent wyszedł dzisiaj na zasranego tchórza ciskał się Sargent - i to w krajowej telewizji!

- Myślałem, że prezydent nieźle się spisał.

- Tak jak ty, co?

- Lepiej od niektórych.

Sargent pochylił się do przodu; oczy miał nabiegłe krwią, worki pod oczami czarne ze zmęczenia. Wyglądał tak, jak Horrigan się czuł.

- Co chcesz przez to powiedzieć, agencie Horrigan?

- Co chcę przez to powiedzieć?

Lilly zamrugła i dotknęła dłonią czoła.

- No - zaczął Horrigan - chcę powiedzieć, że to pan wyszedł na zasranego tchórza. Sir.



Sargent krążył wokół fotela Horriganana jak głodny lew; parsknął, obnażył zęby.

- Myślisz, że taki cwaniak z ciebie, Horrigan? Taki twardziel? Myślisz, że to jakiś cholernie śmieszny dowcip?

- Nie, nie myślę, że to jakiś cholerny dowcip. - Horrigan podniósł się i stanął twarzą w twarz z tym draniem... dostatecznie blisko, miał nadzieję, żeby zarazić go grypą. To pan jest śmieszny, ponieważ pan nie ma bladego pojęcia, co musimy robić, żeby utrzymać pańskiego szefa przy życiu.

Z odległości kilku cali Horrigan przeszył przeciwnika zabójczym wzrokiem nastawionym na pełną moc, a Sargent od razu zaczął mięknąć; jego tchórzostwo dawało o sobie znać.

Watts przerwał ten pojedynek spojrzeń, odciągając Horriganana.

- Wystarczy. Wystarczy! Zrozumiano?

Sargent spiorunował Wattsa wściekłym wzrokiem.

- Trzymajcie tego wariata z dala od prezydenta i z dala od Białego Domu.

Wycelował tłustym palcem w Horriganana, który wciąż na niego patrzył.

- I lepiej trzymajcie go z dala ode mnie, do cholery! Półprzytomny z gorączki Horrigan roześmiał się, ale to zabrzmiało jak kaszel.

- Spróbuj sobie wyobrazić, że mnie nastraszyłeś, Harry. Sargent, tracąc panowanie nad sobą, zamachał tłustym palcem.

- Jeszcze raz powiesz do mnie „Harry” i będziesz łapał fałszerzy w jakiejś zasranej dziurze na Alasce!

Wypadł z pokoju zionąc ogniem, a po drodze o mało nie przewrócił młodego agenta, dźwigającego pudło ze sprzętem.

- Czyś ty zwariował? - zapytał Watts z niedowierzaniem. - Nie możesz tak się odzywać do szefa sztabu Białego Domu!

- Nie pracuję dla niego.

- Tak... pracujesz dla mnie. A raczej pracowałeś dla mnie. Jesteś zwolniony z obowiązków. - Spojrzał na zegarek i powiedział do reszty: - Za dwie minuty na dole. Wyjeżdżamy.

Watts wyszedł, a za nim reszta młodych agentów niosących sprzęt. Matt Wilder westchnął. Lilly stała z założonymi rękami i wzrokiem wbitym w podłogę.

Horrigan opadł z powrotem na fotel. Bolały go wszystkie mięśnie i kości.

- Trzymaj - powiedział Matt i wręczył Horriganowi dwadzieścia dolarów.

- Dlaczego? - zapytał Horrigan, z trudem skupiając wzrok na banknocie.

- Ostatnia okazja, żeby spłacić dług. - Matt uśmiechnął się ciepło i poklepał Horriganą po ramieniu. - Nieważne, co oni wygadują... dobrze było znowu z tobą pracować. Nie przejmuj się, stary.

Horrigan uśmiechnął się krzywo i kiwnął głową.

Potem Matt wyszedł i zostali tylko we dwoje w wielkim, pustym hotelowym pokoju.

Lilly stanęła przed nim z głową przechyloną na ramię i przyglądała mu się, jednocześnie współczująca i zirytowana.

- Wiesz co - powiedziała - gdybyś miał trochę więcej wdzięku...

- To nie moja specjalność.

- Wystarczyło tylko przyznać, że to był nieszczęśliwy zbieg...

Horrigan przerwał jej ostro.

- Wykonywałem swoją pracę. Nie przepraszam za swoją pracę.

To ją dotknęło, widział to w jej oczach, ale nie mógł cofnąć swoich słów... i wcale nie chciał.

- Nie kazałam ci przepraszać - powiedziała Lilly. Ale prezydent został upokorzony...

- Ale jeszcze żyje, no nie?

- Ale my powinniśmy także ochraniać jego godność.

- Gdzie to jest napisane? Gównu mnie obchodzi jego godność. Płacą mi, żebym ratował jego dupę.

W jej oczach zabłysło rozbawienie.

- A pamiętasz, jak jedna panienka Jacka Kennedy'ego została przyłapana w Białym Domu po godzinach... a ty powiedziałeś, że to twoja przyjaciółka?

Horrigan odwrócił wzrok.

- Nie powinnaś wierzyć w każdą plotkę, jaką usłyszysz.

- Niektóre wydają się prawdziwe. Frank... twój kumpel Matt opowiedział mi całą historię. Jak zawiesili cię na miesiąc bez wypłaty. Według mnie broniłeś godności tamtego prezydenta.

- To było co innego.

- Dlaczego?

- On był moim przyjacielem. Był inny.

Uśmiechnęła się prawie bez złośliwości. - Może ty też byłeś wtedy inny.

- Wszyscy byliśmy inni. Wszystko było inne. - Kręciło mu się w głowie od gorączki,

jakby zaraz miał zemdleć. Może teraz jestem paranoicznym wariatem... ale gdybym był paranoikiem trzydzieści lat temu, może on żyłby dzisiaj. Może... może ten kraj wyglądałby inaczej...

Sam nie wiedział, co mówi.

- Spóźnimy się - powiedziała. „Koncert to ja”.

- Idź pierwsza - odparł. - Chcę na chwilę zostać sam. Kiwnęła głową z widocznym rozczarowaniem i wyszła.

Horrigan ukrył twarz w dłoniach. Po chwili wstał, poczłapał do łazienki, zwymiotował do klozetu, stanął przy umywalce, ochlapał twarz wodą, wytarł się i zszedł na dół, żeby ostatni raz przelecieć się samolotem Air Force One.

## 18.

Sto lat później, tego samego wieczoru, Horrigan znalazł się z powrotem w Waszyngtonie, w swoim zagrożonym mieszkaniu.

Wrzucił cztery Alka - Seltzer do szklanki z wodą. Gorączka przeszła mu w samolocie, ale zmęczenie i ból głowy pozostały.

W Bazie Sił Powietrznych Andrews przywitał go współczujący Sam Campagna i ni z tego, ni z owego zaprosił go na obiad. Louise, żona Sama, najśłodsza istota pod słońcem, zrobiła mu miejsce przy stole w ich modnie urządzonej domu na przedmieściu Virginia.

Po obiedzie, przy drinkach w gabinecie, długoletni szef i długoletni przyjaciel Horrigan zapropozował mu odejście na emeryturę. Ostatecznie Frank nie ma wielkich wymagań finansowych. Wydaje pieniądze tylko na jazzowe płyty, prawda? Czy teraz to są kompaktki?

- Chcę zostać przy sprawie Bootha - oświadczył Horrigan.

- No dobrze - ustąpił niechętnie Campagna. - Ale musisz zrozumieć, że w sprawie Wydziału Ochrony nawet ja nie mogę nic...

- Wiem.

Siedzieli w milczeniu. Campagna popijał burbona, Horrigan irlandzką whisky.

- Chicago to pierwszy raz - powiedział Horrigan. - Nigdy przedtem nie popełniłem takiego błędu w ocenie. Jeśli nie liczyć Dallas...

- Nikt nie liczy Dallas oprócz ciebie. - Campagna uśmiechnął się wyrozumiale, ze znużeniem. - Słyszałem, że w Chicago miałeś prawie czterdzieści stopni gorączki. W takim stanie nikt nie może rozumować logicznie, na litość boską. I spójrzmy prawdzie w oczy, Frank... robisz się za stary na to gównu.

Campagna odwiózł go do domu. Horrigan wstąpił jeszcze do baru, żeby pobrzdakać na pianinie, ale to nie pomogło. Przez chwilę grał „What a Difference a Day Made”, ale nie miał nastroju do ironii. Ani do jazzu. Ani nawet do whisky.

Dzisiaj był wieczór Alka - Seltzer. I starego dobrego rock - and - rolla. Inwazja Brytyjczyków. Zerwał celofan z niedawno kupionej płyty kompaktowej „Sgt Pepper”, wyjął Milesa Davisa i włożył Beatlesów. Zaprogramował kompakt na dziesięciokrotne odtworzenie utworu numer dwa, „With a Little Help from My Friends”.

Siedział w rozkładanym fotelu, obok pustej szklanki po Alka - Seltzer, słuchając piosenki po raz szósty, kiedy zadzwonił telefon.

Przyciszył dźwięk pilotem i powoli podniósł słuchawkę.

- Halo? - odezwał się wiedząc, co usłyszy. Miękki głos niemal szeptał: - Co się stało w Chicago, Frank?

- Cześć, Booth.

- Wpadłeś w panikę.

- Byłeś tam, prawda?

- Wiesz, że byłem. Nie widziałeś mnie... ale wiedziałeś. - Cichy chichot. - Jesteśmy związani, ty i ja. To naprawdę pocieszające... na swój sposób, nie uważasz?

- Nie bardzo.

- Wiesz - ciągnął Booth - kiedy tam siedziałem, patrzyłem na ciebie, patrzyłem na prezydenta i zadawałem sobie pytanie, patrząc na tego zasranego tchórza... jak możesz narażać życie dla takiego mięczaka? Po co to robisz? Taki silny człowiek jak ty, Frank?

- Co robiłeś w Chicago, Booth?

- Badania.

- Rozumiem. Powiedz mi, Booth. Dlaczego taki człowiek jak ty naraża życie, próbując zabić tego mięczaka?

- Nie „próbując”, Frank. Ja go zabiję. I nie narażam życia. Obaj znamy cenę: oddam życie. Oddam za niego życie, a poza tym powinieneś już mieć opracowany mój profil psychologiczny. Chyba tego nie zaniedbałeś, Frank?

- Nie bardzo wierzę w te bzdury.

- Nie mam do ciebie pretensji. Jai też. Zachowanie człowieka niekoniecznie odpowiada sumie jego psychologicznych części. To po prostu nie działa w ten sposób.

- A jak to działa?

Śmiech Bootha bynajmniej nie brzmiał „pocieszająco”.

- To wcale nie działa, Frank... przecież sam wiesz. Wcale nie działa, ani trochę. Czy Bóg karze złych i nagradza sprawiedliwych? Oczywiście nie' - - Czy to słuszne?

- „Słuszne” nie ma z tym nic wspólnego. Niektórzy ludzie umierają, ponieważ postępują źle? - Niektórzy ludzie umierają, ponieważ postępują dobrze. Inni umierają po prostu dlatego, że pochodzą z Minneapolis - Jeden naród przed Bogiem, niepodzielny, wolność i sprawiedliwość dla wszystkich? Akurat. Moim zdaniem to PIC na wodę.

- Jeśli to wszystko nic nie znaczy, Booth... to po co się fatygować zabijaniem prezydenta?

- Żeby zostawić ślad, Frank. Żeby coś po nas zostało. I żeby... jakoś urozmaicić tę naszą koszmarną wegetację.

- Powinieneś się zalać.

- Może to też mamy wspólnego.

- Co jeszcze mamy wspólnego, Booth? Głos brzmiał niemal pieszczotliwie.

- Widziałem, jak żujesz... patrzyłem, jak siedzisz sam w barze, grasz na pianinie, popijasz whisky... Czujesz pustkę w środku, prawda, Frank? Dawne bitwy odeszły, minęły. Nie ma już żadnej wielkiej sprawy, dla której warto poświęcić życie. Nic nie zostało, tylko... sama gra.

- Gra?

- Jasne. Dlatego los nas złączył. Godni siebie przeciwnicy na polu ironii. Ty w obronie - ja w ataku.

- Kiedy zacznie się ta gra, Booth?

- Ależ gra toczy się przez cały czas, Frank. W każdej minucie każdego dnia, dopóki zegar nie stanie... albo nagła śmierć nas nie zaskoczy.

Cisza - tylko odległy głos Ringo Starra śpiewającego „With a Little Help from My Friends” ze stereo Horrigana.

- Dobranoc, Frank. Zostań w łóżku, dopóki nie wyleczysz kataru.

- Booth, zaczekaj...

Trzask na linii oznaczał, że rozmówca się rozłączył. Horrigan odłożył słuchawkę na widełki i czekał. Kiedy telefon ponownie zadzwonił, zgłosił się agent Carducci.

- Znowu zagłuszył sygnał - oznajmił Carducci. - Zgubiliśmy go.

Horrigan zastanawiał się przez chwilę nad czymś, co powiedział Booth.

- Nie jestem taki pewien - mruknął.

- Co to znaczy? - zapytał Carducci.

- Nic. Przegraj mi kasetę z tą rozmową. Podrzucić mi ją do biura przed dziewiątą rano.

- Do Wydziału Ochrony?

- Nie. Od jutra wracam do Wydziału Śledczego.

Odłożył słuchawkę, wyłączył pilotem Beatlesów, po namyśle jednak wstał i wymienił ich na Milesa Davisa. Usiadł w fotelu i słuchał z uśmiechem.

Czuł się znacznie lepiej.

Następnego ranka w kwaterze głównej Tajnej Służby, trzy przecznice od Białego Domu, Horrigan siedział za biurkiem w ciasnym gabinecie i przesłuchiwał kasetę,

którą mu przysłał Carducci. Konkretnie odtwarzał jeden urywek dla młodego agenta o okrągłej twarzy, nazwiskiem Hopkins, który stał przed jego biurkiem niczym gorliwy akolita.

Lekko zniekształcony głos Bootha wydobywał się z małego kasetowego magnetofonu. „Niektórzy ludzie umierają, ponieważ postępują źle. Niektórzy ludzie umierają, ponieważ postępują dobrze. Inni umierają po prostu dlatego, że pochodzą z Minneapolis”.

Znaczenie tych słów wyraźnie umykało młodemu agentowi.

- Skontaktuj się z Sekcją Operacyjną w Minneapolis powiedział Horrigan. - Każ im sprawdzić wszystkie morderstwa i śmiertelne wypadki, które mogą mieć związek z Boothem. Zwłaszcza każ im sprawdzić okres, kiedy prezydent odbywał turę wyborczą w Minneapolis/St. Paul. Przefaksuj im pełne akta Bootha, wszystko jak leci, żeby zorientowali się w kontekście.

Hopkins kiwnął głową i wychodząc niemal zderzył się z D'Andrea, który wpadł do gabinetu jak bomba.

- Poczekaj, aż to usłyszysz - zaczął.

- Najpierw posłuchaj tego - przerwał Horrigan i puścił mu fragment taśmy. D'Andrea nie wydawał się pojmować więcej od młodego agenta.

- Nic nie załapałeś? - zdziwił się Horrigan. - Ten skurwysyn przyznaje się do morderstwa! To wyraźny trop.

D'Andrea chętnie przyznał mu rację.

- Skoro tak mówisz... Przyznam, że zacząłem w ciebie wierzyć. Może jesteś geniuszem?

- Tak, ale czy mnie docenią za życia? Co tam masz? Uśmiechnięty D'Andrea przysunął sobie krzesło i zaczął czytać z kołnotatnika.

- Kazałeś mi sprawdzić modelarzy. No więc znalazłem jednego profesora w Uniwersytecie Illinois, a właściwie znalazł go agent z Sekcji Operacyjnej w Illinois, D'Orso. Przeczytałem raport D'Orsona, a potem osobiście rozmawiałem z profesorkiem przez telefon.

- No i?

D'Andrea postukał w notes.

Ten profesor... profesor Riger... on wykłada projektowanie samochodów, pracuje ze studentami nad projektowaniem i budowaniem modeli prototypów...

- Jak tamci w czasopismach Bootha.

- Właśnie! Nawet w jednym z tych pism był artykuł o profesorze i jego futurystycznych prototypach, co naprowadziło agenta D'Orsona na trop, no i...

- Streszczaj się.

- Okay. Profesor mówi, że jakiś rok temu brał udział w konferencji projektantów w Nowym Orleanie i spotkał tam „prawdziwego oszołoma”, a w tych kołach to chyba coś znaczy. Według profesorka schlali się jak świnie i ten oszołom, który przedtem był całkiem w porządku, nagle dostał kota, kiedy rozmowa zeszała na rząd federalny.

- Nie gadaj.

- Profesorek mówił, że facet zrobił się naprawdę nieprzyjemny. Opowiadał, że rząd go „zdradził”...

Słowa Bootha.

- ...i że chyba będzie musiał się zemścić. Horrigan powoli kiwnął głową.

- Pewnie twój profesor nie pamięta nazwiska tego oszołoma.

- Niestety nie. Ale mówił, że facet chyba przyjechał z San Antonio.

Horrigan wyprostował się z ożywieniem. - Będziemy potrzebować listę wszystkich modelarskich i hobbystycznych sklepów w San Antonio... Uśmiech D'Andrei stał się zarozumiały.

- Zadzwońłem już do Sekcji Operacyjnej w Teksasie. Przygotują listę.

- To ty jesteś geniuszem. Skontaktuj się z agentem D'Orsonem w Chicago i niech policyjny artysta zrobi szkic na podstawie opisu profesora.

- Już to zrobiłem. Horrigan wstał zza biurka.

- Niech D'Orso przefaksuje to nam do San Antonio, bo tam będziemy.

- Tak mu powiedziałem - uśmiechnął się D'Andrea, zadowolony z siebie. - Bilety czekają na nas na lotnisku.



Horrigan kazał D'Andrei prowadzić wynajętego forda mustanga. Młodszy agent był tutaj przed rokiem na wakacjach z żoną i synem, jako że San Antonio (albo San Antone, jak uparcie nazywali je tubylcy) należało do największych atrakcji turystycznych.

- W tym mieście jest wspaniałe zoo - oznajmił radośnie D'Andrea za kierownicą. - Świat Morza. Tutaj jest Alamo.

- Pamiętam - mruknął Horrigan, który miał to w nosie. Poczł jednak ulgę widząc, że D'Andrea trochę zna drogę, ponieważ teksaska metropolia przypominała labirynt: ulice przecinały rzekę i zakręcały łukiem, nie jak w Waszyngtonie, D.C.

Wylądowali na lotnisku Dulles sporo przed południem i o trzeciej trzydzieści zaczęli objazd San Antonio. Śledztwo miało potrwać dwa dni, ponieważ na pewno nie zdążyliby sprawdzić pół tuzina sklepów modelarskich i hobbystycznych na liście, zanim zamkną sklepy o piątej.

Ale mieli szczęście.

W dzielnicy handlowej Riverwalk pod pierwszym adresem znaleźli modną dziuplę w starym wypalonym budynku, przerobionym na sklepiki dla turystów; oczywiście wyszli z pustymi rękami. Lecz tuż przed piątą, sprawdzając drugi adres na liście - w podmiejskim pasażu handlowym - trafili w dziesiątkę.

Sklep był mały, ciemny i zapuszczony; w porównaniu z nim kawalerka Horrigan wyglądała jak rozkładówka z czasopisma „Piękny Dom”. Modele samochodów, samolotów, statków kosmicznych i filmowych potworów wisiały na drutach pod sufitem, tłoczyły się na półkach wśród gotowych zestawów w pudełkach, wyglądały z przepelnionych gablotek. Warsztat w kącie, oświetlony silną lampą na giętym kabłąku, zaścielały porozrzucane narzędzia, części maszyneryi, tubki z klejem, arkusze papieru ściernego i zwykłe śmieci.

Walter Wickland, właściciel, żując gumę pochylił się nad oszkloną ladą i prychnął na widok przefaksowanego portretu „oszołoma” profesora Riger, sporządzonego przez policyjnego artystę z Chicago. Horrigan pokazał mu już fotografię „Josepha McCrawleya” na prawie jazdy z Colorado.

Skoro mowa o oszołomach, również sam Wickland pulchny, nie ogolony, noszący grube okulary w ciężkiej oprawie oraz poplamiony fartuch na czarnym podkoszulku i dzinsach nadających się tylko na śmietnik - kipiał bezsensowną, niezrozumiałą

złością.

Ale okazał się aniołem zesłanym z nieba.

- Nie wygląda dokładnie jak on, a na tym zdjęciu wygląda jak jakiś krewny... ale to musi być ten parszywiec Mitch Leary.

Horrigan i D'Andrea wymienili spojrzenia. Młodszy agent zapisał nazwisko w kołonotatniku.

- Co pan może o nim powiedzieć? - zapytał Horrigan.

- To zwariowany skurwysyn, tyle mogę o nim powiedzieć. Szukacie go?

- Tak.

- No, jeśli znajdziecie tego gnoja, pamiętajcie, że jest mi dłużny forszę od ponad roku!

- Zapamiętamy. Za co jest panu dłużny? Wickland wzruszył ramionami, maniacko żując gumę.

- Narzędzia. Kilka zestawów. Samochód i łódź. Gnój śmierdzący! Wpakujcie go do pierdła na dobre, aż mu kutas odpadnie. Podam wam jego adres...

Z uśmiechem złośliwego elfa Wicklad zaczął grzebać w kartotece.

D'Andrea szepnął: - Lepiej nie mieć długów u tego faceta.

Zapadał zmierzch, kiedy jechali przez przyjemną, spokojną willową dzielnicę, z opuszczonymi oknami, rozkoszując się suchą, chłodną bryzą, która szeleściła w magnoliach i mimozach rosnących wzdłuż ulicy. Ta mieszanina drewnianych i ceglanych domów pochodziła pewnie z lat pięćdziesiątych - podwórka czyste, dobrze utrzymane, trawa wciąż zielona, tylko leciutko pożółkła. Tu ogródek skalny, tam znowu klomb kwiatowy w samochodowej oponie. Przed następnym domem weranda otoczona balustradą i plakietka z nazwą wyrzeźbiona w kształcie głowy byka rasy longhorn.

A potem zobaczyli frontowe podwórze Mitcha Leary'ego.

Zarośnięte, zaniedbane, wysoka trawa tłamszona przez wybujale chwasty. Na tle nieskazitelnych trawników, sąsiadujących z obu stron ze skromnym szarobiałym domkiem, ten nieporządny minipejzaż wyglądał zdumiewająco, wręcz niesamowicie.

Horrigan, z D'Andrea następującym mu na pięty, przeszedł po splekanym chodniku, zaśmieconym gałęziami i różnymi odpadkami, gdzie w szczelinach rosła dzika trawa. Zasłony w oknach były zaciągnięte. Widocznie nikogo nie ma w domu.

Ale nigdy nie wiadomo.

Horrigan w rozpiętej marynarce, ułatwiającej dostęp do broni pod pachą, stanął

na cementowym ganku i nacisnął dzwonek. Żadna plakietka w kształcie byczej głowy nie oznajmiała nazwiska gospodarza.

Brak odpowiedzi.

Horrigan zastukał do drzwi, ponieważ nie słyszał dzwonka. Nadal brak odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz, po czym zgiętym palcem kiwnął na D'Andreę - który był wyraźnie pod wrażeniem tej cmentarnej atmosfery - i obszedł dom dookoła.

Naturalnie podwórze od tyłu było jeszcze bardziej zarośnięte. Wielki pękań sypał orzechami, w wysokiej trawie buszowały hordy wiewiórek, walczyły ze sobą i pożerały szczątki. Horrigan wyciągnął broń.

- Frank - szepnął D'Andrea, nerwowo ściskając partnera za łokieć - po co to?

- To klucz - odszepnął Horrigan.

Wybrał okno i wybił szybę kolbą rewolweru. Zaciągnięte zasłony nieco stłumiły brzęk pękającego szkła. Horrigan ostrożnie przesunął rękę przez otwór, znalazł haczyk, odczepił go i pchnął okno do góry.

Właząc do środka o mało nie zaplątał się w cholerną zasłonę, dlatego nie zauważył stolika pod oknem. Przewrócił go, stracił równowagę i wylądował na dywanie, dzięki Bogu nie na odłamkach szkła.

W domu panowały egipskie ciemności - zaciągnięte zasłony prawie nie przepuszczały światła. Horrigan podniósł się i wyteżając wzrok oglądał przeciętnie umeblowany pokój, bezosobowy jak w hotelu, zdominowany przez kamienny kominek, kiedy poczuł coś metalicznie zimnego w uchu.

To była lufa rewolweru.

Usłyszał głos, cichy, spokojny i groźny: - Zostań na miejscu. Nawet o tym nie myśl.

Ręka wśliznęła się pod marynarkę Horriganu i zabrała mu trzydziestkęósemkę.

Horrigan zaryzykował zerknięcie w bok, samymi oczami, nie odwracając głowy. Facet był wielki, potężny, ale miał twarz dziecka. Młody, na pewno przed trzydzistką. W tradycyjnym garniturze. Nie żaden bandzior. Nie Leary. Kim on był, do licha? Te myśli zajęły jakieś pół sekundy. Następne półtoorej sekundy należało do D'Andreai, który wlaźł przez to samo okno, również zaplątał się w zasłonę i upadł na przewrócony stolik. Znieruchomiał na czworakach, z wytrzeszczonymi oczami, zaskoczony i przestraszony.

Wejście D'Andreai rozproszyło uwagę rewolwerowca o dziecinnej twarzy, toteż Horrigan zdołał wyrwać zza pasa składaną pałkę i trzepnąć napastnika. Pałka, mierząca pełne dwie stopy długości, trafiła go mocno w udo. Facet natychmiast stracił

czucie w nodze i z wrzaskiem runął na kolana, a broń wypadła mu z ręki i uderzyła o krzesło kilka stóp dalej.

Horrigan zaszedł drania od tyłu i zastosował nacisk pałąką na tchawicę. D'Andrea wreszcie wyciągnął broń, przykucnął i dygocząc wycelował w partnera oraz jego napastnika - ofiarę.

Horrigan przydusił faceta na tyle, żeby go śmiertelnie wystraszyć, potem zwolnił nacisk i zapytał: - Kto ty jesteś, kurwa?

Facet dyszał ciężko - może udawał, może naprawdę nie mógł mówić. Horrigan postawił go na nogi, chwycił za klapy i mniej lub więcej dokładnie powtórzył pytanie, stojąc nos w nos ze sterroryzowanym rewolwerowcem.

Jakiś głos z tyłu, wcale niegroźny, raczej znużony, powiedział: - Puść go, Horrigan.

Horrigan okręcił się w miejscu, przytrzymał przed sobą bezbronnego rewolwerowca jak tarczę i krzyknął do D'Andrei: - Al?

- Mam... mam go - odpowiedział niepewnie jego partner.

D'Andrea mierzył z rewolweru do wysokiego mężczyzny w średnim wieku, ze starannie przystrzyżonymi włosami, w ciemnym, dobrze skrojonym garniturze i czerwonym krawacie w białe paski. Mężczyzna był banalnie przystojny niczym męski model, ale jego oczy miały niepokojąco martwy odcień kobaltowego błękitu.

Horrigan nie znał go, ale rozpoznał ten gatunek... i mdlące uczucie podeszło mu do gardła. Nie grypa, nie tym razem.

- Jesteśmy po tej samej stronie, agencie Horrigan powiedział spokojnie mężczyzna. Powoli, ostrożnie podniósł rękę i pokazał legitymację.

Horrigan zbliżył się, popychając przed sobą żywą tarczę.

- Robert Coppinger - przeczytał jadowitym tonem. Myślałem, że jesteś z mafii. A ten szczeniak?

- On jest ze mną.

Horrigan szorstko odepchnął na bok agenta o dziecinnej twarzy. Podeszedł do Coppingera, zatrzymał się tuż przy nim i spojrzał mu prosto w oczy z odległości paru centymetrów.

- Na kogo tutaj czekałeś, szpiclu? Na mnie czy na Leary'ego?

Uśmiech Coppingera miał być przyjazny, ale był jedynie protekcyjny.

- Frank, proszę. Gramy w tej samej drużynie.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Agent CIA cofnął się z grymasem uśmiechu, usiadł w fotelu podsuniętym usłudźnie

przez młodego rewolwerowca - i swobodnie założył nogę na nogę.

- Pan Leary - powiedział spokojnie - był jednym z nas.

Tego tylko brakowało. Tego już było za wiele, kurwa...

- Po prostu uroczo - stwierdził Horrigan z ironią. Nie wiedzieliście, że wasz chłoptaş groził, że zabije prezydenta?

Coppinger zmarszczył brwi niemal z zakłopotaniem. Zrobił niezręczny gest otwartą dłonią.

- Tak, ale... nie braliśmy go poważnie...

- Co takiego?!

- Nie braliśmy go poważnie... dopóki nie znaleźliście tego odcisku palca.

Horrigana wypełniała kipiąca furia, gorsza od niedawnej gorączki.

- Więc ten odcisk był w komputerze. Tajny, co? Kurwa! Kurwa wasza mać.

- Panie Horrigan...

- Jakie to śliczne. Wy i FBI... wszyscy chłopcy razem w łóżeczku, zgodnie z tradycją wielkiego J. Edgara Hoovera.

Spod zmieszanej miny Coppingera zaczęła przebijać wrogość.

- Dla nas to są domowe kłopoty.

- Więc olewacie Tajną Służbę? Tak, zgadza się, to jest domowy kłopot... ale chodzi o Biały Dom! Jasne?

Coppinger ściągnął usta.

- Jasne. Ale istnieją pewne... nadrzędne kwestie. Jeżeli wytoczymy Leary'emu publiczny proces, skompromitujemy kilka kluczowych dla nas operacji...

- Więc ryzykujecie życiem prezydenta, żeby je chronić? Pewnie, to ma sens. W końcu co do cholery... prezydenci przychodzą i odchodzą co cztery lata. Jak jeden umrze, zawsze znajdzie się następny.

Coppinger westchnął. Wyprostował nogi.

- Rozumiem twoją frustrację.

- Frustrację?! - ryknął Horrigan. - Moją frustrację?! O żeż wy nadęte skurwysyny... co takiego Leary dla was robił? Przemycał coca - colę, żeby poprzeć kontrasów? Sprzedawał broń pieprzonemu Iranowi?

Twarz Coppingera drgnęła. Spojrzał na młodszego agenta, potem odchrząknął i powiedział: - To jest nieoficjalna informacja. Zrozumiano? Horrigan kiwnął głową. D'Andrea, którego szkliste spojrzenie świadczyło, że to wszystko znacznie go przerasta, zrobił to samo.

- Jeśli ktoś zapyta, zaprzeczymy - ciągnął Coppinger, unosząc brew.

Horrigan prychnął.

- No dalej, wywal kawę na ławę.

Następne westchnienie. Długie. Ciężkie. Wreszcie Coppinger powiedział: - Leary jest tak zwanym „mokrym chłopakiem”.

Te słowa trafiły Horriganowi jak cios między oczy. Z trudem przełknął ślinę, zachwiał się i usiadł na kanapie. D’Andrea wydawał się jeszcze bardziej zbity z tropu.

- Co? O czym wy mówicie? Co to znaczy „mokry chłopak”?

Horrigan usłyszał własny głos jakby z wielkiej odległości, stłumiony i martwy.

- Mokra robota, Al... krew. Leary jest wyszkolonym przez rząd, profesjonalnym zabójcą.

Oczy D’Andrei zwęziły się, twarz mu zbieleła.

Coppinger potarł nasadę nosa.

- W przypadku Leary’ego to eufemistyczne określenie. Ten człowiek jest... on jest jak ludzki drapieżnik.

Czterej agenci - dwaj z Tajnej Służby, dwaj z CIA milczeli prawie przez wieczność w tym cichym, mrocznym pokoju. Na dworze skrzeczały wiewiórki, walczące o orzechy.

Frank Horrigan poczuł, że ogarnia go zgroza, kiedy sobie uświadomił, z kim i z czym przyszło mu walczyć.

Słońce zachodziło nad stawem ukrytym w bujnych lasach zachodniego Marylandu. Ostatnie promienie powlokły szklistą powierzchnię wody jaskrawą czerwienią, jakby w ziemi wycięto okropną ranę, która broczyła krwią.

Przynajmniej tak to widział Leary, który stał spokojnie na brzegu, ubrany w jasnozielony wełniany sweter i błękitne dżinsy. W lewej dłoni trzymał małego pilota i patrzył, jak smukła motorówka zabawka, którą zbudował w swoim warsztacie w suterenie, ślizga się po powierzchni stawu, terkocząc małym motorkiem niczym maszynka do golenia.

Potem Leary podniósł prawą rękę i wycelował z kanciastego, kremowego, ręcznie zrobionego pistoletu; części były dopasowane, gładko wchodzące na miejsce, potrzebował tylko tego ostatniego, prostego, lecz najważniejszego testu...

Ptaki ćwierkały, świerszcze hałasowały, ale wystrzał uciszył je w jednej chwili. Mała, zdalnie sterowana łódeczka została roztrzaskana w drobny mak.

Lubił to wyrażenie. Powtórzył je na głos: - W drobny mak.

Sprawdził broń i uśmiechnął się z dumą, jak ojciec do uzdolnionego dziecka. Potem wsadził pilota do kieszeni swetra i spokojnie obserwował plastikowe szczątki motorówki, unoszące się na powierzchni wody. Ptaki znowu zaczęły śpiewać, świerszcze zaczęły grać, a jakiś głos zapytał: - Czy to pan strzelał?

Dwaj myśliwi, jeden ubrany w samodział, drugi w khaki, wyszli zza krzaków, niosąc strzelby oparte na ramionach.

Jeden był ciężko zbudowany, z rybią twarzą; drugi był chudy i miał ptasie rysy, zwłaszcza ostry, wydatny nos. Obaj mieli około trzydziestki.

- To ja - przyznał Leary z miłym uśmiechem. Myśliwy, który zadał pytanie, ten pękaty z rybią twarzą, uśmiechnął się z ciekawością, kiedy zauważył kremowy pistolet w ręku Leary'ego.

- Co to za dziwna broń?

- Zrobiłem to w domu.

- Sam pan to zrobił? - odezwał się drugi myśliwy, ten z ptasim nosem; głos miał cienki i wąty jak on sam.

- Jasne.

Obaj myśliwi, wyraźnie pod wrażeniem, popatrzyli na siebie i pokiwali głowami, wyrażając swój podziw dla technicznych osiągnięć Leary'ego.

- Mogę obejrzeć? - zapytał drugi myśliwy.

- Czemu nie? - Leary podał mu broń. Chudzielec wziął ją, zważył w ręku, niemal dotknął jej nosem, jakby polegał raczej na węchu niż na wzroku; ten gest skojarzył się Leary'emu z dziobiącym kurczakiem.

- Strasznie lekkie - powiedział myśliwy z powątpiewaniem. - Z czego to zrobione?

- Mieszany skład. Specjalna żywica, którą wynalazłem.

Chudzielec podał broń swojemu pękatemu towarzyszowi, który również zważył ją w ręku i kiwnął głową.

- Lekkie jak piórko. To jakiś plastik?

- Aha. To jakiś plastik.

- Całkiem niezłe. Mogę wypróbować? Życzliwy uśmiech zastygł na twarzy Leary'ego.

- Jasne. Została jedna kula.

- Dwustrzałowiec, hę?

- Uhum.

Chudzielec rozejrzał się za celem. Na drugim brzegu spostrzegł ptaka - wielkości gołębia, ciemnego z czerwonymi plamkami, Leary nie znał tego gatunku, niewiele wiedział o ptakach - i strzelił.

Ptak eksplodował w chmurze piór i krwi.

- Ha! - zawołał chudzielec, a jego pękaty towarzysz również wybuchnął śmiechem.

- Cholernie fajna broń! Nie chce pan przypadkiem jej sprzedać?

- Po co? Nie jest taka dobra jak wasze strzelby.

- Kolekcjonuję broń. Co pan na to? Niech pan wymieni cenę... oczywiście w granicach rozsądku.

Leary wyłowił dwie kule z kieszeni dzinsów, ostrożnie przełamał broń i ponownie załadował.

- Nie, potrzebuję tego. Na specjalną okazję.

- Ach tak? - zapytał uśmiechnięty grubas o rybiej twarzy, płonąć z ciekawości. - Na co pan jej potrzebuje?

- Żeby zabić prezydenta - odparł rzeczowo Leary. Dwaj myśliwi parsknęli śmiechem, ale zaraz umilkli i popatrzyli na Leary'ego. Leśna cisza - zmacona jedynie, śpiewem ptaków i graniem świerszczy - musiała wydawać się bardzo głośna tym dwóm traperom.

- Dlaczego pan chce to zrobić, proszę pana? - zapytał chudzielec z niepewnym



uśmiechem, mając nadzieję, że to tylko głupi żart.

Leary wzruszył ramionami.

- A dlaczego zabiłeś tego ptaka, palancie?

Najpierw zastrzelił pękatego.

Na stole w sali konferencyjnej w biurze Sama Campagny leżało pięć fotografii Mitchella Andrew Leary'ego.

Leary - uniwersytecki futbolista, próbujący wyglądać groźnie.

Leary - szeroko uśmiechnięty członek studenckiej korporacji.

Leary - ubrany w wojskowy kombinezon młody oficer o kamiennej twarzy, w kambodżańskiej dżungli.

Leary - szczęśliwy pan młody obok swojej pięknej, czarnowłosej, zarumienionej oblubienicy.

Leary - niechlujny, nie ogolony obiekt na policyjnym zdjęciu.

Fotografie leżały rozłożone niczym jakaś dziwaczna talia kart; same dzokery, pomyślał kwaśno Horrigan. Co z nich za pożytek?

Przy stole konferencyjnym obok Horrigan i jego partnera D'Andrei siedział oczywiście jego szef Campagna, agent CIA Coppinger oraz po jednym przedstawicielu FBI i policji Dystryktu Columbia. Horrigan znał przelotnie obu mężczyzn - inspektora Rawlinsa i kapitana Howarda.

- Od pewnego czasu próbujemy odnaleźć Leary'ego mówił Coppinger. - Może FBI będzie miało więcej szczęścia.

Rawlins, ciemnowłosa, gburowaty facet po czterdziestce, odparł: - Może, jeśli wszyscy będziemy współpracować. Horrigan podniósł wzrok znad ślubnej fotografii.

- Czy włączycie w to Tajną Służbę? Tym razem? Rawlins zmiażdżył wzrokiem Horrigan, po czym mówił dalej, ignorując komentarz: - Mamy jego odciski palców i te zdjęcia, więc...

- Do czego mogą się przydać te zdjęcia? - Horrigan rzucił fotografię na stół, gdzie dołączyła do pozostałych. Cztery mają co najmniej po piętnaście lat. Najnowsze ma prawie dziesięć lat i jest cholernie niewyraźne. Zdjęcie na prawie jazdy z Colorado wciąż jest najlepsze.

Coppinger sceptycznie uniósł brew.

- Ludzie tacy jak Leary nie lubią się fotografować przyznał.

- Święta prawda, Sherlocku - prychnął Horrigan. Zresztą on i tak będzie w

przebraniu, cholera... Widocznie przeszedł szpiegowskie szkolenie, racja? Dlatego mamy tylko to zdjęcie z Colorado.

Coppinger przytaknął.

- To wszystko śmiecie - zwrócił się Horrigan bezpośrednio do Campagna, wskazując fotografie - chyba że je przepuścimy przez jakiś pierwszorzędny komputer.

- Zgoda - powiedział Campagna. Odwrócił się do siwowłosego, czarnowłosego, umundurowanego kapitana Howarda. - Phil, powiedz swoim ludziom, że Leary to zdrajca. Nie chcemy, żeby prasa coś wywahała.

Howard kiwnął głową. Potem, spoglądając na zdjęcie z wojska, powiedział ze smutkiem: - Zupełnie nie rozumiem, dlaczego człowiek, który tak zaszczytnie służył swojemu krajowi... wielokrotnie odznaczony żołnierz... dlaczego on chce zabić własnego Najwyższego Dowódcę?

- Zaszczynie? - parsknął Horrigan. - Mokra robota to taki wielki zaszczyt?

- Właściwie z jakim człowiekiem mamy do czynienia? zapytał Campagna agenta CIA.

Westchnienie Coppingera mówiło tomy. Pochylił się i wyjął z teczki szarą kopertę.

- Panowie, to, co wam pokażę, jest ściśle tajne... Podał Horriganowi dwie czarno - białe fotografie.

- Ten człowiek był kiedyś bliskim przyjacielem Leary'ego... na naszą prośbę pojechał do San Antonio, żeby namówić Leary'ego na terapię i ponowne przeszkolenie.

Fotografie przedstawiały znajome wnętrze - pokój w domu Leary'ego - ale obok kamiennego kominka leżał mężczyzna w garniturze i krawacie, z rozrzuconymi bezwładnie kończynami. Twarz mężczyzny była odwrócona, ale Horrigan i tak zrozumiał.

Facet miał poderżnięte gardło od ucha do ucha. Krew zalała przód jego koszuli i dywan wokół ciała. Oczywiście na fotografii krew była czarna... ale przez to wydawała się jeszcze bardziej czerwona.

- W ten sposób, panowie - powiedział cicho Coppinger Mitch Leary traktuje swoich przyjaciół...

Do wieczora Horrigan obejrzał kilkanaście wariantów fotografii, opracowanych przez bardzo dobrą specjalistkę nazwiskiem Kopit w centrum komputerowym Wydziału Śledczego.

Wykorzystując kolorowe zdjęcie ślubne, zaprogramowała kolor oczu, zarost na

twarzy, okulary, zmianę wagi, opaleniznę i naturalnie postarzyła obiekt o piętnaście lat.

- Całkiem dobre - stwierdził Horrigan - ale do niczego. D'Andrea, który prowadził w milczeniu, nic nie powiedział.

- Nie ma w nich życia... Oczy są martwe. A przecież oczy najczęściej mówią o człowieku.

D'Andrea nieznacznie kiwnął głową.

Horrigan wsadził wydruki do koperty i powiedział: - Musimy dowiedzieć się czegoś więcej o tych zdalnie sterowanych modelach. To kluczowa kwestia, odkąd wiadomo, że Leary ma specjalistyczne przygotowanie.

D'Andrea nie odpowiedział.

- Jutro z samego rana - ciągnął Horrigan - chcę, żebyś...

- Jutro składam rezygnację.

Horrigan spojrzał na D'Andreę po raz pierwszy tego wieczoru i zobaczył, że jego partner jest pogrążony w myślach.

- Co się dzieje, stary?

- Po prostu mam dosyć, to wszystko.

Horrigan uważnie przyjrzał się twarzy partnera, milczał przez chwilę i wreszcie zapytał: - Dlatego, że się przestraszyłeś w San Antonio? D'Andrea wzdrygnął się niezauważalnie.

- Kurwa, ja też się bałem. Ale ty zrobiłeś, co do ciebie należało. I ja też.

- Tak cholernie się denerwowałem...

- Nic dziwnego.

- Frank, odkąd... odkąd mi założyli tę plastikową torbę na głowę, ciągle mam koszmary.

O cholera.

D'Andrea patrzył na drogę, ale jego oczy widziały co innego.

- Każdej nocy wracam na tę pieprzoną łódź. Facet zakłada mi torbę na głowę i nie mogę oddychać, umieram, kurwa mać... Rozumiesz to, Frank?

- Tak.

- Czuję się jak... jakbym stracił całą odwagę w San Antonio. Możesz zginąć przeze mnie. Nie wytrzymam tego, Frank. Po prostu nie wytrzymam.

- Wszyscy mamy swoje koszmary, AL - Nie rozumiem, dlaczego ty... - Dallas.

D'Andrea nagle umilkł. Na chwilę zamknął oczy.

- Och. Przepraszani. Powinienem...

- Możesz pójść do terapeuty.

- A ty poszedłeś?

- No, nie...

- Zresztą mnie to nie pomoże. - D'Andrea zahamował. Wsiądziesz tutaj czy przy barze?

- Może być tutaj. - Horrigan dotknął ramienia partnera. - Nie odchodź, AL Zostań ze mną przy tej sprawie. Jesteśmy już blisko. Jesteśmy tak cholernie blisko. Dopadniemy drania, mówię ci.

D'Andrea zaczynał jakby mięknąć. Horrigan naciskał dalej: - Potrzebuję cię, stary! Przestań opowiadać dyrdymały...

D'Andrea wciąż miał ponurą minę, ale powiedział cicho: - Okay.

Horrigan otworzył drzwi samochodu, ale jeszcze nie wysiadł.

- To ładne słowo: „dyrdymały”. Twoje pokolenie jakoś o nim zapomniało.

D'Andrea spojrzał na niego jak na wariata.

- Niedługo całkiem zniknie z języka. Co za cholerna szkoda... takie dobre słowo. Obiecuj mi, że będziesz go używał. Zachowaj je przy życiu, kiedy twój stary zgrzybiały partner odejdzie.

D'Andrea zrobił zabawną minę.

- Dyrzymały?

- Dyrzymały.

D'Andrea parsknął śmiechem i potrząsnął głową. Horrigan zatrzęsł drzwi i patrzył, jak jego partner odjeżdża.

- W każdym razie go rozśmieszyłem - powiedział do siebie.

Potem postanowił jeszcze nie wracać do domu i wszedł do baru, gdzie usiadł przy pianinie, tyłem do okna, popijał Jamesona i grał „Just Friends”.

Raz doznał dziwnego wrażenia, że ktoś go obserwuje. Obejrzał się, ale nikogo nie zobaczył.

Gdyby obejrzał się pięć sekund wcześniej, zobaczyłby Mitcha Leary'ego.

Horrigan siedział za swoim biurkiem w hali Wydziału Ochrony w SBZ i przeglądał raporty różnych agentów polowych dotyczące Leary'ego, kiedy Lilly Raines stanęła przed nim jak zjawisko. Zjawisko w spodniemie, z męskim krawatem zawiązanym zrećnie wokół otwartego kołnierzyka białej męskiej koszuli.

- Nie zostałeś długo w Śledczym, prawda? - zagadnęła miłym głosem.

Właściwie to nie było pytanie, ale on odpowiedział: - Jeden dzień.

- To chyba rekord - stwierdziła, przechylając głowę. Wciąż nosiła rozpuszczone włosy - uwielbiał patrzeć, jak falują i muskają jej ramiona.

- Właśnie - powiedział. - Potem znaleźliśmy trop Leary'ego i wtedy wróciłem.

- Ile się dowiedzieliście?

- Według naszych polowych agentów, przyjaciele Leary'ego i jego bardzo wystraszona eks - żona uważają go za wariata.

Lilly uśmiechnęła się krzywo.

- Jak na filmie - stwierdziła. Potem jej uśmiech stał się łagodny, niemal nieśmiały.

- Frank, słuchaj... cieszę się, że wyszło na twoje w sprawie Booth'a. Leary'ego.

- Dzięki. Zarobiłem punkt więcej dla starszych obywateli. Jak sobie radzisz beze mnie? Ciągłe płaczesz po nocach?

- Och, chyba tego nie przeżyję - odparła z zabawną miną.

- Jak długo zostajesz w mieście?

- Tylko do wieczora. Koordynuję przygotowania do wizyty w Kalifornii w następnym tygodniu.

Horrigan zagwizdał cicho.

- Kierujesz przygotowaniem w L.A.? Rzeczywiście sama szukasz kłopotów.

- A ty niby nie? - Uśmiechnęła się... z czułością, pomyślał, czy też to było jedynie pobożne życzenie?

Zbierając się do wyjścia, powiedziała: - Informuj mnie o sprawie Leary'ego. Sam ma numer, pod którym mnie znajdziesz w L.A.

- Hotel „Bonaventure”, zgadza się?

- Tak.

- Oczywiście możemy teraz pójść na kawę i pokażę ci wszystko, co mam, każdy drobiazg...

Lilly namyślała się, próbując odgadnąć, czy ten dwuznacznik był zamierzony,

kiedy zadzwonił telefon. Horrigan kiwnął na nią palcem.

- Nie odchodź - powiedział. - Tylko odbiorę...

- Halo - odezwał się głos w słuchawce.

Z wyrazu jego twarzy poznała, że dzwoni Leary, i pobiegła zaalarmować innych agentów, ale Carducci i Okura, włączywszy swój elektroniczny sprzęt, kiwnęli mu głowami i pokazali podniesione palce.

- Frank? - zagadnął niewinnie znajomy miękki głos. Co ty wyprawiasz? Pozwalasz, żeby wszyscy podsłuchiwali?

Rzeczywiście agenci - włącznie z samym Campagną skupili się wokół telefonu ze słuchawkami na uszach. D'Andrea stał obok Lilly, słuchając uważnie.

- To cię dziwi? - zapytał Horrigan.

- Skądże znowu. Dzień dobry wszystkim! Ale wiesz, w ten sposób nasze rozmowy tracą na... intymności.

Horrigan prychnął z obrzydzeniem, a kilku agentów zachichotało.

- Nawiasem mówiąc - wtrącił niedbale Horrigan wiem, kim jesteś, Mitch.

Milczenie, które zapadło, wydawało się ciągnąć bez końca.

Horrigan zmarszczył brwi. Może nie powinien wyklądać tej karty? Czy teraz straci kontakt z "przyjacielem", skoro „Booth” został zdemaskowany jako Leary?

Potem szepczący głos powiedział: - Właściwie już czas, żebyś się dowiedział, Frank. Jestem trochę rozczarowany, że to tak długo trwało. Ale z drugiej strony... cieszę się.

- Naprawdę? A dlaczego?

- Przecież to oczywiste. Przyjaciele powinni sobie mówić po imieniu. Używać prawdziwych imion.

- No, z tym jest mały problem, Mitch.

- Co takiego, Frank?

- Nie jesteśmy przyjaciółmi.

- Ależ jesteśmy.

- No więc powiem tyle: nie chcę być twoim przyjacielem, odkąd wiem, jak traktujesz przyjaciół.

Delikatna miękkość nagle zniknęła, głos Leary'ego stał się ostry jak brzytwa i gorzki jak żółć. - Co oni ci powiedzieli?

- Że poderznąłeś gardło swojemu przyjacielowi.

- To jest dezinformacja, Frank! Dezinformacja! Jak mogłeś uwierzyć w te bzdury?

Rozczarowałeś mnie! Boże!

- Zdjęcia nie kłamią, Mitch.

- Właśnie że kłamią... zobaczyłeś tylko to, co te załgane dranie chciały ci pokazać...

- Zobaczyłem w twoim pokoju człowieka z poderżniętym gardłem. Od ucha do ucha, kurwa.

Głos Leary'ego drżał - częściowo z furii, częściowo z jakiejś innej przyczyny.

- Ale nie wiedziałeś, Frank, oni ci nie powiedzieli, że wysłali mojego najlepszego przyjaciela, mojego towarzysza broni, człowieka, któremu dwa razy uratowałem życie, kurwa, w tej zasranej Kambodży... wysłali go, żeby mnie zabił.

- Dlaczego głos ci drży, Mitch? Chyba nie płaczesz?

- Teraz próbujesz mnie zranić. Co ja ci zrobiłem? Nigdy cię nie okłamałem, ani razu. I wiesz co? Nigdy cię nie okłamię.

- Powiedz mi jedno, Mitch... dlaczego wszyscy, którzy cię znają, mówią, że jesteś chorym umysłowo sukinsynem? Twoi przyjaciele, znajomi, żona...

- A co twoja żona mówi o tobie, Frank?

- Nie rozmawiamy o mnie, Mitch. Leary teraz już na pewno nie płakał.

- Frank... myślałem, że zrozumiesz. Właśnie ty, ze wszystkich ludzi. Ciągle chcę, żebyś zrozumiał...

- Po co mam się wysilać, żeby zrozumieć jakiegoś biednego chorego sukinsyna?

Długa pauza. Horrigan zerknął na Carducciego, zgarbionego nad elektronicznym sprzętem ze słuchawkami na uszach, którego oczy mówiły: „Jeszcze nie, jeszcze nie...”

Głos Leary'ego powrócił, znowu łagodny szept: - Powinieneś mnie rozumieć, Frank, ponieważ obaj uważaliśmy ten kraj za coś cholernie wyjątkowego.

- Nie wiesz, co ja uważałem, Mitch, gównem o mnie wiesz...

- A co ty wiesz o mnie, co niby wiesz o mnie, odkąd otworzyli przed tobą akta wypełnione kłamstwami? Wiesz, co ja dla nich zrobiłem? Wiesz, co naprawdę dla nich zrobiłem? W służbie mojemu krajowi? Pozwoliłem, żeby mnie ukształtowali jak glinę, według ich woli. Zmienili mnie w coś... potwornego. Cholera, teraz już nawet nie pamiętam, jaki byłem przedtem, zanim dostali mnie w swoje szpony. Frank, robiłem potworne rzeczy, dla Boga i ojczyzny... i dostawałem medale, i dostawałem pochwały, i nawet płacili mi przyzwocie. Założę się, że więcej niż wam, frajerom z Tajnej Służby. Ale wiesz co, Frank?

- Co, Mitch?

- Przyszła dzień, kiedy potwory przestały im być potrzebne. Więc postanowili je

zniszczyć. „Bo przecież nie możemy pozwolić, żeby jakieś potwory włóczyły się po pięknej amerykańskiej ziemi, prawda?” - Powiedz mi coś, Mitch.

- Co, Frank?

- Co widzisz we śnie?

Tym razem to Horrigan trafił we wrażliwe miejsce.

- Widzę ciebie, Frank! - wybuchnął Leary. - Widzę ciebie stojącego nad grobem następnego prezydenta!

Na sekundę ziemia uciekła Horriganowi spod nóg Leary także trafił we wrażliwe miejsce. Zerknął na Lilly, słuchającą rozmowy przez słuchawki, a ona obdarzyła go ukradkowym, współczującym uśmiechem. D'Andrea wzrokiem dodawał mu otuchy.

- To się nie stanie - oświadczył Horrigan z całkowitym przekonaniem. - Przejrzałem cię, Mitch. Ciebie i twoje dziecinne gierki.

- Pierdol się, Frank! Pierdol się! Nikt mnie nie powstrzyma, kurwa, ani ty, ani nikt inny. Nie wtedy, kiedy postanowiłem przehandlować swoje życie za jego życie. A na dodatek rozpieprzę twoje życie. Wiesz, dlaczego? Dlaczego myśliwy strzela do ptaka? Wiesz, jak? Bo ja jestem spryciarz, a ty jesteś twardziel i niczego więcej nie potrzeba, kurwa!

- Odpuść sobie, Mitch. Daj sobie spokój. Szorstki, urywany śmiech.

- I żyj długo i szczęśliwie w krainie wolności, tak?

- Byłeś agentem rządowym. Posiadasz pewne przywileje. Dopilnuję, żebyś otrzymał pomoc.

- „Z niewielką pomocą przyjaciół”, Frank?

- Gwarantuję ci. Daj mi szansę. Razem coś wymyślimy. - Próba ugłaskania Leary'ego wywołała następny wybuch, jeszcze gwałtowniejszy od poprzedniego.

- Nie okłamuj mnie, kurwa! Jestem martwy i ty to wiesz! Jestem martwy od tego dnia, kiedy wysłali mojego najlepszego przyjaciela, żeby mnie zabił. Jestem najbardziej martwym człowiekiem na świecie, z wyjątkiem prezydenta. I ciebie, Frank. Jeśli podejdziesz za blisko...

Carducci wyprostował się z uśmiechem i podniósł kciuk.

- Przegrasz, Mitch - powiedział Horrigan.

Drżący głos zdawał się oscylować pomiędzy łagodnością a groźbą.

- Nawet nie masz pojęcia, Frank, jak łatwo mogę cię zabić. Nie wyobrażasz sobie, ile razy patrzyłem, jak wchodzisz i wychodzisz z mieszkania. A ten wieczór, kiedy siedziałeś ze swoją dziewczyną na stopniach Lincoln Memorial i jedliście lody na



patyku?

Lilly aż się zachłysnęła. Leary perorował dalej: - Żyjesz tylko dlatego, Frank, że pozwalam ci żyć. Więc okaż mi trochę szacunku, do ciężkiej cholery!

Na szczęk odkładanej słuchawki Horrigan błyskawicznie okręcił się w fotelu, usłyszał krzyk Carducciego: „Hotel Świętego Franciszka! Florida Avenue!” i zobaczył, jak hala budzi się do życia.

Tym razem D’Andrea był pierwszy w drzwiach, z Horriganem następującym mu na pięty.

D'Andrea nacisnął klakson i wymusił pierwszeństwo dla swojego rozpedzonego sunbirda na skrzyżowaniu przy czerwonych światłach. Horrigan jechał bez pasa, jedną ręką przytrzymując się dachu samochodu przez otwarte okno, z zaciśniętymi zębami, z krawatem powiewającym na wietrze.

- Zwolnij trochę - powiedział, pokazując palcem. - To tam...

Przed nimi trzy policyjne wozy parkowały na jezdni ustawione pod różnymi kątami, jakby porzucone. Zaaferowani gliniarze w mundurach i oficerowie po cywilnemu otaczali podniszczony ceglany budynek, na którym zardzewiały, poobijany, przekrzywiony neonowy szyld „HOTEL ŚWIĘTEGO FRANCISZKA” tkwił jak wspomnienie dawnych czasów, kiedy było tu coś więcej niż obskurna noclegownia.

D'Andrea zwolnił i Horrigan pochylił się do przodu, ale młodszy agent nagle zobaczył coś przez boczną szybę i krzyknął: - Frank!

Po drugiej stronie ulicy jakiś mężczyzna średniego wzrostu i tuszy szybko szedł chodnikiem, oddalając się od hotelu; zarośnięty, zgarbiony, brudny i obdarty, miał na sobie czarną golfową czapkę, brązowy roboczy kitel i luźne szare dżinsy, które trzepotały na wietrze. Wyglądał jak typowy mieszkaniec tej nędznej dzielnicy czy nawet jak bezdomny włóczęga.

Z jednym wyjątkiem.

- Ten włóczęga ma ciemne okulary, Frank!

- Taak - mruknął Horrigan. - Zawracaj... D'Andrea ostro zakręcił kierownicą, a facet - Leary, z całą pewnością! - usłyszał pisk opon, zobaczył samochód i zaczął uciekać. D'Andrea jechał tuż za nim. Leary rzucił jedno przerażone spojrzenie przez ramię, zanim skręcił w wąską alejkę.

Sunbird z piskiem opon wjechał za nim, ale wielka śmieciarka zablokowała mu drogę.

- Uważaj! - krzyknął Horrigan, ale D'Andrea już nacisnął hamulec. Zatrzymali się centymetry od śmieciarki i wyskoczyli z wozu, trzymając rewolwery w pogotowiu.

- Ładna robota, partnerze - powiedział Horrigan.

- Dziękuję - odparł D'Andrea, ale był wyraźnie sfrustrowany. Szukali Leary'ego wszędzie w tej wąskiej alejce, dosłownie kręcili się w kółko i nie znaleźli nic, tylko pełne śmietniki oraz kota pozerającego rybią głowę na stosie odpadków. Horrigan

sprawdził, czy tył i przód śmieciarki są puste.

- Gdzie on się podział, Frank?

Horrigan usłyszał w górze zgrzyt metalu, podniósł wzrok i zawołał: - Tam!

Leary wspinał się po starożytnych schodkach pożarowych nad ich głowami.

Horrigan próbował podskoczyć i ściągnąć na dół ostatni człon schodów, ale nie mógł go dosięgnąć.

- Podsadź mnie! - polecił młodszemu agentowi. Oparł stopę na splecionych dłoniach D'Andrei, odbił się i wskoczył na podest z żelaznych krat. Podniósł się i pobiegł w górę po dwa stopnie naraz, zdyszany, z walącym sercem. Ciemna sylwetka Leary'ego majaczyła nad nim jak w koszmarze. Jakimś cudem pokonał pięć pięter i znalazł się na dachu, pokrytym spękaną warstwą smoły, i zdążył jeszcze zobaczyć, jak ten sukinsyn Leary z rozpędu przeskakuje na dach sąsiedniego budynku, ląduje miękko i biegnie dalej, kryjąc się za poobijanym kanałem wentylacyjnym.

Horrigan bez namysłu ruszył za nim - truchtem, potem coraz szybciej i na krawędzi dachu skoczył!

Wylądował zwinięty w kłębek, przekoziolkował, wstał i pobiegł dalej, nie wypuszczając broni. Widział przed sobą Leary'ego; teraz drań się bał, oczy latały mu na wszystkie strony, kiedy pędził po smołowanym dachu, wymijając przeszkody w postaci wywietrzników i rynien, zbliżając się do krawędzi budynku... i Horrigan uśmiechnął się.

Najbliższy budynek był za daleko, żeby przeskoczyć. Dopadł skurwysyna! Horrigan zwolnił, żeby złapać oddech...

A ten skurwysyn skoczył i - niech to szlag! - wylądował bezpiecznie na dachu po drugiej stronie!

Jasna cholera!, pomyślał Horrigan. Wsadził rewolwer do kabury i znowu przyspieszył, nogi łomotały o nawierzchnię dachu, puls łomotał w skroniach... a potem rzucił się przed siebie i frunął ponad alejką, celując w tamten dach.

I chybił.

Nawet nie zdążył wrzasnąć: „Gówno!” Zdążył jedynie sięgnąć dłońmi do krawędzi tamtego nadwerężonego dachu i uchwycić go z całej siły, kiedy jego ciało uderzyło boleśnie o ceglany mur. Impet wycisnął z jego płuc resztki powietrza, na chwilę zamroczyło go od wstrząsu, ale jego mózg rozpaczliwie uczeplił się brzegu świadomości, podobnie jak dłonie rozpaczliwie wczepiły się w kruchy ceglany brzeg dachu.

Mięśnie jego ramion napięły się i rozciągnęły jak guma.

Kołysał się w powietrzu, a wiatr rozwiewał jego rzędnące włosy. Więc taką śmiercią zginę?, pomyślał. Rozsmarowany na bruku w jakimś śmierzącym zaułku? Przełknął ślinę i zaryzykował spojrzenie w dół; pod nim ziała pięciopiętrowa przepaść. Gdzie jest D'Andrea? Czyżby stchórzył?

Po prawej stronie, dwa piętra niżej, zobaczył podest schodów pożarowych. Mógł przeżyć taki upadek... taki upadek to nic groźnego... ale znajdował się dobre trzy stopy na lewo od podestu. I nie mógł się rozhuścić, ponieważ i tak ledwie trzymał się cegieł, które ruszały się pod jego dłońmi jak obluzowane mleczone zęby.

Pomyślał, że spróbuje się podciągnąć do góry. Kopał stopami mur jak w ostatnim odruchu wisielca, kiedy jego ramiona daremnie usiłowały dźwignąć ołowiany ciężar ciała... ale mięśnie miał za słabe, zbyt zmęczone.

Mógł tylko wisieć bezwładnie jak worek kamieni. Chciało mu się płakać. Wybuchnął śmiechem.

- Co w tym śmiesznego, Frank?

Z góry spoglądał na niego z szyderczym współczuciem nie ogolony, opuchnięty Mitch Leary, bez okularów, ale wciąż w czarnej czapce, z czarnym rewolwerem w ręku.

Horrigan prawie nie mógł mówić z wyczerpania i strachu. Ale zdołał wykrztusić: - Jeśli... jeśli chcesz mi nadepnąć na... na palce, Mitch... zrób to i... niech już będzie... koniec.

Leary przyklęknął niczym dorosły, który rozmawia z dzieckiem. Jego zniszczone, workowate ubranie łopotało na wietrze jak flaga. Powoli pokręcił głową i cmoknął: cc, cc.

- Jak mogłeś pomyśleć coś takiego, Frank? Wyciągnął rękę.

- Weź mnie za rękę, Frank. No, dalej.

Horrigan popatrzył na wyciągniętą rękę Leary'ego jak na jakiś dziwny, abstrakcyjny przedmiot. Z jego perspektywy dłoń wydawała się olbrzymia, niczym groteskowy rekwizyt filmowy.

Z nikłym, drwiącym uśmiechem Leary wyrecytował śpiewnie: - Jeśli tego nie zrobisz... umrzesz.

Zaprawa murarska spajająca rozchwierutane cegły pod palcami Horrigan'a zaczęła się kruszyć. Ze zdławionym okrzykiem Horrigan sięgnął rozpaczliwie po rękę Leary'ego, znalazł ją i chwycił. Teraz tylko lewa dłoń Leary'ego powstrzymywała go przed

upadkiem na bruk.

Leary uśmiechnął się do niego świątobliwie, niczym kapłan udzielający błogosławieństwa - uśmiech z zamkniętymi ustami, tylko dołeczki i jasne, martwe oczy.

Nawet kołysząc się nad przepaścią, smagany wiatrem, z pękającymi mięśniami, bliski śmierci, nawet wtedy Horrigan był poruszony tym pierwszym fizycznym kontaktem z szaleńcem, którego znał tylko przez telefon, szaleńcem, którego przysiągł powstrzymać, ale który teraz dosłownie miał go w garści.

Tylko czy na pewno?

Oddychając trochę lżej, z prawą ręką tkwiącą w mocnym uścisku Leary'ego, zawieszony pięć pięter nad ziemią, Horrigan sięgnął lewą ręką do kabury pod pachą, wyciągnął trzydziestkę i wycelował w szaleńca, który mu pomagał.

Leary wydawał się bardziej dotknięty niż zdziwiony, ale potem uśmiechnął się półgębkiem, jakby rozbawiony przebiegiem wydarzeń.

- Chcesz mnie zastrzelić, Frank? Po tym, jak uratowałem ci życie?

Horrigan z wysiłkiem uniósł broń. Lewą ręką miał mniej sprawną od prawej, ale wystarczająco sprawną. Wystarczająco, żeby uwolnić świat od tego drania i po raz ostatni ochronić prezydenta...

Leary odczytał jego myśli i powiedział: - To jedyna możliwość, Frank... tylko w ten sposób ocalisz prezydenta. Zastrzel mnie. Zastrzel mnie teraz.

Horriganowi pot zalewał oczy, słone kropelki piekły pod powiekami. Zamrugał, usiłując skoncentrować wzrok na zamazanej sylwetce Leary'ego.

Szydercze słowa spadały na niego jak kwaśny deszcz: - Chcesz to zrobić? Oddać życie za jego życie? Czy też twoje życie wciąż jest dla ciebie zbyt cenne?

Ręka, jego lewa ręka dygotała, kiedy wycelował broń w swojego obłąkanego wybawcę; ja to chromolę, pomyślał i zaczął naciskać spust, a wtedy Leary zmarszczył brwi widocznie znowu odczytał jego myśli - z rozmachem odrzucił go od siebie i Horrigan spadał!

Ogarnęło go dziwne uniesienie, czuł się wolny i jednocześnie przerażony...

Wylądował z ciężkim łomotem na metalowej kratownicy schodków pożarowych, dwanaście stóp niżej. Leary nadał mu rozmach i w ten sposób go ocalił - może niechcący, ale go ocalił.

Ale przy upadku Horrigan zgubił broń - widział, jak leci w powietrzu i ze szczękiem uderza o bruk trzy piętra niżej.

Leary uśmiechnął się do niego ekstatycznie.

- Teraz już nigdy się nie dowiemy, prawda, Frank? Czy stać cię na coś takiego?

- Leary! Głos D'Andrei!

Horrigan podniósł wzrok i tam, na sąsiednim dachu stał D'Andrea z bronią w ręku, wymierzoną w Leary'ego. Widocznie ukrył się za kanałem wentylacyjnym i był świadkiem całej konfrontacji, ale co mógł zrobić? Gdyby zastrzelił Leary'ego, Horrigan musiałby spaść.

Horrigan odetchnął z ulgą, pomimo bólu w potłuczonych kościach. Był dumny ze swojego partnera: młodszy agent postąpił jak należało. Przez cały dzisiejszy dzień D'Andrea działał z profesjonalną skutecznością.

- Nie ruszaj się, Leary! - mówił D'Andrea. Horrigan podciągnął się do góry i oparł o poręcz. Teraz widział Leary'ego, który trzymał ręce podniesione nad głową. Co zrobił z bronią? Ciągle miał ją w ręku?

- W porządku, Frank? - zapytał D'Andrea, zerkając w dół na swojego partnera. Był dumny z tego, że zjawił się w samą porę, że pokonał strach, dlatego uśmiechał się lekko; ale w tej samej chwili Horrigan chciał krzyknąć, ostrzec go...

Za późno.

Leary wciąż miał w ręku mały pistolecik, a takiemu zawodowemu mordercy wystarczył zaledwie ułamek sekundy, kiedy D'Andrea spuścił wzrok.

- Al! - krzyknął Horrigan. - Al!

Znacznie za późno. Ułamek sekundy za późno. Jedno życie za późno.

Trzy szybkie strzały i głowa specjalnego agenta Alberta D'Andrei eksplodowała fontanną krwi, mózgu i kości, jak w Dallas. Martwe ciało osunęło się na dach i zniknęło Horriganowi z oczu.

Leary również zniknął.

Horrigan został sam.

Sam na schodkach pożarowych, sam na sam z wiatrem, bólem i echem krzyku cichnącego w alejce.

Jego krzyku.

## 23.

Barman w znajomej knajpie Horrigan miał na imię Joe. Nawet sam Joe - łysiejący, z okrągłą twarzą, małym wąsikiem Zapaty i niewybrednym poczuciem humoru wiedział, że to banalne. Ale nic na to nie mógł poradzić. Miał na imię Joe, był barmanem i kropka.

Czasami po prostu nie można nic poradzić.

Horrigan siedział przy barze, zgarbiony nad szklaneczką Jamesona - z której ubyła już połowa zawartości a przed nim stała butelka.

Alkohol twój wróg, lej go w mordę. Taki stary dowcip. Zawsze go rozśmieszał.

Nie dzisiaj.

Joe skończył wycierać kieliszek i odezwał się: - Dzisiaj nie grałeś na pianinie.

- Nie.

- Nie masz nastroju?

- Nie.

- Od godziny siedzisz przed tą butelką, Frank.

- Alkohol twój wróg - wymamrotał Horrigan.

- Nawet sobie nie nalaleś... tylko tę pierwszą szklaneczkę.

- Wiem.

Joe zaczął wycierać następny kieliszek.

- Dlaczego?

- Ostatnio piję z umiarem.

- Więc po co ci ta butelka?

- Na wypadek, gdybym zmienił zdanie. - Pchnął butelkę w stronę barmana. - Nalej sobie jednego.

- Okay - Joe wzruszył ramionami i nalał. Horrigan podniósł swoją szklaneczkę.

- Wzniesiemy toast?

- Jasne. Za kogo?

- Za chłopaka imieniem Al, którego kiedyś znałem. Później porozmawia z żoną Al. Złoży jej uszanowanie.

Jak ona ma na imię? Jakoś tak poetycko.

Ariana.

Zakrył twarz ręką i zapłakał. Joe wrócił do wycierania kieliszków, żeby go nie krępować. Na ekranie telewizora nad barem miejscowy dziennikarz streszczał

dzisiejsze wypadki, nie poświęcając im zbytnej uwagi. Śmierć agenta Tajnej Służby była sensacją w tym mieście, ale kiedy w sprawę zamieszany był „zdrajca”, sensacja nie trwała długo.

Właśnie tego sobie życzył Wydział Ochrony. Gdyby prasa zwęszyła prawdę o Learym, nastąpiłaby katastrofa.

Horrigan rąbnął pięścią w kontuar. Kurwa mać, dlaczego nie pozwolił Ałowi złożyć rezygnacji? Al żyłby teraz, gdyby nie on; siedziałby w domu z synem Rickym i żoną Ariana, zdrowy, szczęśliwy i zadowolony.

Może on sam powinien złożyć rezygnację.

Może zrezygnuje.

Jak już złapie tego parszywego drania.

Brady, technik od daktyloskopii, którego Omniprint 1000 wykrył odcisk dłoni Leary’ego na zarekwirowanym samochodzie, znalazł w hotelowym pokoju Leary’ego obok telefonu notes z odręcznym napisem. Kilka pochyłych liter: „SW SKELLUM LA”.

Jack Okura wręczył Horriganowi kopię.

- Zgadza się, to pismo Leary’ego... CIA to potwierdziła. Ale ani my, ani oni, ani nikt nie ma zielonego pojęcia, co to znaczy.

Horrigan przyjrzał się notatce ze zmarszczonym czołem.

- „LA” to oczywiście Los Angeles, następny przystanek w kampanii wyborczej prezydenta. Ale co to jest „skellum”? Obce słowo?

Okura przytaknął.

- Stare duńskie słowo... wciąż używane w Południowej Afryce. Znaczy tyle co łotr, szubrawiec. Dokładnie: ktoś zasługujący na śmierć.

- Może tak Leary pisze swoje nazwisko - zauważył oschle Horrigan.

Parę godzin później w barze Horrigan wyjął kopię z kieszeni, rozłożył i ponownie spojrzął na kanciaste pismo człowieka, który zamordował jego partnera. Próbował odnaleźć jakiś sens w tych bazgrołach, pamiętając o ironicznym poczuciu humoru Leary’ego; ale niczego nie wymyślił.

Nie słyszał dzwonka telefonu, toteż zdziwił się, kiedy Joe podszedł i oznajmił: - Frank, telefon do ciebie.

Przesunął się o kilka stołków do miejsca, gdzie Joe postawił telefon na kontuarze, i podniósł słuchawkę.

- Przepraszam, Frank - szepnął miękki głos.

Coś podobnego do żalu dźwięczało w tym głosie... głosie człowieka, który niegdyś



wiedział, czym jest żal, i teraz próbował to sobie przypomnieć.

- To była samoobrona, Frank. Naprawdę bardzo mi przykro.

Horrigan poczuł, że krew odpływa mu z twarzy; napiął mięśnie, zacisnął szczęki, żyły nabrzmiały mu na czole, a Joe - który mył szklanki - spojrzał na niego i aż podskoczył.

- Albo on, albo ja - wyjaśnił rozsądnie Leary. Horrigan, drżący z wściekłości, zmusił się, żeby mówić spokojnie.

- Opowiedz mi o "skellum".

Ujawnienie tej wskazówki przed szaleńcem stanowiło wykalkulowane ryzyko, ale Horrigan był w nastroju do ryzykowania. Przez długą chwilę czekał z napięciem na odpowiedź Leary'ego.

- „Skellum” jest bezwartościowe. Poszedłeś niewłaściwym tropem, Frank. Gra już się kończy, przyjacielu, a ty zdobyłeś za mało punktów.

- Nie, Mitch. Zdobyłem dużo punktów.

- Czyżby?

- Wiem, jak wyglądasz. Widziałem śmierć w twoich oczach.

- Jakie to poetyczne, Frank! - Jak to imię, Ariana.

- Co?

- Tak ma na imię żona mojego byłego partnera. Człowieka, którego wczoraj zamordowałeś.

- Może... może następnym razem moje oczy będą wyglądać inaczej.

- Szklka kontaktowe nie pomogą. Zdradzi cię twój chory, zły, zboczony umysł.

Następna chwila milczenia.

- Gniewasz się na mnie - stwierdził Leary.

- Wiem, kim jesteś, wiem, czym jesteś, i wiem, jak cię znaleźć. A kiedy cię znajdę...

- Zabijesz mnie, Frank?

- Zgadłeś. Leary zachichotał.

- Nie widzisz tego, Frank? Tyle ironii, że można się udławić.

- To nie będzie ironiczne, kiedy wpakuję ci kulę w łeb, Mitch. Najwyżej poetyczne.

- Nie, to ironiczne, Frank... pomyśl! Ten sam rząd, który wyszkolił mnie do zabijania, wyszkolił ciebie do ochrony. A jednak to ja cię chronilem na tym dachu, a teraz ty chcesz mnie zabić! To klasyczny przykład ironii, strona pierwsza w podręczniku, stary! - Zamknij się, Mitch.

- Będą o nas pisać książki, Frank.

- Możliwe, ale ja nie będę ich czytał.

- Dlaczego nie, Frank?

- Bo mam już dosyć ciebie i twojego gędzenia, Mitch. Cmoknięcie.

- Słaby z ciebie zawodnik. Miałeś swoją szansę... swoją chwilę prawdy. Mogłeś mnie załatwić, gdybyś się pospieszył... jak w Dallas. Ale ty się zawahałeś... bo chodziło o twój drogocenny tyłek. Dokonałeś wyboru, Frank. Przestań wyplakiwać się w swoje piwo!

Horrigan trzasnął słuchawką. Joe uniósł brew.

- Z tobą okay?

- Nie. Jeśli ten gnojek znowu zadzwoni, powiedz mu, że go namierzyłeś, wtedy zostawi cię w spokoju.

Joe przełknął ślinę.

- Jasne, Frank.

Horrigan dopił whisky, rzucił piątkę na kontuar, powiedział Joemu dobranoc i wyszedł na ulicę.

Noc była mroźna, oddech Horrigan zamieniał się w parę. Zimno mu było w samym garniturze. Skulił się i skrzyżował ramiona, idąc szybko w stronę domu. Trochę dalej jakiś człowiek - odwrócony plecami do Horrigan rozmawiał z ulicznego automatu.

Booth?

Leary?

Horrigan przyspieszył kroku, sięgnął pod pachę i chciał już wyciągnąć rewolwer, kiedy mężczyzna odwrócił się był młody, wąsaty, wyglądał na pedała, absolutnie nie przypominał Leary'ego.

Horrigan z westchnieniem ruszył dalej, nie reagując na mrugnięcie mężczyzny. Wewnętrznie gotował się z furii.

W mieszkaniu znowu wsadził do odtwarzacza kompakt Beatlesów, usiadł w fotelu i uważnie studiował tekst utworu numer dwa, który przepisał z płyty, szukając jakiejś wskazówki. Szukając przekłętej ironii Leary'ego.

Nic nie znalazł.

Zadzwonił telefon i Horrigan powiedział do słuchawki: - Pierdol się, Leary! Ale to był Okura.

Zawstydzony Horrigan bazgrał na kartce papieru słuchając agenta, który wyjaśniał, że w całym Los Angeles nie było nikogo nazwiskiem Skellum.

- A co z Luizjaną? Spróbujcie tam.
- Też o tym pomyśleliśmy. Zero. - Cholera.
- Będziemy dalej próbować.
- Dobrze. Dobranoc, Okura.
- Z tobą okay, Frank? To ciężki cios, stracić Ala...
- Najcięższy dla rodziny. Odłożył słuchawkę.

Przez długi, długi czas siedział w ciemnym pokoju, nie słuchając muzyki, aż wreszcie zasnął w fotelu.

Tym razem sen był inny.

Gorący, piękny dzień w Dallas, sunie przed siebie na stopniu samochodu obstawy, wszystko czarno - białe jak stara taśma filmowa, odgłos petardy, tylko że to nie była petarda, zobaczył przed sobą bezwładną postać w samochodzie i zamarł, kiedy drugi strzał trafił mężczyznę w limuzynie i jego głowa eksplodowała w chmurze krwi.

Ale tym razem mężczyzna w limuzynie to nie był Jack Kennedy.

To był D'Andrea.

Harry Sargent stał u szczytu konferencyjnego stołu w swoim gabinecie w Zachodnim Skrzydle Białego Domu, wymachując rękami niczym obłąkany pracownik obsługi naziemnej samolotów. Reszta obecnych starała się zachować spokój w samym środku burzy: Sam Campagna, Bill Watts, Lilly Raines oraz rzadki gość w gabinecie Sargenta - Frank Horrigan.

- Wybory za trzy tygodnie - mówił Sargent, wytrzeszczając oczy z niedowierzaniem - a wy mnie prosicie, żebym nie puszczał prezydenta do choleralnej Kalifornii?

- Właśnie o to prosimy - spokojnie potwierdził Campagna, krzyżując niedźwiedzie łapska na potężnej piersi.

Sargent również przypominał niedźwiedzia, kiedy tak wymachiwał ramionami niczym grizzly szykujący się do ataku.

- Czy nie rozumiecie... prosicie mnie... prosicie waszego prezydenta, żeby popełnił polityczne samobójstwo!

- Lepiej polityczne niż faktyczne - burknął Horrigan. Sargent rozdał nozdrza; wyraźnie nie cierpiał Horrigan. Ignorując go, zwrócił się do Campagny: - Czy muszę wam przypominać, że Kalifornia jest kluczowym punktem całej choleralnej imprezy? Każdy głupi o tym wie!

- Włącznie z Learym - zauważył Horrigan.

- O to chodzi - dodała Lilly.

Horrigan rzucił jej ukradkowy uśmiech; cieszył się, że go poparła.

Sargent potrząsał głową, policzki mu drgały jak u Nixona, ale ani jeden włos nie drgnął w ulizanej niksonowskiej fryzurze.

- Nadrobiliśmy straty w Kalifornii i brakuje nam tylko pięciu punktów - oświadczył. - Nie możemy teraz się wycofać. Nie mamy wyboru: musimy tam pojechać. Te głosy mogą zapewnić nam przewagę.

Usiadł ciężko, jakby uważał temat za wyczerpany. Horrigan niezdecydowanie pochylił się do przodu i powiedział: - W takim razie musimy radykalnie zmienić procedury. Sargent rzucił agentowi niechętnie spojrzenie.

- To znaczy jak?

Horrigan wzruszył ramionami.

- Przejazdy w nie oznakowanych samochodach, żadnych orszaków, żadnej pompy. Zrewidować każdego, kto podejrze bliżej niż pięćdziesiąt jardów do...

Brwi Sargenta wystrzeliły do góry.

- Rewidować naszych stronników na obiadach po dziesięć tysięcy dolarów od łebka? Znowu zaczynasz.

Parafraza powiedzonka Reagana nie umknęła Horriganowi. Powoli, groźnym tonem zapytał: - Co to znaczy?

- To znaczy - wycedził przez zęby szef sztabu - że jak zwykle przesadziłeś, Horrigan.

- Muszę, bo inaczej prezydent zginie. Leary pracował dla rządu, na litość boską. Zna wszystkie normalne procedury. Tym samym one przestają być efektywne, przestają działać...

Sargent nie słuchał; znowu potrząsał głową, jego ciemne, podkrążone oczy wypełniała pogarda.

- Może gdybyśmy nie starali się zatuszować tego twojego wysokoku w Chicago...

- Przecież możemy wprowadzić pewne zmiany proceduralne - zaproponował Watts, Sargent spiorunował wzrokiem ulubionego ochroniarza prezydenta.

- Nie mów mi, że trzymasz z tym pomyłkencem. Pogroził Wattsowi palcem. - Kazałem ci trzymać tego wariata z daleka ode mnie...

Campagna przerwał mu stanowczo: - Frank Horrigan prowadzi dochodzenie w tej sprawie. Od początku miał rację co do Leary'ego. Radzę go posłuchać.

Zaskoczony tą reprimendą szef sztabu spojrział na zastępcę dyrektora Wydziału Ochrony Prezydenta, jakby się zastanawiał, czy powinien go zmiażdżyć swoim autorytetem. Nagle jednak zapadł się w sobie, ramiona mu obwisły; złożył dłonie jak do modlitwy, ale jego przygnębienie było całkowicie świeckie.

- Słuchajcie, ludzie - powiedział ponuro, nagle niemal pokornym tonem. - Czasami zapominam, że gramy w tej samej drużynie. Musicie zrozumieć, dlaczego się sprzeciwiam; to nie jest moja opinia.

Horrigan zerknął na Lilly, która miała grobową minę. Campagna był szary na twarzy, a Watts spuścił wzrok.

- Prezydent już podjął decyzję - ciągnął posepnie Sargent. - Powiedział, że woli umrzeć niż przegrać.

Milczenie okryło pokój czarnym, żałobnym welonem.

Potem w spokojnych, rozsądnych słowach szef sztabu omówił z przedstawicielami Tajnej Służby zakres zmian, jakie zostaną wprowadzone do standardowych procedur operacyjnych podczas tej ważnej - i niebezpiecznej podróży.

Tego wieczoru Horrigan siedział przy swoim biurku w S.B.Z., wpatrując się w kopię napisu „SW SKELLUM LA”. Próbował przestawiać litery, bawił się w anagramy bez powodzenia. Biurko pokrywały nowe warianty zdjęć Leary’ego, wygenerowane przez komputer.

Na odgłos kroków w prawie pustym biurze Horrigan podniósł wzrok i zobaczył Lilly. Uwielbiał jej płynny krok, jej ruchy nadające męskiemu ubraniu wdzięk wieczorowej sukni.

Uśmiechnął się lekko.

- Agentko Raines.

- Agencie Horrigan - odpowiedziała z takim samym uśmiechem. Oparła dłoń na blacie biurka. - Dostałam wiadomość, że chciałeś mnie widzieć.

- Usiądź, dobrze? - Przysunął jej krzesło po drugiej stronie biurka, a ona usiadła, założyła nogę na nogę i czekała cierpliwie.

- Chcę ci pomagać w przygotowaniach dla L.A. oznajmił, próbując ukryć napięcie w głosie.

Nawet się nie skrzywiła, ale jej niechęć była widoczna.

- Skąd ta mina, Lii? Przecież dzisiaj w gabinecie Sargenta byłeś po mojej stronie.

Lilly staranie dobierała słowa: - Myślę... że jesteś za blisko tego wszystkiego.

- To znaczy za blisko ciebie.

- Nie, za blisko Leary’ego. Horrigan przysunął bliżej swój fotel.

- Właśnie dlatego chcę tam być, Lii. Potrafię go wyczuć, rozpoznać. Nikt inny tego nie potrafi.

- Frank... - wymówiła z widocznym wysiłkiem. - Nawet Bill Watts zaczął myśleć jak ty, przynajmniej w pewnym stopniu. Ale kiedy Sargent powiedział, że przesadziłeś... nie tylko Sargent tak uważa.

- Ty też tak uważasz, Lii?

- Martwię się o prezydenta - zmieniła temat.

- Nic dziwnego. Ja też.

- Nie o to mi chodzi. Ta wizyta w L.A. ma kluczowe znaczenie w wyborach. A ty... sam powiedziałeś, że gównie cię obchodzi, czy prezydent zostanie upokorzony. Horrigan wzruszył ramionami.

- Wygaduję różne rzeczy, kiedy tracę zimną krew.

- Ostatnio często tracisz zimną krew, Frank. Westchnął, próbując ukryć przed nią

swoją frustrację i narastającą irytację.

- Lii, jeżeli myślisz, że chcę pojechać do L.A., żeby być blisko ciebie...

- Tego nie mówiłam.

- Nie, ale czy nie tego się boisz? Że znowu będę się przystawiał do ciebie? I że tym razem ulegniesz?

Zarumieniła się.

- Czasami jesteś taki cholernie arogancki...

- A ty tak brutalnie szczera. Ale podziwiam cię za to. No więc powiedz mi... z całą brutalną szczerością... że twoja niechęć do mojego wyjazdu nie ma nic wspólnego z nami. Wtedy ci uwierzę. I dam ci spokój.

Ramiona Lilly opadły, znużony uśmiech przemknął po jej ustach.

- No dobrze... może to ma trochę wspólnego z "nami". Ostatecznie prowadzę przygotowania do głównego etapu prezydenckiej kampanii. Wiesz, jaka to czasochłonna robota.

- I nie możesz sobie pozwolić na rozproszenie uwagi.

- Właśnie.

- A jeśli ci obiecuję, że nie będę przeszkadzał? Chcę z tobą nad tym pracować, Lii. Wyłącznie zawodowo. Proszę.

- No, nie wiem...

Chciał tego; potrzebował tego. Dla siebie. Dla D'Andrei.

Pochylił się i dotknął jej ręki.

- Proszę - powtórzył. - Poza tym jak możesz stracić taką okazję? Praca z żywą legendą. Jedyne czynne zawodowo agent, który stracił prezydenta.

Zamrugła na te słowa. Potem głęboko wciągnęła powietrze i wypuściła je powoli. Wysunęła rękę spod jego dłoni, uściśnęła jego dłoń, wypuściła, wstała, wyszła.

Obejrzyj się, Lii, nakazywał jej w myślach. Obejrzyj się...

Obejrzała się, uśmiechnęła i niechętnie kiwnęła głową.

Wygrał.

- Dziękuję, Lii - powiedział, kiedy już zniknęła.

Tego wieczoru na lotnisku Dulles zamożnie wyglądający podróżny, którego każdy rozsądny obserwator wziąłby za dyrektora jakiejś firmy, zamierzał złapać nocny lot do Los Angeles.

Podróżny miał okulary w ciemnych oprawkach, czarne wąsy, mocną opaleniznę i

niewielki brzuszek. Ubrany był w kosztowny, szyty na miarę garnitur, w rękę trzymał skórzaną teczkę. Nosił czarną perukę, tak doskonale dopasowaną do kształtu czaszki, że nawet prezes Klubu Perukarzy nie rozpoznałby w niej sztucznych włosów.

Jedyny szczegół nie pasujący do sylwetki zamożnego biznesmena dał się zauważyć, kiedy mężczyzna przeszedł przez lotniskowy wykrywacz metalu i uruchomił alarm.

Opróżniając kieszenie z monet i innych drobiazgów, mężczyzna podróżujący jako James Carney położył również na tacy łańcuszek na klucze z króliczą łapką przynoszącą szczęście, kiczowaty amulet, który mógłby wydać się niestosowny u tak dystyngowanego pasażera, gdyby strażnicy zechcieli nad tym pomyśleć.

Czego nie zrobili.



Hotel „Bonaventure” to przyjemne miejsce, pomyślał Horrigan, ale nie chciałbym tutaj ochraniać prezydenta.

A jednak właśnie do tego się przygotowywał. W tej chwili wędrował po ogromnym westybulu z mnóstwem oszklonych wind, żałując serdecznie, że prezydent nie wybrał innego hotelu na swój oficjalny obiad. Hotel „Bonaventure” na South Figaro w śródmieściu L.A. był jednocześnie przestronny i klaustrofobiczny, ze swoim labiryntem wąskich korytarzy. Podnosząc wzrok, Horrigan widział w górze pół tuzina miejsc, gdzie mógł się ukryć snajper.

Przyjechali wczoraj rano, zespół ÓW (Ochronnego Wywiadu) składający się z niego i Lilly. Na miejscu dołączył do nich przystojny młody agent z Sekcji Operacyjnej L.A., Miguel Chavez. Przy pomocy miejscowych agentów on i Lilly obstawili mosty na trasie przejazdu prezydenta, skąd mogły spaść bomby; kazali usunąć skrzynki pocztowe wzdłuż trasy; zaplombowali włazy kanalizacyjne. Przejechali trasę razem z najwyższymi rangą przedstawicielami policji L.A., zatrzymując się wielokrotnie po drodze i dyskutując o snajperskich stanowiskach na dachach domów.

Poprzedniego wieczora, na odprawie dla oficerów policji wyznaczonych do pilnowania hotelu, Horrigan puścił w obieg pełny zestaw wygenerowanych komputerowo podobizn Leary’ego oraz „pacjentów” zamieszkałych na terenie L.A. Ci ostatni tworzyli Listę Nadzoru, zawierającą trzydzieści sześć nazwisk i twarzy.

Tego ranka Lilly i Chavez pojechali do bazy Sił Powietrznych, gdzie wylądowały dwa wielkie wojskowe samoloty transportowe, przywożąc dosłownie tony sprzętu łączności i podsłuchu, który załadowano do nie oznakowanych furgonetek. Z ładowni samolotów wytoczono również cztery limuzyny, jedną należącą do prezydenta.

W tym samym czasie Horrigan nadzorował techników, którzy przeczesywali apartament prezydencki szukając bomb i podsłuchu. Owczarek niemiecki węszył podejrzliwie, kiedy ludzie wyjmowali kratki wentylacyjne, podnosili dywany i prześwietlali ściany.

Wszystko szło jak w zegarku, ale Horrigan wciąż się denerwował. Hotel stanowił łatwy cel, z logistycznego punktu widzenia; idealne miejsce dla Leary’ego. Horrigan nie mógł usiedzieć spokojnie, więc spacerował po ogromnym westybulu. Trzymał się z daleka od dziennikarki telewizyjnej, nagrywającej sprawozdanie na taśmę. Przeszedł na drugą stronę westybulu, gdzie Lilly z listą w ręku sprawdzała obecność wśród

kilkudziesięciu połowych agentów, zróżnicowanej rasowo grupy mężczyzn i kobiet, którzy grali role „gości” lub „pracowników hotelowych” w tym małym prezydenckim melodramacie.

Po lewej stronie hotelowy posługacz czekał na windę. Nie miał żadnych bagaży. Dokąd się wybierał? Co zamierzał? Horrigan zbliżył się do niego. Facet miał jakieś dwadzieścia pięć lat, był ciemnowłosy, twarz pokrywały mu dzioby po ospie.

Posługacz zerknął na Horrigan, zauważył jego badawczy wzrok i zaczął się wiercić; nerwowo postukiwał stopą, wpatrując się w drzwi windy.

Oczy Horrigan zwięzły się; poszperał w kieszeni marynarki i wyciągnął kopię Listy Nadzoru. Szybko przekartkował stronicę i znalazł fotografię, o którą mu chodziło: Paul Rubiak. Niezrównoważony umysłowo - pochodzenie nieznane - wysyłał listy z pogrozkami do prezydenta. Ciemne włosy. Dzioby po ospie. Dwadzieścia sześć lat.

Posługacz.

Horrigan przemówił do mikrofonu w mankiecie: - Lilly, mam „pacjenta” przy windzie dziewiątej. Paul Rubiak...

Drzwi windy rozsunęły się i posługacz zamierzał wejść do środka.

- Hej tam, stój!

Horrigan podszedł szybkim krokiem, wyszarpując broń z kabury i machając odznaką.

- Co...? - posługacz zatrzymał się w pół kroku.

- Nie ruszaj się - warknął Horrigan. - Tajna Służba! Wsunął odznakę do portfela i złapał posługacza za ramię, ale chłopak wyrwał się i zawołał gniewnie: - Hej! Ja tutaj pracuję, palancie!

Horrigan niezbyt mocno dźgnął go w pachwinę, a kiedy chłopak skrzywił się z bólu, Horrigan okręcił go i pchnął na ścianę. Właśnie go rewidował, kiedy przybiegła Lilly i kilku innych agentów.

- Frank...? - zaczęła Lilly.

Horrigan wyciągnął portfel posługacza i patrzył na kalifornijskie prawo jazdy, wystawione na nazwisko Robert Stermer.

Lilly pospiesznie sprawdzała komputerowy wydruk przypięty do podkładki.

- Robert Stermer. Posługacz. Jest czysty.

Robert Stermer, posługacz, odwrócił się, wciąż skrzywiony z bólu.

- Co ci odbiło, człowieku? - wystękał.

- Przepraszam - mruknął Horrigan z wymuszonym uśmiechem. - Życzę miłego dnia.

Lilly dotknęła jego ramienia.

- Nie patrz teraz, ale mamy towarzystwo... Horrigan zerknął przez ramię i zobaczył dziennikarkę z mikrofonem w ręku, a za nią operatora z przenośną kamerą na ramieniu. Oboje szczyrzyli zęby, uradowani z okazji sfilmowania czegoś takiego.

- Możecie wyjaśnić, co się tutaj stało? - zaczęła dziennikarka.

Na szczęście zainterweniował agent Chavez, odpowiedzialny za kontakty z prasą, i uprzejmie odholował dziennikarzy na bok, co dało Horriganowi i Lilly szansę ucieczki.

- Widziałaś zdjęcie na Liście Nadzoru - powiedział Horrigan.

- Duże podobieństwo - przyznała Lilly. Poklepała go po ramieniu. - Każdy mógł się pomylić. Zapomnij o tym...

Przy kontuarze recepcji właśnie wpisywał się jakiś dystyngowany gość, wyglądający na bogatego przedsiębiorcę.

- Skąd to całe zamieszanie? - zapytał recepcjonistę.

- Naprawdę nie wiem, sir - odpowiedział młody urzędnik. - Jutro przyjeżdża prezydent, więc dzieją się różne rzeczy.

- Wyobrażam sobie - zgodził się Mitch Leary, wpisując: „James Carney, San Jose”.

- Ja też przyjechałem z powodu wizyty prezydenta.

Leary otrzymał klucz od pokoju i właśnie wydawał polecenia w sprawie bagażu, kiedy jakiś głos za jego plecami zawołał: - Wreszcie się spotykamy!

Zaskoczony Leary odwrócił się i zobaczył rudowłosego, ciężko zbudowanego mężczyznę z okrągłą twarzą i szerokim uśmiechem.

- Pan jest Jim Carney?

Leary obdarzył natręta uprzejmym uśmiechem.

- A pan na pewno jest Pete Riggs.

Kiedy wymieniali uścisk dłoni, Riggs - wystrojony w ciemnobrązowy garnitur i złotożółty krawat, usiłujący przesadną elegancją zamaskować lekką nadwagę uśmiechał się promiennie i potrząsał głową, jakby wzruszony widokiem niejakiego Jamesa Carneya.

- Zaczynałem już wątpić, czy pan naprawdę istnieje mówił, szczyrzył zęby jak idiota, którym był w opinii Leary'ego.

- O? A to dlaczego, Pete?

- Te wszystkie szczodre czeki na Fundusz Zwycięstwa. Zaczynałem myśleć, że jest pan aniołem zesłanym z niebios, żeby pomóc prezydentowi.

- Och, nie jestem żadnym aniołem, Pete. Riggs objął ramieniem nowego przyjaciela.

- Może wstąpimy na drinka, stary?

Poufale ujął Leary'ego za łokieć i popchnął w stronę oszklonego szybu wind. Leary obejrzał się nieznacznie. Zdumiał go kształt westybulu, przypominającego nowoczesne katakumby; trudne zadanie dla ochrony prezydenta, pomyślał z zadowoleniem. Dzisiaj wieczorem będzie musiał trochę się rozejrzeć. Przeprowadzić dyskretny rekonesans.

- Kiedy przyjeżdża prezydent? - zapytał Leary.

- Jutro wieczorem, akurat na kolację - odparł Riggs. Och... to mi przypomina... - Przystanął na chwilę i sięgnął do kieszeni. - Proszę.

Rytowane zaproszenie na „Wieczór z Prezydentem”. Leary uśmiechnął się, tym razem szczerze.

- Bardzo dziękuję, Pete.

- Dostałeś wspaniałe miejsce. Praktycznie w pierwszym rzędzie.

- To więcej, niż się spodziewałem.

Wsiadli do windy, która uniosła ich pięć pięter w górę, ponad jaskiniowy westybul, a następnie wynurzyła się na zewnątrz, ukazując rozległą panoramę miasta - oraz paru gliniarzy rozmawiających na dachu z kilkoma ludźmi w garniturach, którzy na pewno należeli do Tajnej Służby, pomyślał Leary.

- Powiedz mi, Jim - zagadnął Riggs - co to właściwie jest Korporacja Microspan?

- Pete, nie przyjechałem do L.A., żeby rozmawiać o interesach... przyjechałem poznać mojego prezydenta.

- Tak, nie mogę się doczekać, żeby cię przedstawić... Wkrótce Riggs i "James Carney" zasiedli w obrotowej restauracji, trzydzieści pięć pięter ponad centrum Los Angeles - niestety przesłoniętym warstwą smogu. Zestawiono razem dwa stoliki i Leary miał okazję poznać innych ważnych przyjaciół prezydenta. Całe towarzystwo, z wyjątkiem Leary'ego, piło na potęgę.

- Wiesz, na czym polega problem? - mówił Leary do podpitego prezesa firmy software'owej z Doliny Krzemowej. - Myślmy o następnym półroczu podatkowym, podczas gdy Japonce myślą o następnym stuleciu...

- Cholerna racja - zgodził się prezes.

Głos, który Leary natychmiast rozpoznał jako głos Franka Horrigan, odezwał się za jego plecami: - Pan Riggs?

Frank Horrigan stoi tuż obok! Podniecony Leary, czując nagły przypływ wesołości, schronił się za spokojną fasadą Jamesa Carneya - okulary w ciemnych oprawkach, czarna peruka, czarne wąsy, brązowe szkła kontaktowe, ciemna opalenizna i garnitur od Braci Brooks.

Riggs wstał, zabrał swojego drinka i razem z Horriganem odeszli parę kroków od stołu.

- Kto to jest ten facet? - wybełkotał prezes firmy komputerowej.

- Agent Tajnej Służby - odpowiedział rzeczowo Leary. Leary nadstawił uszu; miał doskonały słuch - pod tym względem jego akta w CIA nie kłamały.

- Panie Riggs - mówił Horrigan - rozumiem, że kie - ruje pan jutrzejszym obiadem na rzecz Kalifornijskiego Funduszu Zwycięstwa?

- Zgadza się.

- Czy zna pan wszystkich uczestników obiadu?

- Co to znaczy?

- To znaczy: czy zna ich pan osobiście?

- No jasne.

- Zechce pan spojrzeć na te fotografie?

- Skoro pan nalega.

- Widział pan któregoś z tych ludzi?

Leary dygotał z napięcia, ale wiedział, że nikt tego nie zauważył. Na pewno jego zdjęcia znajdowały się wśród tych, które Horrigan pokazywał Riggsowi; pewnie również komputerowe projekcje tego, jak mógłby wyglądać w różnych przebraniach.

Czy wygenerowali takie, które przypominało Jamesa Carneya?

Wkrótce się dowie.

- Nie, nie, nie - mówił niecierpliwie Riggs. - Nigdy nie widziałem żadnej z tych osób. Słuchaj pan, wczoraj już przez to przeszedłem z innym agentem. Chętnie współpracuję i rozumiem, że chodzi wam tylko o dobro prezydenta... ale szczerze mówiąc, próbujemy tutaj działać coś pozytywnego.

- Tak jest, sir.

- I mówiąc uczciwie, agencie Harrigan...

- Horrigan.

- Uczciwie mówiąc, to zaczyna być dokuczliwe. Pan wybacz.

Leary obejrzał się na Horrigana, który spojrzał na zestawione stoły.

Po czym uprzejmie uklonił się pijanemu towarzystwu grubych ryb, podwinął ogon pod siebie i poszedł jak zmyty.

- Jeszcze po jednym, Jim? - pytał Riggs, pochylając nad nim księżycowe oblicze, lekko zaczerwienione od alkoholu.

- Nie, dzięki - odparł Leary. - Muszę jeszcze popracować u siebie w pokoju.

- Mówiłeś, że nie przyjechałeś tu w interesach!

- Och, naturalnie. Tylko dla przyjemności. Ale wiesz, jak to jest... licho nie śpi.

Później w hotelowym pokoju Leary z zainteresowaniem oglądał w telewizji reportaż KCOP o agencji Tajnej Służby, który „myśląc, że wytropił potencjalnego zabójcę”, skatował hotelowego posługacza. Cały żaloszny incydent został uwieczniony na taśmie filmowej dla Boga i potomności.

- Możesz jutro stracić posadę, Frank - stwierdził Leary i cmoknął potępiająco, podczas gdy jego zwinne palce składały na kolanach plastikową broń, bez poruszania ramionami. - I kto wtedy będzie moim przeciwnikiem?

Skończył, spojrzał na zegarek, zanotował czas na bloczku, a potem rozłożył broń i zaczął od początku.

## 26.

Horrigan stał przy oknie w zaciemnionym Apartamencie Prezydenckim, który jutro będzie gościł prawdziwego prezydenta. Zasłony były odsunięte, więc mógł podziwiać nocną panoramę L.A.

Widział reportaż w telewizji i zdawał sobie sprawę, że czekają go kłopoty. Ale nie myślał o tym.

Myślał o dwóch mężczyznach, których kiedyś znał; żonatych mężczyznach, posiadających rodziny. Pracujących dla rządu. Przynoszących zaszczyt swemu krajowi. Zabitych przez morderców.

Jeden był sławny, znany na całym świecie: martwy prezydent.

Drugi odszedł nie zauważony przez historię: kolejny martwy gliniarz.

Obie tragedie wydarzyły się z jego winy.

Myślał również o trzecim mężczyźnie, który pracował dla rządu i przynosił swemu krajowi jeśli nie zaszczyt, to przynajmniej nadzieję. Tragedia Mitcha Leary'ego wciąż się rozgrywała, ale Horrigan zamierzał wkrótce położyć jej kres.

- Frank?

To była Lilly. Stała w krzywym prostokącie światła, padającym przez otwarte drzwi. Wyglądała ślicznie i bardzo oficjalnie w jedwabnej bluzce, granatowej spódnicy i pantofelkach na wysokich obcasach.

- Co ty tu robisz po ciemku? - zapytała. - Agent Bates zobaczył cię na monitorze i przez chwilę myślał, że mamy włamywacza...

- Przepraszam.

Podeszła do niego. Nie spojrzał na nią, ale jej bliskość sprawiała mu przyjemność.

- Frank, o czym myślisz? - zapytała ciepłym, pełnym troski głosem.

- Zastanawiam się, co jeszcze mogę zrobić. Żeby jutro nie zdarzyła się następna tragedia.

Lilly dotknęła jego rękawa.

- Wiesz, moim zdaniem policja, FBI, zastępcy szeryfa i Tajna Służba Stanów Zjednoczonych na spółkę poradzą sobie z każdym zagrożeniem. Dwustu dwudziestu dziewięciu ludzi będzie jutro ochraniało Podróżnika.

Horrigan rozciągnął wargi w wymuszonym uśmiechu. - To spora siła. Jeśli Leary strzeli, weźmiemy go w krzyżowy ogień.

Z zewnątrz dochodziły stłumione odgłosy ulicznego ruchu.

- Frank... właśnie dzwonił Bill Watts.

- Nic nie mów. Widział reportaż KCOP. Wie o mnie i moim przyjacielu posługaczu...

- Podróżnik też wie. - Lilly westchnęła i poklepała go po ramieniu. - Powiedziałam Billowi, że każdy z nas zrobiłby to samo. Wiem, bo tam byłam... ale on chyba myśli, że wszyscy jesteśmy „przepracowani”.

Horrigan prychnął.

- Widocznie Sargent dostał szalu - dodała.

- On wykorzysta każdą szansę, żeby mnie skompromitować - stwierdził Horrigan bezbarwnym głosem.

- W każdym razie. Zdaniem ludzi, których opinia się liczy, co nie obejmuje ciebie, tutaj w L.A. podpadłeś prasie. Więc... jutro masz się zameldować w San Diego.

Horrigan spojrzał na nią ostro. Nie odwróciła wzroku, tylko powiedziała rzeczowo, chociaż ze współczuciem: - Masz tam pomagać w przygotowaniach ÓW. Horrigan znowu odwrócił się do okna. W dole na ulicy zawyła syrena.

- Tak po prostu - powiedział.

- Frank, nie ty jeden walczysz z Learym. Miej trochę wiary w nas wszystkich. Dostaniemy go. Powstrzymamy go.

Oparł się dłonią o zimną szybę, żeby nie upaść. Potem odwrócił się do niej i powiedział spokojnie: - Od trzydziestu lat wysłuchuję idiotów na wysokich stołkach, którzy opowiadają dyrdymały o Dallas...

Utknął na tym słowie: „durdymały”. Zobaczył twarz Ala pełną zdumienia i niedowierzania, usłyszał jego śmiech... Przełknął ślinę i mówił dalej: - To byli Kubańczycy, to była CIA, biali szowiniści, teksascy nafcjarze, tłum. Był jeden karabin, było pięć karabinów.

Lilly pogłaskała go po rękawie.

Horrigan patrzył przez okno, ale widział tylko rozmazane błyski światła.

- Chryste... to był taki ładny dzień. Padało przez cały ranek, zanim wyszło słońce. Dlatego powietrze było prawie chłodne. Ten pierwszy strzał... Pomyślałem, że to petarda.

Wciąż miał zamęt w głowie, kiedy o tym myślał. Powoli, z przerwami opowiadał dalej: - Odwróciłem się i zobaczyłem go... zobaczyłem, że go trafili. Nie wiem, dlaczego nie zareagowałem szybciej. Powinienem był... pobiec, pobiec do niego, pobiec w jego stronę, ale... jakoś nie mogłem uwierzyć...



Przełknął z wysiłkiem i popatrzył na nią; jej śliczna twarz była pełna czułości.

- Lilly, gdybym zareagował szybciej, mogłem przyjąć na siebie ten strzał.

Lekko uniosła brew.

- Wtedy nie byłoby cię tutaj.

- Nie szkodzi. Może Jack żyłby do dzisiaj. - Potrząsnął głową. - Może Al żyłby do dzisiaj.

Wsunęła dłoń w jego dłoń i uścisnęła.

- Lii... żyć z taką świadomością to piekło.

- Wiem. Wiem.

- Czy... - znowu przełknął ślinę. - Chyba nie powinienem być sam dzisiaj w nocy.

Kiwnęła głową.

Wrócili do jej pokoju, zdjęli buty, położyli broń i resztę służbowego wyposażenia na dwóch nocnych stolikach, wpełzli do łóżka i zasnęli w swoich objęciach.

Horrigan zaczął śnić koszmar o Dallas, ale widocznie mówił przez sen, bo usłyszał jej głos: „Nie! Nie. Jesteś tutaj, ze mną, wszystko dobrze, Lii jest tutaj”, jej ręka gładziła go po włosach, po twarzy, a potem śniło mu się, że kochał się z nią rozkosznie, namiętnie i czule.

Ale to nie był sen.

Następnego ranka w zatoczce przed terminalem United Airlines na lotnisku międzynarodowym w Los Angeles Horrigan wyjmował brązową płócienną torbę podróżną z tylnego siedzenia nie oznakowanego zielonego plymoutha reliant Tajnej Służby. Spojrzał na zegarek, nachylił się do okna samochodu i zapytał: - Masz numer Sekcji Operacyjnej w San Diego? Agent Chavez, wyznaczony na szofera Horrigan, uśmiechnął się pogodnie i odparł: - Jasne... ukulele.

Horrigan spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Ukulele? Co ty wygadujesz?

Chavez wyjaśnił z dziwną mieszaniną dumy i zakłopotania: - To sztuczka pamięciowa, którą podłapałem w wojsku. W ten sposób zapamiętuję numer... wie pan, siedmioliterowe słowo dla siedmiu cyfr. Po prostu wystukuję U - K - E - L - E - L - E.

- Źle to przeliterowałeś - sprzeciwił się Horrigan. Pisze się U - K - U.

- Możliwe - wzruszył ramionami Chavez. - Ale numer jest U - K - E. Łatwo zapamiętać.

Horrigan uśmiechnął się ze znużeniem i również wzruszył ramionami.

- Skoro tak mówisz. Dziękuję za podwiezienie.

W hali odlotów, taszcząc swoją ciężką torbę do bramki, mruknął „Ukulele” i uśmiechnął się ubawiony. Po drodze zatrzymał się przy automacie telefonicznym, żeby zadzwonić do biura w San Diego. Używając swojej karty kredytowej, wystukał numer kierunkowy, nacisnął U, potem K i przerwał, żeby zastanowić się nad pisownią.

Odwiesił słuchawkę i wyjął notes, żeby zapisać słowo UKELELE. Otworzył notes na stroniczce, gdzie bawił się w anagramy ze „SW SKELLUM LA”. Tajemnicze słowo było zapisane dużymi literami na środku kartki.

- Hej - powiedział do siebie.

Siedem liter w słowie „skellum”. Jeśli LA oznacza Los Angeles...

Nacisnął litery S - K - E - L - L - U - M na klawiaturze telefonu. Niecierpliwie postukiwał długopisem o notes, kiedy sygnał brzęczał mu w uchu.

Wreszcie odezwał się energiczny kobiecy głos: - Bank Southwest.

Horrigan obrysował kółkiem litery SW. Southwest.

- W czym mogę pomóc? - zapytał głos.

- Już mi pani pomogła - odparł Horrigan. - Jaki jest wasz adres?

Biegając do wyjścia, zobaczył na ekranie telewizora, jak prezydent schodzi po stopniach samolotu Air Force One, otoczony agentami, wśród których znajdował się Bill Watts i Matt Wilder. Czas uciekał.

Horrigan przyspieszył kroku.

Na dwudziestym piętrze hotelu „Bonaventure” Mitch Leary siedział na brzegu łóżka w swoim pokoju i ostrożnie odkręcał metalowe zakończenie króliczej łapki, do którego było przymocowane kółko na klucze. Zdjęta nakładka odsłoniła dwa otworki wydrążone wewnątrz amuletu.

Leary włożył w otworki dwa dziewięćmilimetrowe naboje. Potem, nucąc ulubioną melodię Beatlesów, przykręcił nakładkę, która zakryła pociski. Klucze zabrzęczały.

- Przykro mi - powiedziała atrakcyjna kasjerka z działu obsługi klientów. Horrigan musiał wyciągać szyję, żeby zza jej sztywno wylakierowanej blond fryzury i wielkich złotych kolczyków dojrzeć ekran komputera, gdzie listowała konta. - Nie ma żadnego z nazwisk, które pan podał.

Horrigan kazał jej sprawdzić nazwisko Leary’ego i kilka wariantów, a także listę pseudonimów z akt CIA.

Za szklaną ścianą wokół Horrigan i kasjerki zebrała się grupka pracowników banku, trochę więcej kobiet niż mężczyzn. Oglądali fotografie, które rozdał im Horrigan zdjęcia i komputerowe podobizny Leary’ego. Mruczeli do siebie, wzruszali ramionami, przecząco kręcili głowami.

- Wyobraźcie go sobie w przebraniu - zaproponował im Horrigan. - Kapelusz, peruka... może wąsy.

Kobieta przy komputerze, która miała na imię Marge, już wcześniej przejrzała fotografie.

- Wiem, że nigdy go nie widziałam - oświadczyła - ale przecież pracuję tutaj dopiero kilka tygodni.

- Kto przedtem zajmował się otwieraniem nowych rachunków?

Ściszone rozmowy za jego plecami umilkły, jakby ktoś przekręcił wyłącznik. Obejrzał się i zobaczył spuszczone oczy, spoważniałe twarze. Z niewiadomych powodów jedno proste pytanie nagle zwarzyło nastrój.

- Coś nie w porządku? - zapytał Horrigan. - Kto otwierał nowe konta przed Marge? Pulchna, przesadnie umalowana brunetka wystąpiła do przodu i powiedziała nieśmiało: - Pam. Pam Magnus to robiła.

- Gdzie ją mogę znaleźć?

- Ona... ona nie żyje. - Nie żyje?

- Ktoś ją zabił.

Oszołomiony Horrigan podszedł do młodej kobiety i położył jej rękę na ramieniu.

- Ona została zamordowana?

Młoda kobieta przytaknęła ze łzami w oczach i spojrzała na ustawione w jej okienku zdjęcie innej pulchnej blondynki, zrobione na ślizgawce. Blondynka uśmiechała się olśniewająco. Ładna dziewczyna.

- To ona? - zapytał Horrigan.

Zapłakana kasjerka kiwnęła głową.

Horrigan wziął do ręki oprawione zdjęcie i przyjrzał mu się uważnie. Na fotce Pam Magnus nosiła bluzę z wielką, wyraźną, ozdobną literą M.

Czy to nie był symbol Minnesota Twins?

Horrigan poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

- Pam pochodziła z Minnesoty?

Zapłakana kasjerka przytaknęła.

„Niektórzy ludzie umierają po prostu dlatego, że pochodzą z Minneapolis”.

- Dokładnie skąd? - zapytał.

W hotelowym pokoju Leary siedział na łóżku i wkładał części plastikowej broni do specjalnych kieszeni, wszytych w szarfę, którą miał nałożyć dzisiejszego wieczoru razem ze smokiem.

Potem usiadł w fotelu przy oknie, skupiony, lecz spokojny, spoglądając na panoramę Los Angeles i na dachy domów, gdzie kryli się policyjni snajperzy. Uśmiechnął się.

- I na co wam to - powiedział cicho.

Kiedy Marge przeszukiwała pliki komputera, Horrigan skorzystał z telefonu w Dziale Obsługi Klientów.

- Lilly - mówił - złapałem detektywa z wydziału zabójstw, który prowadzi tę sprawę, i on powiedział, że ta dziewczyna... właściwie dwie dziewczyny, jej przyjaciółka też zginęła... zostały załatwione w komandoskim stylu.

- W komandoskim stylu?

- Morderca złamał im karki. Kręgi szyjne pękły jak zapalki.

Marge przy komputerze spojrzała na niego i przełknęła ślinę. Zapłakana kasjerka nie podsłuchiwała; już dawno poszła do domu, zupełnie rozbita.

- Podróżnik uparł się przy dzisiejszym wieczorze mówiła Lilly, przekrzykując gwar panujący w westybulu; jej głos trzeszczał w komórkowym telefonie. - Dopóki nie udowodnimy, że Leary jest na miejscu, Harry Sargent nie odwoła obiadu.

- Dowodem może być martwy prezydent.

- Frank, musisz pojechać do San Diego! Ze względu na siebie i na mnie. Poradzimy sobie z Learym. Jeśli Watts i Sargent dowiedzą się, że jeszcze jesteś w mieście...

- Lii, kocham cię szalenie, ale teraz odkładam słuchawkę.

- Frank!

Przerwał połączenie, odwrócił się do Marge i powiedział: - Wiemy, kiedy był ostatni dzień pracy Pam. Zacznijmy od tej daty i cofajmy się w przeszłość.

Marge przecząco potrząsnęła głową.

- Problem w tym, agencie Horrigan, że my nie prowadzimy rejestru kont według daty otwarcia.

- A według czego? Wzruszyła ramionami.

- Według nazwisk lub numerów. Szukanie trochę potrwa.

Dotknął jej ramienia i uśmiechnął się przymilnie.

- To zabrzmiał melodramatycznie, Marge, ale od tego zależy życie prezydenta.

Z powagą skinęła głową.

- Chcę, żebyś jak najszybciej przefaksowała mi listę powiedział i nabazgrał na kartce wyrwanej z notesu numer centrali łączności Tajnej Służby w hotelu „Bonaventure”.

- Załatwione - przyrzekła. - Chociaż nie głosowałam na tego faceta.

Zapadał zmierzch.

Z okna hotelowego pokoju Leary widział w dole maleńkich jak zabawki policjantów, obsadzających miniaturowe barykady. W promieniu kilku przecznic teren oczyszczono z pojazdów i pieszych. Ale dla policjantów - zabawek świat był tylko pustą planszą do gry.

A teraz nadjeżdżali z całą pompą: prezydencki orszak samochodów, flagi powiewające na antenach. Patrząc w telewizor, naliczył pięćdziesiąt samochodów.

Smutne, że środki bezpieczeństwa pozbawiły prezydenta obecności wiwatujących tłumów na chodnikach.

Ale prezydent miał przecież publiczność, prawda? Publiczność wysoko w oknie. Kto jest ważniejszy od zabójcy prezydenta? Ostatecznie to oni dwaj odcisną razem krwawy ślad na kartach historii.

Przejrzał się w lustrze - smoking prezentował się wspaniale, szarfa wraz z cennym ukrytym ładunkiem wpasowała się w okazały brzusek, który wyhodował sobie przez ostatnie tygodnie. Westchnął z satysfakcją.

Wziął rytowane zaproszenie z nocnej szafki, przez chwilę zmysłowo gładził powierzchnię papieru opuszkami palców, wreszcie wyszedł na spotkanie ze swoim przyjacielem prezydentem.

Wkrótce zapadnie noc.

Autostrada Santa Monica była zakorkowana. Na tylnym siedzeniu taksówki Horrigan wyciągnął rewolwer i sprawdził amunicję.

- Zjedź na pobocze - powiedział hiszpańskiemu kierowcy. - Dodaj gazu.

- Tak nie można, proszę pana - zaprotestował taksjarsz.

- Rób, co ci mówię - warknął Horrigan.

Taksjarsz zerknął w lusterko i widocznie zobaczył broń, ponieważ zmienił zdanie, zjechał na pobocze i docisnął gaz, aż żwir prysnął spod kół.

Horrigan wsunął broń do kabury pod pachą i zapiął pas bezpieczeństwa.

Nie mógł się spóźnić.

Koncert to on.

Kiedy prezydencka limuzyna podjechała przed front hotelu „Bonaventure”, Lilly Raines - ubrana w czarny spodniom przypominający krojem smoking, białą jedwabną bluzkę i czarną apaszkę zawiązaną na szyi jak krawat czekała przy krawężniku.

- Stanowisko Raines - powiedziała do mikrofonu w mankiecie. - Przyjechał.

Agenci, którzy biegli obok limuzyny, teraz uformowali krąg wokół zatrzymanego pojazdu, stykając się czubkami palców. Bill Watts w smokingu wyskoczył z przedniego siedzenia i otworzył drzwi prezydentowi.

Promiennie uśmiechnięty prezydent pomachał do małego, zdyscyplinowanego tłumu. Kamerzyści z telewizji przepychali się walcząc o lepsze ujęcie, trzaskały aparaty fotograficzne przedstawicieli prasy, a Lilly poprowadziła prezydenta - Bill Watts trzymał się o krok z tyłu - po czerwonym dywanie rozłożonym przed wejściem do hotelu. Peter Riggs, przewodniczący Kalifornijskiego Funduszu Zwycięstwa, oraz dyrektor hotelu i inne ważne osobistości - każda z przepisowym złotym znaczkiem w klapie witali swojego prezydenta z wylewnym entuzjazmem.

Podjeżdżały następne samochody, z których wysypywali się członkowie prezydenckiej świty: Harry Sargent, doradca wojskowy, rzecznik prasowy Białego Domu, podpułkownik Marynarki, któremu powierzono teczkę zawierającą nuklearne kody zagłady, oraz oczywiście lekarz prezydenta z czarną torbą w ręku, a także Matt Wilder i inni agenci.

Wszystko szło jak w zegarku, wszystko było pod kontrolą, kiedy Lilly wprowadzała ich do środka.

Na razie w porządku, pomyślała - ale chociaż miała nadzieję, że Horrigan odleciał do San Diego, w głębi duszy żałowała, że tutaj go nie ma.

Na drugim piętrze hotelu, przed drzwiami sali balowej „Catalina”, panie w sukniach wieczorowych i panowie w smokingach czekali w kolejce, żeby przejść przez bramkę wykrywacza metalu, takiego jak na lotniskach, pod czujnym wzrokiem agentów Tajnej Służby, również stosownie ubranych. Żaden z tych lojalnych, często szczodrych uczestników kampanii nie wydawał się urażony to tylko zwiększało podniecenie. Dźwięczały kieliszki, ponad gwar rozmów wybijały się wesołe śmiechy.

Wśród tych bogatych przyjaciół, ofiarujących prezydentowi niewielką pomoc, był również Mitch Leary. W klapie smokinga nosił zielony znaczek, zaliczający go do

honorowych, sprawdzonych gości. Poprawiając okulary na nosie, spokojnie przeszedł obok hiszpańskiego agenta, który wertował plik fotografii przypiętych do podkładki.

Pewnie wariaci, których muszą wyłapać, pomyślał Leary uśmiechając się w duchu, ponieważ wiedział, że jeśli jest tam jego fotografia, w niczym nie przypomina Jamesa Carneya.

Leary zajął miejsce w kolejce obok prezesa firmy komputerowej, którego poznał poprzedniego wieczoru w obrotowej restauracji. Tym razem facet nie był zalany, ale perspektywa spotkania z prezydentem wprawiła go w gorączkowe podniecenie.

- Jestem przejęty jak dzieciak - wyznał.

- O tak, to będzie pamiętny wieczór - zgodził się Leary.

Prezes uruchomił alarm w wykrywaczu metali. Zaśmiał się nerwowo, zawrócił, położył klucze na tacy podsunętej przez agenta i spróbował jeszcze raz. Bez problemów.

Kiedy Leary przeszedł przez bramkę, alarm znowu zabrzęczał. Leary wyjął łańcuszek z kluczami i króliczą łapką, rzucił go hałaśliwie na tacę, którą agent wyciągnął do niego jak kwestarz w kościele, cofnął się i spróbował jeszcze raz. Tym razem nie było alarmu. Agent podał mu łańcuszek z kluczami i "James Carney" wszedł na salę balową, oświetloną kandelabrami, elegancko udekorowaną z okazji bankietu.

Na ścianie za podwyższeniem wisiała udrapowana amerykańska flaga; samo podium ozdabiała pieczęć prezydencka. Szef państwa będzie miał przed sobą morze okrągłych stolików, nakrytych lnianymi obrusami, zastawionych kryształami i porcelaną, przybranych kwiatowymi dekoracjami w barwach narodowych: niebieskiej, białej i czerwonej. Kelnerzy w liberjach obnosili tace z kieliszkami musującego szampana. Obok niewielkiego parkietu orkiestra w smokingach grała składankę melodii Beatlesów, banalną jak w supermarkecie.

Ciekawe, czy grają na zamówienie, pomyślał Leary.

Znalazł swoje miejsce i usiadł przy stoliku obok przejścia, którym niewątpliwie przejdzie prezydent w drodze na podwyższenie. Doskonale. Dziękuję ci, Pete Riggs. Te datki na kampanię wyborczą to były dobrze wydane pieniądze...

Sala zapełniała się stopniowo. Leary zaczął wyjmować części plastikowej broni z kieszeni wszytych w szarfę. Jego dłonie poruszały się zreżnie pod stolikiem. Ćwiczył bez końca, ale to się opłaciło; teraz ramiona nawet mu nie drgnęły, maskując szybkie, precyzyjne ruchy rąk zasłoniętych obrusem.



- Panie i panowie - zahuczał głos i Leary o mało nie upuścił prawie złożonej broni. To był system głośników.

- Prezydent Stanów Zjednoczonych!

Tłum powstał i zaczął entuzjastycznie klaskać. Leary, wcisnąwszy na miejsce ostatni fragment broni, miał tylko parę sekund spóźnienia. Wsunął złożony pistolet między kolana, wstał i klaskał jak szalony, z twarzą rozjaśnioną wyczekiwaniem.

Orkiestra grała przesłodzoną wersję „Chwała dowódcy”, ale krzyki, gwizdy, oklaski i tupanie nogami prawie zagłuszało muzykę. Dystyngowane zgromadzenie ofiarodawców zmieniło się w niesforny i hałaśliwy, choć przyjazny tłum.

Wreszcie po długiej chwili oklaski umilkły, ludzie zaczęli siadać, włącznie z Learym, a prezydent eskortowany przez starego poczciwego Pete'a Riggsa ruszył przejściem w stronę podium, zatrzymując się po drodze, żeby ścisnąć dłonie swoim majątnym wyborcom.

Im więcej dałeś, tym dłużej trwała rozmowa.

Leary dał dostatecznie dużo, żeby kupić sobie miłą długą pogawędkę i uścisk dłoni; Pete Riggs tego dopilnuje.

Leary obracał w palcach łańcuszek na klucze z króliczą łapką przynoszącą szczęście; jak dotąd zachował spokój, ale serce biło mu coraz szybciej, czuł przypływ adrenaliny...

Za prezydentem i Riggssem szedł szef sztabu Białego Domu, Sargent, oraz kilka osób, których Leary nie rozpoznał, między innymi podpułkownik Marynarki... i oczywiście zwykła eskorta agentów Tajnej Służby, włącznie z tą blond cizią Horrigana, ale nie wyglądali na gotowych do akcji. Stanowczo obniżyli czujność, zauważył Leary z ulgą i zadowoleniem. Nie ma powodu do obaw w takim doborowym towarzystwie.

Odkręcił metalową nakładkę łańcuszka i wytrząsnął naboje na dłoń, ale jeden spadł na podłogę!

Spokojnie, powiedział sobie. Bez nerwów.

Prezydent i Riggs szli prosto do niego.

Upuścił serwetkę, pochylił się i podniósł ją razem z kulą. Nikt niczego nie zauważył - wszyscy patrzyli na prezydenta.

Dwa stoliki dalej Riggs przedstawiał prezydentowi jednego z uczestników wczorajszej popijawy w restauracji na dachu, szanowanego obywatela, który ocenił kelnerkę na trójkę za zrobienie minety. Niech żyje nasz sztandar. Pod stołem Leary załadował pierwszą kulę do komory pistoletu. Nad stołem jego ruchy były

niezauważalne. Potem druga kula wsunęła się gładko na miejsce.

Niewielkie zamieszanie przyciągnęło uwagę Leary'ego.

Horrigan!

Agent wszedł za prezydentem i tłumaczył coś gorączkowo kilku innym agentom, włącznie z tą jego blond dziewczynką. Leary prychnął. Nic z tego, za późno.

Zamknął komorę broni i okrył dłoń razem z pistoletem lnianą serwetką. Prezydent i Riggs zbliżali się wśród uśmiechów.

„James Carney” wstał z nieruchomą twarzą i wyciągnął dłoń okrytą serwetką.

Zdyszany, zlany potem Horrigan wpadł do westybulu hotelu „Bonaventure”, zapinając ciasną koszulę, z torbą podróżną w rękę.

- Trzymaj! - krzyknął do Roberta Stermera stojącego za ladą bagażową i rzucił mu swoją płócienną torbę. Stermer zrobił wielkie oczy na widok agenta.

- Tak jest, sir!

Horrigan ruszył przez rozległy westybul, minął gliniarzy i agentów - wszyscy go rozpoznali - i wskoczył na ruchome schody, jadące na pierwsze piętro, do sali balowej „Catalina”.

Chciał wbiec po schodach, ale przed nim stał jakiś Hiszpan w smokingu - agent Chavez, jak się okazało który przeglądał kartki przypięte do podkładki.

Horrigan stuknął go w ramię.

- Przyszedł do mnie faks?

- Frank! - Chavez wybałuszył oczy. - Czyś ty zwariował? Co ty tutaj robisz? Watts dostanie szału, jak cię zobaczy...

- Pytałem, czy przyszedł do mnie ten cholerny faks?! Zeszli ze schodów w holu na piętrze, gdzie stało na straży jeszcze kilku agentów w smokingu.

Tak, coś przyszło parę minut temu. - Chavez spojrzał na kartkę przypiętą z wierzchu. - Właśnie chciałem to pokazać agentce Raines...

- Dawaj.

Horrigan nie czekał, tylko wyrwał podkładkę z ręki Chaveza. Chavez potrząsnął głową.

- Jezu, Frank... ty naprawdę tracisz opanowanie.

- Gdzie jest Podróżnik? - zapytał Horrigan, przesuując palcem po kartce papieru, która zawierała listę pół tuzina nowych kont, otwartych przez Pam Magnus w ostatnim dniu jej życia w Banku Southwest, Santa Monica.

- No, w sali balowej. Bankiet zaraz się zaczyna. Horrigan ruszył w tę stronę, wciąż przesuając palcem po liście... nagle palec, oczy i stopy zatrzymały się jednocześnie. Chavez prawie się z nim zderzył.

- Korporacja Microspan... James Carney - przeczytał Horrigan. - Masz przy sobie listę zaproszonych gości?

- Jasne.

- Dawaj!

Horrigan przejechał palcem po wykazie ofiarodawców i znalazł: „James Carney, dyrektor, Korporacja Microspan”.

- Drań jest tutaj - powiedział do' Chaveza i przebiegł przez wykrywacz metali, uruchamiając alarm, wpadł do sali balowej i pobiegł w stronę prezydenta, który w otoczeniu agentów i osób towarzyszących powoli posuwał się przejściem między stolikami, rozdając uściski dłoni i miłe słówka...

Harry Sargent obejrzał się słysząc odgłosy zamieszania i spochmurniał na widok Horriganana.

- Cholera, co on tutaj robi? - zwrócił się do Billa Wattsa.

- Nie wiem - odparł Watts. Odłączył się od grupy i zastąpił Horriganowi drogę w przejściu niczym obrońca na boisku. Lilly również biegła w ich stronę; Horrigan nie wiedział, czy bała się o niego, czy o prezydenta.

- Kto ci pozwolił... - zaczął Watts. Horrigan przerwał mu: - Leary jest tutaj. Posługuje się nazwiskiem Jim Carney... Wpłacił pieniądze na cholerną kampanię!

- To już nie do ciebie należy...

Horrigan chwycił Wattsa za kołnierz smokinga.

- Daj mi rozkład miejsc!

Watts był kutasem, ale nie był głupi. Horrigan wiedział, że postawił na swoim; ciemnowłosy agent kiwnął głową i przywołał gestem innego agenta.

Tymczasem Horrigan wyminął grupę otaczającą prezydenta, dotarł do podwyższenia i oparł się o nie plecami. Teraz widział całą ogromną salę bankietową. Gorączkowo przeszukiwał wzrokiem tłum gości. Tak wiele twarzy... tak mało czasu...

Gdzie był ten pieprzony rozkład miejsc?

Ten bałwan Pete Riggs prowadził prezydenta do następnego stolika, gdzie grupa ofiarodawców podniosła się z krzeseł. Najbliżej prezydenta stał opalony facet o dystyngowanym wyglądem, typ dyrektora, w okularach, z małym brzuszkiem...

Dlaczego on się nie uśmiecha?

Wszyscy inni w całej cholernej sali szczyrzyli zęby, ale ten facet miał skupioną minę i serwetkę przewieszoną przez rękę...

- Broń! - wrzasnął Horrigan.

Ale w gwaronym tłumie nie zwrócił niczyjej uwagi. Potem zobaczył, że niektórzy agenci z opóźnieniem reagują na jego okrzyk. Wilder, Watts i Lilly rozglądali się, ale nic nie widzieli...

Prezydent widocznie go nie usłyszał, ponieważ z uśmiechem wyciągnął rękę do Leary'ego, stojąc w odległości zaledwie paru stóp od człowieka, który przyszedł go zabić.

Horrigan nigdy w życiu nie biegł tak szybko - prawdopodobnie ustanowił nowy rekord świata.

Z rozbiegu rzucił się w powietrze niczym jakiś cholerny Superman i wylądował przed prezydentem, kiedy Leary wystrzelił, serwetka zajęła się ogniem, prezydent poleciał do tyłu, a kula trafiła Horriganą prosto w pierś.

Wtedy upadł.

Wrzaski tłumu wystrojonych gości, którzy chowali się pod stolikami lub pchali się do wyjścia, stanowiły piskliwy akompaniament dla błyskawicznej akcji Watta, Wildera i pięciu innych agentów, jacy natychmiast utworzyli żywy mur wokół prezydenta. W jednej chwili na sali zaroilo się od agentów, poprzebieranych nawet za kelnerów i kelnerki. Spod marynarek wyskoczyły rewolwery, z nylonowych toreb i eleganckich aktówek wyrzały pistolety maszynowe Uzi. Agenci powarkiwali do mikrofonów w mankietach, ostrzegając świat na zewnątrz sali bankietowej przed szaleńcem w smokingu.

Niedoszły zabójca prezydenta przewrócił najbliższy duży stół i wykorzystał go jako osłonę, tak że agentka Lilly Raines nie mogła wycelować w napastnika. Naczynia i srebrne sztuce rozsypały się z niemelodyjnym brzękiem.

Watts i Wilder chwycili prezydenta pod pachy, unieśli go z podłogi i pospiesznie wywlekli z sali wewnątrz ruchomego wigwamu, zbudowanego z ciał agentów gotowych oddać życie za tego człowieka. Zataszczyli go przez kuchnię służbowymi schodami do podziemia, gdzie pod strażą uzbrojonych policjantów czekała prezydencka limuzyna, do której Watts dosłownie wepchnął przywódcę narodu.

- Ten agent - powiedział zasapany prezydent do nie - odłącznego Watta; obaj mężczyźni ociekali potem, jakby znajdowali się w saunie zamiast na tylnym siedzeniu limuzyny. - Uratował mi życie. Jak on się nazywa?

Prezydencka limuzyna wyprysnęła z podziemnego garażu, a za nią samochód ochrony i dwa policyjne wozy, jadące zderzak przy zderzaku.

- To był Frank Horrigan, sir - powiedział Watts. Cholernie dobry agent.

Horrigan leżał bokiem na dywanie, półprzytomny od wstrząsu po bezpośrednim trafieniu kulą kalibru dziewięć milimetrów. Nagle czyjaś dłoń szarpnęła go w górę i rozdarła przód koszuli, odsłaniając białą kuloodporną kamizelkę z kevlaru, która ocaliła mu życie. Gdyby nie zdążył nałożyć tej kamizelki na tylnym siedzeniu taksówki, byłby teraz martwy, nie ogłuszony...

Gwar rozmów dzwonił mu w uszach. Próbował stanąć prosto i zastanawiał się, kto mu pomógł się podnieść, kiedy ta sama dłoń wyrwała jego rewolwer z kabury pod pachą. Zrozumiał, że to nie była pomoc.

To był Leary - wykorzystujący go jako żywą tarczę, wpychający mu w szyję lufę

jego własnej broni.

- Cofnąć się! - krzyczał Leary. - Dalej!

Pokój wirował, rozmazane twarze pływały mu przed oczami. Leary ciągnął go do tyłu, pod ścianę. Horrigan widział twarz Lilly, śliczną twarz, udręczoną twarz. Ona i inni agenci celowali do Leary'ego, ale nie ośmielili się strzelać.

- Rozwalę mu ten pieprzony mózg! - wrzeszczał Leary. Tak mi dopomóż, Boże Wszechmogący!

Horrigan odetchnął powoli i głęboko, aż zaboląły go potłuczone - czy też połamane? - żebra. Stopniowo odzyskał jasność myśli, zawroty głowy ustąpiły. Lufa jego własnej trzydziestkiósemki głębiej wbiła mu się w szyję, lewe ramię Leary'ego przesunęło się za jego plecami i objęło go dziwnym uściskiem. W lewej dłoni Leary wciąż ścisnął kanciasty kremowy pistolet.

Harry Sargent stał trzymając dłoń na piersi, skąpany w pocie i łzach. Oddychał bardzo szybko, prawdopodobnie hiperwentylował. Czarno podkrążone oczy wpatrywały się w Horriganą ze szczerą skruchą. Jakiś agent odciągnął Sargenta do tyłu, żeby usunąć go z linii ognia.

Lilly i inni agenci z bronią w pogotowiu zbliżali się powoli do Leary'ego, niczym pogromcy lwów okrążający pojmanego króla zwierząt. Tym razem jednak to lew trzymał bat...

Leary przesunął się wzdłuż ściany i pociągnął Horriganą do drzwi, ani na chwilę nie zwalniając ucisku broni na szyję. Potem, niczym szalony kelner przemocą prowadzący gościa do stolika, wywłókł Horriganą z sali do holu na piętrze, gdzie roilo się od agentów, glin i dziennikarzy kamerzyści z telewizji i fotografowie z prasy przepychali się jeden przed drugim, walcząc o ujęcie godne nagrody Pulitzera.

Wysoko na podeście trzeciego piętra nad ich głowami przycupnęli snajperzy. Horrigan zobaczył ich i wiedział, że spocony Leary też ich zauważył.

- Jesteś skończony, Mitch - oświadczył Horrigan.

- Zamknij się! - Leary mocniej wcisnął mu lufę broni w szyję i popchnął go w stronę wind.

- Prezydent jest już bezpieczny, Mitch - ciągnął Horrigan. - Elvis opuścił budynek.

- Zamknij się, Frank!

Leary, odwrócony plecami do wind, zasłaniając się Horriganem jak tarczą, wściekle wałnął w przycisk, jakby rozgniatał wielkiego robaka. Hałas i zamieszanie zdawały się go wyprowadzać z równowagi: błyskające flesze, terkot kamer

telewizyjnych, Lilly wykrzykująca rozkazy do agentów...

- Nareszcie jesteś ośrodkiem uwagi - wykrztusił Horrigan, chociaż ledwie mógł mówić, tak go bolały żebra. Nie mrugaj oczami, to twój kwadrans sławy...

- Zamkniesz się wreszcie, Frank?!

Horrigan widział w górze snajpera zajmującego pozycję, szukającego luki w osłonie. Przechylił głowę na bok, żeby ułatwić mu strzał, ale Leary podniósł wzrok, zorientował się i przykucnął za swoim więźniem.

- Niegrzecznie, Frank - powiedział.

Leary odzyskiwał panowanie nad sobą; niedobrze.

Drzwi pustej windy rozsunęły się i Leary - wciąż przyciskając wylot trzydziestkiósemki do gardła Horriganu - tyłem wszedł do środka i wciągnął za sobą zakładnika.

Jak tylko weszli do szklanej kabiny, ściana za ich plecami eksplodowała ogniem z pistoletów Uzi. Szkło rozprysnęło się na cztery strony. Leary czym prędzej schronił się za swoim więźniem. Nie trafiły ich żadne pociski, ale odłamki szkła posypały się na nich z góry, wyrządzając więcej krzywdy Leary'emu niż Horriganowi. Jedna wielka drzazga drasnęła zabójcę w policzek.

Leary, wciąż obejmując Horriganu od tyłu, wciskając mu broń w szyję i drugą ręką trzymając kremowy pistolet, nacisnął łokciem przycisk dwudziestego piętra. Winda teraz tylko resztki szkła sterczące ze szkieletu stalowej klatki - ruszyła w górę i wyjechała z westybulu na otwartą przestrzeń. Wznosili się po zewnętrznej ścianie smukłego budynku z mnóstwem lustrzanych okien, w zimnym nocnym powietrzu, a światła miasta błyszcząły w dole niczym klejnoty rozrzucone na czarnym aksamicie.

Niespodziewanie Leary puścił Horriganu i pchnął go na drugą stronę kabiny. Agent uderzył o stalową poręcz i prawie wypadł, ale zdążył odzyskać równowagę. Na szczęście chwycił poręcz w miejscu, gdzie nie było szkła; parę centymetrów dalej i rozciąłby sobie palce do kości.

Nadgarstkiem lewej dłoni Leary stuknął w przycisk stopu.

Winda zatrzymała się gwałtownie.

Pod wpływem szarpnięcia ból w boku Horriganu nasilił się tak bardzo, że agent nie mógł złapać tchu; im głębiej oddychał, tym bardziej bolało. Po twarzy spływał mu pot zmieszany ze łzami, ale on nawet tego nie zauważył.

Naprzeciwko niego, pod szkieletową ścianą roztrzaskanej kabiny, Leary opierał się o poręcz. Smoking miał pognieciony, twarz również ociekała mu potem i łzami, i

krwią z płytkiej rany. Otarł twarz, brudząc sobie wierzch wolnej dłoni.

Uważnie obserwował Horriganana.

Wiatr dmuchał na wskroś przez rozbitą kabinę, gwizdał w resztkach szklanych ścian. Podobny dźwięk słyhać, kiedy się przyłoży ucho do muszli - jeśli odjąć dochodzące z dołu krzyki i zawodzenie policyjnych syren.

Ale tutaj na górze, we wraku windy, twarzą w twarz z szaleńcem grożącym mu jego własną bronią, Horrigan poczuł się nagle zupełnie spokojny.

Odprężony.

Pogodzony ze sobą.

Potem skrzywił się z bólu, a Leary zapytał tonem nieklamanej troski: - Dobrze się czujesz, Frank?

Mówienie sprawiało ból i Horrigan z trudem zdobył się na odpowiedź: - Nie, ty głupku. Rozwaliłeś mi żebra, cholera. Cichy śmiech Leary'ego zdawał się harmonizować ze świstem wiatru; odłamki szkła zadźwięczały jak lód.

- Ciągłe nie chcesz się poddać, co, Frank? Mam nadzieję, że zostało ci trochę siły na ostatnią rundę...

- Gra skończona - oświadczył Horrigan. - Prezydent jest bezpieczny.

- Ale ty nie jesteś bezpieczny. Prawda, Frank?

Tutaj, w swoim własnym małym światku, w dziurawym pudełku zawieszonym nad miastem, Leary również wydawał się spokojny, odprężony, zadowolony. Uśmiechając się krzywo, zgiął kolana i położył kremową broń, z której strzelał do prezydenta, na zaśmieconej rozbitym szkłem podłodze windy. Mniej więcej stopę przed sobą.

Potem pochylił się w stronę Horriganana i położył rewolwer kalibru 38 również na podłodze, mniej więcej stopę przed agentem. Wyprostował się i gestem wskazał broń, jakby zapraszał Horriganana do zabawy.

Horrigan spojrzał na kremowy pistolet.

- Sam to zrobiłeś? Detektory nie wykrywają żadnego metalu... technika modelarska...

Leary przytaknął z cichą dumą.

- Jak przemyciłeś kule?

Leary ponownie się uśmiechnął, zanurzył dłoń w kieszeni spodni i rzucił Horriganowi łańcuszek na klucze z króliczą łapką. Agent złapał go, obejrzał, odkręcił metalową nakładkę i zobaczył otworki na kule.

- Bardzo sprytnie.



- Dziękuję, Frank. Wiesz, że wysoko cenię twoje pochwały. A co z tobą? Jak się dowiedziałeś o Jamesie Carneyu?

Kątem oka Horrigan dostrzegł dwóch strzelców wyborowych z Brygady Antyterrorystycznej policji Los Angeles, zajmujących pozycje na sąsiednim dachu. Musiał odwrócić uwagę Leary'ego, żeby tamci mogli go zdjąć.

- Numer telefonu... Skellum - wyjaśnił konwersacyjnym tonem. - Spędziłem popołudnie w Banku Southwest, szukając twojego konta.

- Aha. Dobra detektywistyczna robota. Horrigan machnął króliczą łapką.

- Po prostu miałem szczęście.

- Szczęście i pech też odgrywają swoją rolę, Frank. Los. Przeznaczenie. Kismet.

- Tylko nie zacznij śpiewać, dobrze? Trochę kręci mi się w głowie od tej wysokości.

- Skąd ci przyszło do głowy, że James Carney będzie na bankiecie?

Horrigan chciał wzruszyć ramionami, ale rozmyślił się ze względu na obolałe żebra.

- Twoje poczucie ironii, Mitch. Twoja ulubiona piosenka Beatlesów. Ukryłeś się wśród przyjaciół prezydenta, prawda?

Leary uśmiechnął się ciepło, z uczuciem.

- Zagraliśmy ładny mecz, no nie, Frank? Wątpię, czy ktoś nas doceni tak, jak doceniamy się nawzajem.

Nagle Leary kątem oka zauważył snajperów i odwrócił się do nich, unosząc ręce na znak, że jest nie uzbrojony.

- Mądre posunięcie - stwierdził Horrigan. - Teraz cię nie zastrzelą, przynajmniej nie od razu.

- Właśnie. Myślą, że się poddałem - odparł Leary, wciąż z podniesionymi rękami.

- Ale się mylą, tak?

- Wiesz, że się mylą, Frank. Znasz mnie tak dobrze. Leary opuścił ręce i odwrócił się do Horriganana.

- Boisz się umrzeć, Frank? - zapytał.

- Nie.

- To albo smutne, albo godne podziwu.

- Myślę, że jedno i drugie.

- Dlaczego... czy nic cię nie trzyma przy życiu, Frank?

- Moja córka.

- Prawie jej nie widzisz. Horrigan zastanowił się.

- Lubię grać na fortepianie. Leary potrząsnął głową.

- To za mało.

- Skąd wiesz? Umiesz grać na fortepianie?

- Czy ty ją kochasz, Frank?

- Kogo?

- No wiesz... Lilly Raines. Twoją dziewczynę z Lincoln Memoriał.

- To sprawa osobista, Mitch.

- Wszystko między nami jest sprawą osobistą, Frank. Czy ona nadaje sens twojemu życiu?

- Za wcześnie mówić. Ale powiem ci, co nadaje sens mojemu życiu.

- Co, Frank?

Horrigan obdarzył go najzimniejszym uśmiechem, jaki posiadał w swoim bogatym repertuarze.

- Powstrzymanie ciebie.

Leary zeszywniał na chwilę, po czym wzruszył ramionami i kiwnął głową.

- To miło. Cieszę się ze względu na ciebie, Frank. Horrigan zerknął na trzydziestkę leżącą na zasłanej szklą podłodze i przysunął się nieznacznie.

Leary zrobił to samo.

Potem obaj odchylił się do tyłu i Leary zaczął śpiewać piosenkę Beatlesów - utwór numer dwa na płycie kompaktowej. Głos miał miękki, melancholijny i dziwnie tkliwy.

Leary wciąż śpiewał, kiedy Horrigan podniósł broń z podłogi ruchem jednocześnie szybkim i płynnym, nagłym i wyliczonym.

Strzelił.

W tym samym okamgnieniu Leary chwycił swoją własnoręcznie wykonaną broń i wystrzelił jedyną kulę, jaka mu pozostała. Podwójny huk wstrząsnął powietrzem, zabręczały odłamki szkła.

Horrigan zatoczył się do tyłu, trafiony w lewe ramię.

Ale Leary dostał w klatkę piersiową, prawie w to samo miejsce, gdzie wcześniej trafił Horrigan - tylko że Leary nie miał kuloodpornej kamizelki.

Impet bliskiego trafienia rzucił Leary'ego do tyłu, na poręcz, ponad poręczą; jego młócające ramiona najpierw zaczepiły o poręcz, potem ześliznęły się, ale dłonie jakimś cudem uchwyciły skraj podłogi i trzymały mocno, chociaż okruchy szkła wbijały się w palce.

Tym razem to Mitch Leary wisiał nad przepaścią.

Horrigan, wciąż z dymiącym rewolwerem w dłoni jeszcze nie czując bólu w postrzelonym ramieniu - podszedł i spojrział z góry na swego przeciwnika, którego twarz była wykrzywiona z bólu, którego biała koszula była przesiąknięta krwią, który trzymał się resztką sił...

Horrigan odłożył broń, pochylił się i wyciągnął rękę.

Pomimo bólu Leary zdobył się na ostatni słaby uśmiech, leciutko potrząsnął głową odrzucając propozycję, a potem albo osłabł, albo po prostu zrezygnował, rozluźnił uścisk palców i spadł jak kamień, wznosząc do góry uśmiechniętą twarz, która błyskawicznie zmaląła w polu widzenia Horriganana.

Wylądował płasko na plecach, na stalowych dźwigarach podtrzymujących dach nad westybulą.

Horrigan spoglądał w dół, na pokręcone ciało pokręconego człowieka, a wiatr gwizdał w odłamkach szkła. Nagle w sąsiednim szybie zatrzymała się następna winda, w której stała Lilly i dwóch facetów z Brygady Antyterrorystycznej z automatami.

Lilly przyłożyła dłoń do szyby, niczym żona więźnia w dniu odwiedzin. Twarz miała jednocześnie udreżoną i pełną ulgi - jej twarz wyrażała...

Patrzyli na siebie przez długą chwilę. Uśmiechnęli się. Kiwnęli głowami.

Do cholery z ironią, pomyślał Horrigan. Ja tam wolę miłość.

Nacisnął parter i kiedy zjeżdżał na dół, a wiatr rozwiewał mu włosy, po raz ostatni spojrział z bliska na Leary'ego i jego dziwny uśmiech. Niedoszły zabójca leżał rozplaszczony na dachu, krwawy strzęp człowieka, który ktoś będzie musiał uprzątnąć - ale to już nie należało do Horriganana.

W westybulu zakrwawiony, lecz niepokonany Horrigan wyszedł z windy o własnych siłach, chociaż natychmiast otoczyli go pielęgniarze, policjanci i agenci. Wiedział, że jest w szoku, ale ta wiedza wcale mu nie pomagała. Poczul na ramieniu dłoń jednego z pielęgniarzy.

- Musimy pana położyć na noszach - mówił młody pielęgniarz.

- To nie jest następny kawał? - zapytał nieufnie Horrigan.

Błyski i trzaski fleszów, okrzyki, syreny, wszystko się zamazywało. Horrigan pomyślał, że zaraz zemdleje. Kiedy pielęgniarz prowadził go w stronę noszy na kółkach, nagle zastąpił mu drogę uśmiechnięty Harry Sargent z fotografem za plecami.

Szansa na zdjęcie, pomyślał Horrigan.

- Dobra robota, Frank - powiedział Sargent z entuzjazmem, serdecznie wyciągając

dłoń. - Prezydent chciał, żebym przekazał ci osobiście, że...

- Przepraszam, jeśli znowu przesadziłem, Harry powiedział Horrigan, ignorując wyciągniętą rękę Sargenta i szansę na zdjęcie. Pozwolił się położyć na noszach, gdzie natychmiast zemdlął.

### 30.

Kilka dni później Horrigan wysiadł z odrzutowca i wszedł do hali przylotów na lotnisku Dulles. Lewą rękę miał na temblaku, prawym ramieniem obejmował Lilly, która niosła obie ich torby podróżne. Oboje wyglądali zupełnie zwyczajnie w spodniach i swetrach i nie spodziewali się tłumu dziennikarzy, ekipy telewizyjnej z kamerami ani tej samej reporterki z KCOP, która była świadkiem incydentu z posługaczem w hotelu „Bonaventure”, zadającej pytania w tempie karabinu maszynowego.

- Agent Horrigan? Dlaczego odchodzi pan z Tajnej Służby w dniu swojego największego triumfu?

Zatrzymał się, żeby odpowiedzieć na pytanie. Czemu nie? Ostatecznie to był jego kwadrans sławy.

- Nie cierpię papierkowej roboty, jestem za stary na bieganie za limuzyną, a dzięki wam stałem się znany i nie mogę stosować kamuflażu.

Następny reporter zapytał: - Jakie pan ma plany?

- Pograć trochę na pianinie w barze na rogu. Żyć z renty, dopóki nie poślubię tej kobiety, a potem ona będzie mnie utrzymywać.

- Czy już wyznaczyliście datę?

- To tajna informacja - odparł. - A ukrywanie informacji to specjalność Tajnej Służby. Tylko tyle im powiedział.

Sam Campagna czekał na nich, kiedy przedarli się przez tłum dziennikarzy.

- Jak się czujesz, Frank?

- Bywało gorzej.

W oczach Campagny pojawił się uśmiech.

- Naprawdę posłuchałeś mojej rady i odchodzisz na emeryturę?

- Jasne.

- No to lepiej zaczekaj do przyszłego tygodnia.

- Niby dlaczego?

- Sekretarz Skarbu ma dla ciebie kilka pożegnalnych prezentów... Medal za Odwagę Tajnej Służby i Nagroda za Zasługi Specjalne Departamentu Skarbu.

Lilly ścisnęła go za zdrowe ramię. Uśmiechnął się do niej, a ona rozpromieniła się z dumy; to były najwyższe odznaczenia przyznawane w ich zawodzie. Wspaniałe ukoronowanie kariery.

- A co z cholernym prezydentem? - zapytał zrzędlawie Horrigan. - Przecież nie uratowałem życia Sekretarzowi Skarbu.

Campagna wyszczerzył zęby i wskazał kciukiem przez ramię.

- Przysłał po ciebie limuzynę.

- To dobrze - stwierdził Horrigan. - Wiesz, że nie przepadam za publicznym transportem.

Wkrótce siedział na przestronnym tylnym siedzeniu prezydenckiej limuzyny, a Lilly tuliła się do niego i głaskała go po udzie.

- Może wypuścimy się na miasto? - zaproponowała. Mamy samochód z kierowcą...

- Kapitalny pomysł, moja droga - odparł Horrigan, kiepsko naśladując W. C. Fieldsa. - Ale pozwól, że najpierw się odświeżę.

Lilly po raz pierwszy zobaczyła jego mieszkanie i dosłownie oczy jej wyszły na wierzch. Z niedowierzaniem oglądała pobojowisko, a na jego: „Czuj się jak w domu” odparła: „Nie wiem, czy to możliwe”.

Pomogła mu zmienić opatrunek w łazience, gdzie również brakowało kobiecej ręki. Albo ludzkiej ręki.

- Życie ze mną to nie zabawa - powiedział jej.

- Och, myślę, że pasujemy do siebie.

- Skąd wiesz?

- Znam się na ludziach - odparła z figlarnym uśmiechem. - Za to mi płacą.

Nakładał spodnie, podczas gdy Lilly grzebała w jego jazzowych kompaktach. Na stoliku obok rozkładanego fotela wściekle mrugała lampka automatycznej sekretarki.

- Naciśnij guzik, dobrze? - poprosił.

Lilly nacisnęła guzik, maszyna przewinęła taśmę i z głośnika popłynął znajomy miękki głos.

- Cześć, Frank. Leary.

Horrigan zapiął spodnie i mrużąc oczy wszedł do małego saloniku. Lilly siedziała sztywno wyprostowana, ze zbielełą twarzą, zakrywając dłonią usta.

- Zanim to przesłuchasz, Frank, nasza gra będzie skończona. Prezydent prawdopodobnie nie żyje. I ja także. Zabiłeś mnie, Frank? Kto wygrał nasz mecz? Zresztą to nieważne...

Lilly wstała i objęła go, a on poklepał ją uspokajająco po plecach.

- Pomóż mi nałożyć koszulę - poprosił. - Z tą cholerną ręką sam nie dam rady...

Lilly zrobiła, czego sobie życzył, podczas gdy głos Leary'ego mówił dalej: -

Pomiędzy przyjaciółmi nie chodzi o to, czy się wygra, czy się przegra, tylko o samą grę. Ale teraz gra jest skończona i martwię się o ciebie, Frank.

Horrigan samodzielnie zawiązał krawat, ale Lii musiała go wygładzić.

- Martwię się - mówił Leary - że teraz, kiedy odszedłem z twojego życia, nic ci nie zostało. Musisz żyć dalej, Frank, ale nie masz po co żyć. Jakże to smutne.

- Chińskie jedzenie? - zapytał.

- Koniecznie! - Podała mu sportową marynarkę. Czy możemy zrobić sentymentalną wycieczkę po kolacji?

- Jasne - odparł. Leary kontynuował: - Jesteś dobrym człowiekiem, Frank. A dobrzy ludzie, tacy jak ty i ja, są skazani na samotność...

- Mam go w dupie - oświadczył Horrigan. Sekretarka ciągle gadała, kiedy objęci wyszli z mieszkania.

Nie usłyszeli, jak Leary mówił: - Życzę ci wszystkiego najlepszego, Frank. Mam nadzieję, że w przyszłości pomyślisz o mnie od czasu do czasu... i że będziesz mnie wspominał z sympatią. Żegnaj... i powodzenia.

Po kolacji siedzieli razem na stopniach Lincoln Memorial, oparci o kolumnę; Horrigan zdrową ręką obejmował Lilly, ona położyła mu głowę na piersi i ogrzewali się nawzajem.

W Waszyngtonie, D.C., była piękna noc, ale w powietrzu czuło się chłód.